WICEPREMIER PIOTR GLIŃSKI:

DLA PIS NIE MA DZIŚ W POLSCE ALTERNATYWY. „BÓJ BĘDZIE CIĘŻKI"

BUDZISZ: JAKIE SĄ REALNE STRATY ROSJI, A JAKIE UKRAINY

GÓRNY: CO SIĘ DZIEJE W WATYKANIE PO ŚMIERCI BENEDYKTA XVI

ANDRIJANIĆ: DLACZEGO NALEŻY ZAKAZAĆ TIKTOKA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 4 (530) 2023
23–29 stycznia 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

SZOKUJĄCE KULISY ATAKÓW NA POLSKĘ

WIELKA AFERA KORUPCYJNA W BRUKSELI. I PYTANIE: CZY ZA NAGONKĄ NA NASZ KRAJ STAŁY ROSYJSKIE PIENIĄDZE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl a178eb2f54

E-prenumerata SIECI 50% taniej

2 audiobooki w prezencie

2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY NA 12 MIESIĘCY:

„Maluchem do raju”

O transporcie w czasach komuny, np. maluchach, które z przeciętnego Kowalskiego zrobiły króla szos.

Czas słuchania: 8 godz. 53 min.

„Brak tchu” Georga Orwella

Książka przez krytyków stawiana na równi z „Folwarkiem zwierzęcym” i „Rokiem 1984” – niepokojąco aktualna i dziś.

Czas słuchania: 11 godz. 6 min.

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl a678eb2f54

Jak komuniści

Te słowa mogły paść tylko z ust człowieka naprawdę zaczadzonego nienawiścią. Oto Tomasz Lis, były redaktor naczelny tygodnika „Newsweek", pozwolił sobie na takie następujące stwierdzenie: „Czasem, gdy faszysta zostaje ministrem edukacji, to zastanawiasz się, czy może nie jest dobrze, że ministerstwo mieści się w dawnej siedzibie gestapo".

Wsłuchajmy się uważnie: oto minister edukacji polskiego demokratycznego rządu zostaje zestawiony, a nawet zrównany z tymi, którzy polską młodzież katowali i mordowali w gmachu na Szucha. Gmachu rzeczywiście strasznym. Tak strasznym, że byli i są ministrowie edukacji, którzy z szacunku dla ofiar niemieckiego bestialstwa nie chcieli tam urzędować, wybierając do codziennej pracy inne gmachy.

W Polsce można już powiedzieć wszystko. Można do tego celu użyć także krwi Polaków katowanych i mordowanych przez gestapo. Nikt nie powie, że to zwykła podłość tak się bawić cierpieniem Kolumbów. Nikt się o tych harcerzy i żołnierzy Armii Krajowej nie upomni. Cisza.

To jest bezczelność w istocie sowiecka. Nie tylko z tej racji, że ordynarnie odwraca znaczenia i instrumentalizuje wszystko, także największe świętości, lecz także dlatego, że stanowi dosłowną kopię języka komunistów z okresu powojennego. Oni też nazywali siebie obozem demokratycznym, a drugą stronę – czyli AK-wców i PSL-owców – faszystami. Było oczywiście i jest całkowicie odwrotnie. Demokraci to w istocie byli totalitaryści, a domniemani faszyści z AK nieśli wartości prawdziwie demokratyczne.

W jesiennych wyborach Polska z AK naprawdę zmierzy się z Polską z UB. Niezależnie od tego, że po obu stronach są ludzie o bardzo różnych życiorysach. Kłamstwo, które chcą narzucić naszemu narodowi, jest tak samo wielkie jak to, które przynieśli tu z sobą komuniści. Metody inne, ale cele już mocno podobne.

Jacek Karnowski

Różaniec nadziei

Scena, w której 8 tys. mężczyzn odmawia różaniec i śpiewa pieśń do Matki Bożej w bydgoskim kościele, obiegła cały świat. Mowa oczywiście o ogólnopolskim spotkaniu wspólnoty Wojownicy Maryi, które odbyło się 14 stycznia w bazylice św. Wincentego à Paulo w Bydgoszczy. Katolicki influencer Sachin Jose, którego na Twitterze śledzi prawie 100 tys. osób, opublikował zdjęcie ze spotkania i skomentował: „A mówią, że w Europie umiera wiara".

Rzeczywiście, Wojownicy Maryi, a także inne wspólnoty skupione wokół męskiego różańca stają się ważnym świadectwem dla wszystkich wierzących katolików na świecie. W czasach, gdy publiczne świadectwa wiary stają się coraz rzadsze, ich gotowość do okazywania miłości, wiary oraz sposobu modlitwy, którą nawet znaczna część współczesnych katolików uważa za anachroniczną, jest zachęcająca i inspirująca. I wydaje się, że właśnie na to reaguje coraz większa liczba wierzących, którzy potrzebują odważnego świadectwa.

W Chorwacji w kilku miastach od dawna jest organizowany męski różaniec. Podobnie jak w Polsce za inicjatywą stoi kilka wspólnot modlitewnych. Chorwackie modlitwy zostały zainspirowane inicjatywą z Polski. Podobnie jak w Polsce w Chorwacji także inicjatywa spotkała się z ostrym atakiem w lewicowo-liberalnych mediach, które chętnie pokazywały znane osoby naśmiewające się z modlących. Jeden z aktorów zamieścił w swoich mediach społecznościowych zdjęcie, na którym on i jego przyjaciele modlą się o dobry gulasz. Kilka dni później pojawił się w jednym z najchętniej oglądanych programów w telewizji publicznej i został przedstawiony jako bohater wolności słowa.

Lewicowe media wykorzystują liberalnych teologów do krytyki tej inicjatywy, którzy przedstawiają odmawianie różańca w miejscu publicznym jako ideologię. To podobna sytuacja jak w Polsce, gdzie duchowy opiekun modlitwy różańcowej, ks. Dominik Chmielewski, został zaatakowany właśnie ze strony środowisk religijnych.

Mimo tych przewidywalnych reakcji jedno jest pewne: ta jedność w duchu polskich i chorwackich wierzących jest czymś wyjątkowym. Jest to proces organiczny, który odbywa się poza instytucjami i ma swoje źródło w identycznym *sensus fidei*, który panuje w Kościołach tej części Europy.

Goran Andrijanić

Autopromocja

eprasa.pl a678eb2f54

SIECI spis treści

38 Równia pochyła Szymona Hołowni
Dorota Łosiewicz

54 Kwadransowe miasta
Dariusz Matuszak

63 Pianiści z blokowiska
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GNIEW WODZA OTUA**
Krzysztof Feusette

9 **PRZYSZŁOŚĆ JAK ZE STAREGO HORRORU**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **DZIERŻYMORDA ŻĄDA CENZURY**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **POLITYCZNA KRÓTKOWZROCZNOŚĆ**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA RAFAŁA SZAŁAJKI**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **POLSKA ZWIĘKSZA ZAKRES OCHRONY OFIAR PRZEMOCY DOMOWEJ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **PARASOL Z OLIMPU**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **EUROPEJSKA GANGRENA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

25 **ZAWISŁOŚĆ BEZOBJAWOWA ALBO POLOWANIE NA 3064**
Jan Rokita

28 **WYPROWADZANIE TRZASKOWSKIEGO**
Stanisław Janecki

30 **Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

36 **BANICJA PAMIĘCI**
Aleksandra Rybińska

38 **RÓWNIA POCHYŁA SZYMONA HOŁOWNI**
Dorota Łosiewicz

40 **NOWA WERSJA DONALDA TUSKA**
Jakub Augustyn Maciejewski

42 **DEKARBONIZACJA PONAD WSZYSTKO**
Maciej Walaszczyk

44 **SEKS NA HANDEL**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

47 **BILANS STRAT I ICH KONSEKWENCJE**
Marek Budzisz

50 **WATYKAN PO ŚMIERCI BENEDYKTA XVI**
Grzegorz Górny

52 **NIEBEZPIECZNY TIKTOK**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

54 **KWADRANSOWE MIASTA**
Dariusz Matuszak

57 **NIEZWYCIĘŻONA ROSJA?**
Marek Klecel

HISTORIA

60 **ROZMOWA O OBOZIE NA PRZEMYSŁOWEJ**
Jolanta Sowińska-Gogacz

SIECI KULTURY

63 **PIANIŚCI Z BLOKOWISKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **DLACZEGO „EMPUZJON" NIE JEST ARCYDZIEŁEM?**
Jerzy Biernacki

69 **ZAREMBA SŁUCHA RADIA**
Piotr Zaremba

70 **ŚWIĘTA ŚMIERĆ**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

84 **MOJE SMAKI: MIJIN MOK**
Jolanta Gajda-Zadworna

85 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

86 **DĄŻENIE DO PRAWDY**
Alina Czerniakowska

87 **SZCZERY JAK SCHOLZ**
Wiktor Świetlik

87 **MACIEK NAD MAĆKAMI**
Lech Makowiecki

88 **FRYZOWNIE BANANÓW**
Piotr Cywiński

88 **VERDI Z WOJNĄ W TLE**
Adam Ciesielski

89 **COŚ WESOŁEGO?**
Leszek Długosz

90 **SZMELC, INFOSZMELC**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl a678eb2f54

Rola franczyzy w rozwoju przedsiębiorczości

Rola franczyzy jako modelu biznesowego wciąż rośnie. Popandemiczny raport o rynku franczyzy firm należących do Polskiej Organizacji Franczyzodawców (POF) wskazał, że choć nie był to najłatwiejszy dla gospodarki czas, w ostatnich dwóch latach wzrosła liczba franczyzobiorców. 8 na 10 franczyz w naszym kraju to rodzime marki

Największy przyrost franczyzobiorców zanotowały firmy z branży spożywczej, nawet o 10–20-proc. Z siecią Żabka swoje biznesy prowadzi już ponad 7,8 tys. franczyzobiorców, który mają również znaczący wpływ na rozwój przedsiębiorczości. Wspólnie z nią tworzą ponad 45 tys. miejsc pracy, a także płacą lokalne podatki oraz angażują się w akcje społeczne w swoich miejscowościach.

– Bezpieczeństwo, sprawdzony model i szerokie wsparcie partnera – to jest to, co ma znaczenie. Współpracują z nami ambitni, młodzi przedsiębiorcy, dla których prowadzenie sklepu z Żabką stanowi doskonały początek drogi w biznesie, a także osoby z wcześniejszym doświadczeniem we własnej działalności. Do naszej sieci dołączają także osoby, które pracowały na etacie, a teraz realizują marzenia o swojej firmie. Dla wszystkich nasza oferta franczyzowa stanowi impuls do budowania atrakcyjnej ścieżki własnego rozwoju i daje dużą szansę na osiągnięcie sukcesu – zaznacza Przemysław Kijewski, dyrektor ds. operacyjnych w Żabka Polska.

BEZPIECZNA FRANCZYZA

Jak wynika z badania POF, w modelach franczyzowych zachodzą niezbędne zmiany, które mają na celu dodatkowo zmniejszyć inwestycje w ten rodzaj biznesu, a także zabezpieczyć franczyzobiorców przed rosnącymi kosztami czy różnymi ryzykami. Wynika z niego ponadto, że 80 proc. franczyzobiorców po pięciu latach kontynuuje prowadzenie swoich firm, przy jedynych 20 proc. przedsiębiorstw prowadzonych na własną rękę, bez wsparcia organizacji franczyzowej. Rozwiązania oferowane przez Żabkę są niezwykle ważne z punktu widzenia wyzwań, które stoją obecnie przed przedsiębiorcami. W sieci franczyzowej są stosowane narzędzia redukujące ryzyko wzrostu kosztów biznesu, a także chroniące przed potencjalnym niepowodzeniem. W sieci od 2021 r. działa unikatowe na rynku ubezpieczenie – „Polisa na biznes". Ma ona za zadanie chronić franczyzobiorców na wypadek ewentualnego zakończenia przez nich współpracy z ujemnym saldem. Przedsiębiorcy są ponadto wyposażeni w zestaw narzędzi i rozwiązań, których zadaniem jest wsparcie w zarządzaniu placówkami, dostawami, minimalizacja ryzyka przeterminowania towaru oraz lepsza organizacja pracy. Żabka realizuje różne programy edukacyjno-rozwojowe mające na celu wzrost kompetencji biznesowych swoich franczyzobiorców. Już na pierwszym etapie działalności są oni objęci sześciomiesięcznym onboardingem i opieką trenera-szkoleniowca, a do tego mają dostęp do platformy rozwojowej zawierającej bogaty programu kursów e-learningowych. Od października sieć wdraża Projekt Strategicznej Edukacji m.in. we współpracy z Politechniką Warszawską, którego celem jest rozwój kompetencji przedsiębiorczych i certyfikacja postępów.

Dodatkowo Żabka jako jedna z pierwszych firm podpisała Kodeks Dobrych Praktyk dla rynku franczyzy, którego celem jest zapewnienie wysokich standardów współpracy pomiędzy franczyzobiorcami a franczyzodawcami. Ponadto w ramach sieci działa Rada Franczyzobiorców – specjalny organ reprezentujący franczyzobiorców m.in. w kontakcie z centralą i wychodzący z wieloma inicjatywami, z których część jest implementowana.

Mimo zewnętrznych wyzwań, dzięki zaangażowaniu i dużemu wsparciu sieci, franczyzobiorcy rozwijają się także w aspekcie finansowym. Przeszło 77 proc. z nich osiągnęło w skali kraju między kwietniem a czerwcem ub.r. 22 tys. zł lub więcej przychodu miesięcznie.

FRANCZYZA WSPIERA

Sieć wspólnie z franczyzobiorcami tworzy ponad 45 tys. miejsc pracy w całej Polsce, w dużych miastach i maleńkich miejscowościach. Co więcej, Żabka szacuje, że jej wartość dodana w polskiej gospodarce wyniosła w 2021 r. 5,3 mld zł. Jako indywidualni przedsiębiorcy franczyzobiorcy zasilają ponadto lokalne budżety. Chętnie angażują się również w akcje społeczne, w tym takie jak choćby pomoc szpitalom w trakcie pierwszych faz pandemii czy obywatelom Ukrainy uciekającym przed wojną.

Franczyza to model biznesowy, który wspiera przedsiębiorców w rozwoju, a także wspiera rozwój przedsiębiorczości.

Więcej informacji na: https://www.zabka.pl/franczyza

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 24/1222/F

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a678eb2f54

Sygnalista nadaje

Forma prof. Bogusława Grabowskiego stale rośnie. Najpierw ujawnił prawdziwy program opozycji (zabrać świadczenia socjalne, sprzedać to, co zostało, podwyższyć wiek emerytalny), a potem błysnął taką oto wypowiedzią: „Polskie społeczeństwo za rządów PiS zostało tak przesunięte w kierunku populistycznym, że dzisiaj społeczeństwo samo w sobie będzie barierą dla zdrowego prorozwojowego programu, który podniesie Polskę na wyższy poziom cywilizacyjny". Trudno o lepsze podsumowanie intelektualnego dorobku polskich liberałów. Od samego początku uważali, że Polacy są przeszkodą dla ich planów, a nie ważnym punktem odniesienia. To okrutni doktrynerzy, których trzeba trzymać jak najdalej od władzy.

Prof. Przemysław Czarnek opowiedział z sejmowej trybuny kawał o szczycie bezczelności: „Szczytem bezczelności jest zabieranie przez was, wszystkich tu, głosów z tej mównicy przy okazji tej ustawy. Przez wiele lat jeździliście do Brukseli, do Strasburga, kłamaliście na temat Polski, Polaków, namawialiście brukselskich urzędników, by zabrali Polakom pieniądze, nie nam, Polakom. Wasi europosłowie Biedroń, nie-Biedroń, Róża von Thun coś tam po niemiecku, codziennie namiętnie kłamali na temat Polski i Polaków" – mówił minister edukacji. Zapewne w kontekście tego zdarzenia poseł PO Sławomir Nitras rzucił kolejną groźbę pod adresem polskiego katolicyzmu: „Po Czarnku zostanie tylko złe wspomnienie. Nie warto zniżać się do jego poziomu. A KUL za to, że to akceptuje, po prostu słono zapłaci. Bardzo słono". Po kim zostanie złe wspomnienie, to się jeszcze okaże.

Paweł Kukiz w Polsacie: „Istnieje zasadnicza różnica między szefami dwóch partii politycznych: Donald Tusk oddałby Polskę za czapkę śliwek, a prezes Kaczyński prawdopodobnie za Polskę oddałby życie". Już kiedyś to mówił, ale dobrze, że powtarza. Bo to prawda.

Słowa ***Sławomira Nitrasa*** bledną przy tym, do czego posunął się Tomasz Lis: „Czasem gdy faszysta zostaje ministrem edukacji, to zastanawiasz się, czy może nie jest dobrze, że ministerstwo mieści się w dawnej siedzibie gestapo". Słowa obrzydliwe, bo w istocie poniżające katowane ofiary niemieckich oprawców. Prof. Czarnek odpowiedział tak: „Faszyzm i nazizm niemiecki to różne rzeczy, ale to trzeba książki czytać. W każdym razie zwłaszcza ci drudzy schorowanym nie folgowali. A ja się będę za Pana po prostu modlił". Modlitwa to dobra rzecz, zwłaszcza za ludzi, którzy wprost kopiują język PPR, nazywając siebie demokratami, a ludzi tradycji patriotycznej – faszystami.

W czasie sejmowej debaty nad ustawą o Sądzie Najwyższym Borys Budka potwierdził, że rozprawa z „faszyzmem" po ewentualnym zwycięstwie opozycji będzie krwawa. „Wyrzucimy neosędziów, stworzymy nowy, legalny Trybunał Konstytucyjny i KRS, to wszystko zrobimy po wyborach" – deklarował szef klubu PO. Odpowiedział wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta: „To niespotykany atak na konstytucję, niezawisłość sędziowską, zapowiedź pogwałcenia zasady nieusuwalności sędziów. Prawdziwe oblicze PO, ich hipokryzji i ślepej żądzy władzy". Gdyby PO mogła, pewnie powołałaby odpowiednik stalinowskich trojek. Przecież w walce o demokrację konstytucja nie może być przeszkodą.

Budka z trybuny grozi, a w mediach społecznościowych szydzi na poziomie prawdziwie nastoletnim. „Po wysłaniu do Davos Sasina czas na Czarnka niosącego polską flagę na ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich" – ogłosił, chyba nikogo nie

eprasa.pl a678eb2f54

rozśmieszając. Odpowiedział dziennikarz Jacek Łęski: „Tak wygląda poziom komentarzy byłego szefa największej polskiej partii opozycyjnej, uważającej się za wykwit inteligencji, oświecenia i demokracji". Czasem pod względem kulturowym wygląda to na pierwsze pokolenie władzy ludowej, a nie trzecie czy też czwarte.

Podczas zamkniętego dla mediów posiedzenia klubu SPD ***Olaf Scholz*** miał przekonywać, by mimo presji z zagranicy i ze strony koalicjantów utrzymali dotychczasowy kurs w sprawie Ukrainy, w tym dostaw czołgów Leopard na Ukrainę. „Scholz miał powiedzieć uczestnikom spotkania, że po wspólnym zdjęciu Polak serdecznie podziękował za niemieckie wielkie wsparcie dla Ukrainy i poradził kanclerzowi, aby nie dał się zwariować żądaniami dotyczącymi Leopardów wysuwanymi przez polski rząd" - informuje „Sueddeutsche Zeitung". To był chyba jakiś POP – pełniący obowiązki Polaka.

Kilka dni później w Berlinie gościł wiceszef MSZ i autor raportu poświęconego polskim stratom wojennym Arkadiusz Mularczyk. I też biegał: „Wczoraj w trakcie joggingu w Berlinie spotkałem niemieckie małżeństwo, które chciało wypłacić Polsce kilkaset euro tytułem reparacji wojennych. Mówili, że im bardzo wstyd, że rząd Niemiec tak długo zwleka z wypłatą Polsce reparacji za zniszczenia i rabunek podczas II wojny światowej". To rzecz jasna celowy pastisz słów Scholza. Dowcipne, ale mało prawdopodobne. Niemieckie serca były i są twarde, a często także brutalne.

Publicysta „Die Welt" Jacques Schuster o relacjach polsko-niemieckich napisał tak: „Jak w każdym zniszczonym małżeństwie obie strony ponoszą za to winę. Berlin za bardzo oglądał się na Moskwę". I dalej: „Z psychologicznego punktu widzenia kryje się za tym głęboka niemiecka potrzeba sympatii. W gruncie rzeczy Berlin chce wszystkich kochać i być kochanym przez wszystkich". Wreszcie puenta: „Polski rząd działa brutalnie i nienawistnie. Konsekwentnie zamyka się na fakt, że naród sędziów i katów z lat 1933–1945 stał się całkiem cywilizowanym, pokojowym społeczeństwem, które stara się o pojednanie i chce porozumienia z sąsiadami. Po 1945 r. Niemcy musieli ujarzmić dzikie zwierzę w sobie i to się udało". Cóż, czasem ludziom wydaje się, że się zmienili, a tak naprawdę to jedynie nowa maska. Z narodami też tak bywa.

Gdy tylko Polska jako tako stanęła na nogi i przestała być potulną owieczką godzącą się na wszystko, na powierzchnię wyłażą stare potwory. Oto niemiecki historyk prof. Roland Asch stwierdza jasno: „Polska pod obecnymi rządami nie jest naszym partnerem, jest naszym wrogiem, więc zrozumiałe jest, że Scholz trzyma otwarte drzwi do porozumienia z Rosją". Historyk zacytował komentarz niemieckiego internauty, który napisał, że po II wojnie światowej „Polska przejęła ćwierć Rzeczy Niemieckiej i wypędziła 12,5 mln Niemców (z czego 2,5 mln zmarło)". Jak widać, nie wszyscy Niemcy oswoili w sobie dzikie zwierzę.

Doświadczenia Polaków mieszkających w Niemczech bywają różne. Ewa Wanat, była szefowa radia TOK FM, w relacji dla portalu Onet podsumowała je tak: „Mieszkam w Berlinie sześć lat. Przez 15 lat w Warszawie nie spotkało mnie tyle plag, co tutaj". Konkrety? „O mało nie zostałam napadnięta, dużo nie brakowało, a rozjechałaby mnie ciężarówka, gdy jechałam na rowerze, zalało mi mieszkanie". Dziennikarce na emigracji nie podoba się także to, że kierowcy nie przepuszczają pieszych, w wielu miejscach nadal nie można płacić kartą, a w metrze okropnie śmierdzi. Dowiadujemy się też, że mieszka w kamienicy, w której od czterech dni nie działa ogrzewanie, nie ma również ciepłej wody. Cenna szczerość.

Ale Ewa Wanat nadal kocha Berlin. „Częściowo te niedostatki rekompensuje to, jak często się ludzie do siebie uśmiechają na ulicy. I powietrze, którym się lżej oddycha, nie tylko dosłownie, ale i w przenośni. Ta przenośnia nawet ważniejsza" – podkreśla. I zapewnia: „Tu się nie liczy ani wypchany portfel, ani zadarty nos na stanowisku. W berlińskim różnorodnym tłumie każdy jest u siebie i każdy może być tym, kim chce. Stolica Niemiec przyciąga artystów, twórców różnej maści, freaków. Z Polski przyjeżdżają informatycy, projektanci, graficy, filmowcy, a nawet poeci". I choć miasto nie jest bezpieczne, statystyki kryminalne są dużo wyższe niż w Warszawie, to jednak pani Wanat czuje się bezpieczna. Dlaczego? „Berlin nade mną czuwa"- zapewnia. Nad nami czuwa Warszawa i inne polskie miasta, miasteczka i wsie. Bo Polska jest święta.

Roksana Węgiel, 18-letnia piosenkarka, triumfatorka Eurowizji Junior: „Jak czuję potrzebę, to idę do kościoła. To nie jest tak, że to jakiś przymus. Po prostu chcę tam chodzić. Można trafić na fajną mszę, kazanie. Trzeba przełamać stereotyp, że jak ktoś chodzi od kościoła, to jest wapniakiem. Chodzę do kościoła z moją ekipą, która jest bardzo współczesna i są to superziomale". Gwiazda przypomniała sprawę podstawową: „Trzeba uświadamiać ludzi, że Kościół może być czymś umacniającym. Nie chodzę tam dla księży, tylko dla Boga. To jest wiara. Kościół to dla mnie wspólnota ludzi łączących się w miłości do Boga". Mogłaby milczeć, mogłaby płynąć z prądem i powtarzać różne bzdury, a ona odważnie mówi prawdę. Bierzmy z niej przykład.

Fot. M. Czutko, Grand Warszawski/Shutterstock, Alexandros Michailidis/Shutterstock

eprasa.pl a678eb2f54

Gniew wodza Otua

KRZYSZTOF FEUSETTE

Szanowne państwo, nie o take Polske walczyłem sam ze sobą, kiedy pokonywałem esbeków, i nie po to żem rząd Olszewskiego obalał razem z dzisiejszym lyderem opozycji, żeby teraz czuć się tak, jak się czujem, i to we sanktuarium, znaczy się sanatorium. A jako żem dawno nie zabierał głosu w sprawach publicznych, pragnem się z państwem podzielić tem i owem. Najważniejsze to jest to, że wycofujem mojem szympansowanie, znaczy się sympatyzowanie, tak jest, ze Platformom Obywatelskom. To jest ta partia, która na opozycji miała być najsilniejsza, skoro ja żem żadnej nie założył. Mniewałem take koncepcje, ale mnie żona Danuta usadziła podczas przekazywania na żywo, żebym rodziną się, kurde, zajął. To się zająłem – wyjazdamy do Meksyku i Stanów Zjednoczonych. Jak mówyłem i apelowałem wielkokrotnie – jestem bankrutem. Na zagramanicznych wojadżach muszem mówić, że podobajom się mnie dzieła Markeza, znaczy się, Marksa. I Engela, tego trenera. Oraz Lenyna. To mówiem, że fajne, ale ja w praktyce byłem lepszy. Bo ja komunę robyłem, jak chciałem, szczególnie w Gardłamowie, czy jakoś tak. Oni do mnie: „Panie, pan nie możesz codziennie mnieć ymienyn!". A ja na to: „Chłopaki, mnie się to potłukło!". Cienkie Bolki byli. Nie w tem sensie, że donosily, ale zero pomyślunku. A potem wszystko Kyszczakowa sfarbybrykała z zazdrości, że my się z Kyszczakiem lubimy. Te ipeeny, Cenckiewicze – to jest wszystko do rozlyczenia. Tylko że najpierw – wiem, co mówiem – trzeba wygrać wybory.

No i tu się zaczynają schody nieruchome. Bez programów to się nawet pralka rozwaly, a wyborów się nie wygra, choćby skały sr...ły, a tefałeny cztery prawdy jednej doby nadawali. Ja im program dawałem: pozamykać pysiorów w więzieniach albo powyrzucać przez okna. Lempartowa swoje dokrzyczała, Tusk w Brukseli po prośbie poszedł i przynajmniej szły rezolucje jak napalm na Wietnam. Ale kluczowe było, żeby zablokować unijne pieniądze. Żeby z głodu pozdychali, jeden z drugim. Ochojska gardłowała, Thun und über alles za komysarzami biegała, Halicky słowo w słowo po Niemcach powtarzał, wielu swój wkład do tego mniało i niech im euro lekkim będzie, bo tak było dobrze. A co teraz te totalne – już nie powiem, co – robią? Wstrzymaly się od głosu tak, żeby PiS mógł pieniądze z Unii przywieźć? No, panowie mily, tak się wojny polsko-polskiej nie wygra. I powiem teraz szczerze, jak przy Mnietku Kapciowym: nie wiem, co to jest, ale kiedy tylko kogoś poprem publycznie, to zaraz coś takiego w niego wstępuje, że nie chcem, ale muszem swoje poparcie natychmiast wycofać. Jak powiedziałem, że podoba mnie się Kosiniak-Kamysz, to mnie ugryzł. W te rękie wyciągniętą! Znaczy się, nie dosłownie, ale tak na mnie nagadał, że trzeba było powiedzieć: do wydzenia, ślepa Gienia, przyszła kryska na tygryska.

Mniał, ludowiec jeden, okazję uzyskać poparcie człowieka, we którym geniusz mniesza się ze skromnością. Jak UFO przyleci – a mojem zdaniem przyleci na pewno – będzie tłumaczył, że nie wiedział. Ja to już jestem w tym wieku, że nie wiem, kto nas tutaj przysłał. Niektóre mówią, że motorówkie ze mną widziely pod stocznią, ale wcześniej to się ślad urywa. No, ale żeby kosmity łódkami pływaly? Czyli że woda w kosmosie jest! O, i takie odkrycia ja mam praktycznie codziennie, a zaczęło się chyba od Nobela. Już troszkie inaczej człowiek na siebie w lustrze patrzył. Ja się do dzisiaj nie mogę odpędzić od fanów, a każdemu trzeba mówić: „Tak to ja, ten, któren obalył komunizm w pojedynkę, temi rękami, głową i yntuicją". I właśnie z myślom o takych obywatelach nie chcem, ale muszem powtórzyć, że z dniem dzisiejszym... albo nie, od przedewczoraj, ja, z tych Wałensów, Lechu Bolesław, tfu, przecież ja nie mam drugiego, ostatecznie, znaczy się, na dzień dzisiejszy, wycofujem swoje szympa..., to jest sympatyzowanie ze Platformom Obywatelskom. Jej członkami i wyżej, aż do samego szczytu. Do państwa mówiem, szanowne państwo, że u mnie macie przechlapnięte i wiecie, za co. Bo żeście się wstrzymaly i pomogli PiS-owi w totalnym bałaganie, który samy żeście im wspólnie z Brukselom zgotowaly. No, to albo rybki, albo mielone. A oni mnie mówiom: „Nie moglim inaczej, bo cały czas powtarzalim, że przez PiS nie ma kasy i by wyszło szydło z worka". To ja im mówiem: „Ale Szydło już nie jest premierem, zakute pały!".

Także tu się nasze drogi rozchodzom jak pieniądze z Hameryki, które przywiezłem nie raz i nie dwa. Żeby taki człowiek musiał za ocean po wypłatę latać? Kiedyś się za jednego losa pralkie kupowało, a dziś nawet na zdrapkie brakuje. Więc muszem na koniec zaznaczyć na zasadzie posta scriptum, że co się tyczy tego sympatyzowania, to to jest wycofanie – jak mówiłem – na dzień dzisiejszy. Może dlatego, że było darmowe, a gratis to się nawet na kolegie nie donosi? Może gdybym ja wiedział, że nie powinienem się krytycznie przyglądać albo może troszkie mniej, bo coś z tego będzie nie tylko dla opozycji, ale dla mnie, toby mnie sie punkt spojrzenia zmienił? Przecież kiedyś to ja „Wyborczą" nie powiem, co sobie robiłem, a teraz jacy przyjaciele?

Znaczy się, krótko i na temat: gdyby ktoś się mnie zapytał, jak to wszystko rozwiązać, tobym mu podsunął, za symboliczną opłatę, że najlepiej zrobić coś nowego. Na ten przykład Komytet Honorowych Dawców Głosów dla Peło Obywatelskiej, imnienia elektryka Noblysty. Potem wynająć salkie, skromną, na kilka tysięcy ludzi, a ja już im odpowiednie wykłady zrobiem i może być w euro, bo ja nie jestem przesądny. Nie chcem się rozpędzać, ale kto wie, może wtedy nawet wycofanie szympans..., znaczy się sympatyzowania z Tuskami, też mogem wycofać? Na wszelky wypadek podajem kontakt emaliowy: otua@przywodce.kom.peerel.

eprasa.pl a678eb2f54

Przyszłość jak ze starego horroru

Gdy patrzę na wizualizacje projektu EctoLife, nie mogę się otrząsnąć z przerażenia

Utkwił mi pamięci taki film, który oglądałam jakoś w latach 90. Prawdopodobnie mógł to być jeden z odcinków „Strefa mroku", która w latach 80. w USA powstała jako nowa wersja starego serialu. Ta wersja była emitowana w Polsce, liczyła sobie trzy sezony i 110 odcinków. Rzecz dzieje się w przyszłości. Rodzice mogą wybrać dziecko z katalogu, decydują o kolorze włosów, oczu, a odpowiedni zespół genetyków dokonuje modyfikacji. Bardzo rzadko, ale jednak się zdarza zespół odrzucenia genetycznego. Dziecko, które rodzi się na pozór idealne, z czasem staje się potworem. Bohaterami są dwie rodziny. Jedna, która zastanawia się, czy zaplanować dziecko idealne, i druga, która kiedyś to zrobiła, ale właśnie przydarzył jej się ów ZOG i chowa przed światem potwora w piwnicy. Pamiętam, że ów film zrobił na mnie piorunujące wrażenie, ale czułam też ogromną ulgę, że choć to horror, to jednak science fiction.

Okazuje się jednak, że straszna futurystyczna wizja, która utkwiła mi w pamięci z czasów odległej młodości, wróciła do mnie jako pomysł niemieckiego biotechnologa Hashema Al-Ghaili, który przedstawił wizualizację projektu laboratorium do produkcji ludzi. W mojej ocenie dość upiornego. „75 nowoczesnych laboratoriów, w których jednocześnie może przychodzić na świat nawet 30 tys. dzieci rocznie. Bez ciąży, bez ryzyka powikłań podczas porodu, bez zagrożenia życia matki. Za to w sterylnych kapsułach, do których reaktor doprowadza składniki odżywcze i płyn owodniowy. To wizja Al-Ghaili, jemeńskiego popularyzatora nauki, który w EctoLife widzi rozwiązanie problemu starzejących się społeczeństw oraz niepłodności" – opisuje projekt portal plodnosc.pl. „Pomysłodawca EctoLife wychodzi z założenia, że w nowoczesnym świecie nie ma miejsca na ciążę. Ta nie tylko obciąża zbyt mocno kobietę, lecz także nie zapewnia idealnych warunków rozwoju płodu, a to problemy, które w przyszłości należy rozwiązać. Zwłaszcza że ponoć już teraz świat nauki nie jest odległy od tego, aby doprowadzić do powstania sztucznego łona w formie kapsuły, w której to płód rozwijałby się w możliwie najlepszych warunkach" – relacjonuje z kolei portal chip.pl. Wszystko ma się opierać na sztucznej inteligencji, która będzie monitorować stan zdrowia dziecka i raportować każde potencjalne wady i choroby. Dzięki temu można będzie na każdym etapie zrezygnować z „ciąży", złożyć reklamację i zamówić kolejne – tym razem już zdrowe – dziecko. „Projekt EctoLife oferowałby także elitarny pakiet premium, w ramach którego rodzice mogliby wyselekcjonować i dowolnie edytować geny dziecka przed implementacją zarodka do sztucznej macicy, wybierając sobie kolor skóry, oczu i włosów dziecka, a nawet jego siłę fizyczną, wzrost czy inteligencję" – opisuje pomysł Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris.

Choć to na razie wizja, to jednak naukowcy przekonują, że jest ona jak najbardziej realna pod względem dostępnych technologii. „Wydaje się prawdopodobne, że dzieli nas tylko kilka lat od testowania sztucznych macic na ludziach" – napisała Elizabeth Chloe Romanis, naukowiec zajmujący się etyką społeczną i polityką w czasopiśmie „Journal of Medical Ethics". Tymczasem dr Carlo Bulletti, profesor nadzwyczajny na wydziale położnictwa, ginekologii i nauk rozrodu Uniwersytetu Yale uważa, że w pełni funkcjonująca sztuczna macica może zostać skonstruowana w ciągu najbliższych 10 lat. Wypowiedzi te cytuje zaś portal legaartis.pl.

Gdy patrzę na wizualizacje projektu EctoLife, nie mogę się otrząsnąć z przerażenia. To jednak straszne zdać sobie sprawę, że właśnie żyjesz w owej przyszłości, która kiedyś była tylko wyobraźnią twórców filmowych. W jaki horror mogą się obrócić takie projekty? Nawet boję się użyć wyobraźni.

Dorota Łosiewicz

Generał kontra premier

Czechy

Ponad rok temu władzę w Czechach objęła koalicja pięciu ugrupowań (prawicowych, centrowych i liberalnych), które zjednoczyły się przeciwko ANO – partii poprzedniego premiera Andreja Babiša. Po tym sukcesie wydawało się, że zwycięskie formacje wystawią swojego kandydata w wyborach prezydenckich, które wyznaczono na początek br. Tymczasem żadna partia reprezentująca obóz władzy nie wysunęła własnego pretendenta. Mało tego, nie uczyniło tego także żadne parlamentarne ugrupowanie opozycyjne, za wyjątkiem jednego – ANO, które desygnowało do wyścigu wyborczego Andreja Babiša. W efekcie poza nim do rywalizacji stanęło siedmiu konkurentów, z których wszyscy okazali się politycznymi outsiderami, wcześniej nieznanymi szerzej czeskiej publiczności.

Skąd taka decyzja rządzących partii? Po pierwsze, uznały one, że wystawienie przez każdą własnego kandydata oznaczałoby niszczący bój wewnątrz koalicji. Po drugie, stwierdziły, że ostra polaryzacja polityczna sprzyjałaby raczej Babišowi, dlatego postanowiły ustąpić miejsca jakiemuś bezpartyjnemu kandydatowi, który zdobyłby zaufanie społeczne jako autorytet nieuwikłany w przepychanki i walki frakcyjne.

Takich nadziei nie spełniła była rektor Uniwersytetu Mendla w Brnie – Danuše Nerudová, która skompromitowała się w debatach przedwyborczych swoją niekompetencją i dostała zaledwie 13,9 proc. głosów, zajmując trzecie miejsce. Znacznie lepiej poradził sobie były szef sztabu generalnego armii czeskiej i były szef Komitetu Wojskowego NATO gen. Petr Pavel, który wygrał pierwszą turę, uzyskując poparcie 35,4 proc. głosujących. Niewiele mniej, bo 34,99 proc. zdobył jednak Andrej Babiš, który tuż przed wyborami został oczyszczony przez sąd z wszystkich zarzutów w głośnej aferze „Bocianie Gniazdo". Proces, zamiast go pogrążyć, uczynił go ofiarą niesłusznych oskarżeń. W drugiej rundzie Czesi zadecydują więc, kto zostanie głównym lokatorem Zamku na Hradczanach w Pradze: przebiegły lis polityczny czy wojskowy weteran, ale nowicjusz w polityce?

Grzegorz Górny

Więcej niż złoto

Szwecja

W położonej na północy Szwecji Kirunie [na fot.] zostały odkryte największe w Europie złoża metali ziem rzadkich. To bardzo istotna wiadomość dla przyszłości gospodarki europejskiej, ponieważ metale ziem rzadkich są niezbędne do wytwarzania baterii, silników elektrycznych i turbin wiatrowych.

Do niedawna metale ziem rzadkich nie odgrywały większej roli w obiegu gospodarczym. Nie budziły one zainteresowania nie tylko dlatego, że nie widziano dla nich zastosowania, lecz także z tego powodu, że zazwyczaj nie występowały one w zwartych złożach i trzeba je było pozyskiwać – niekiedy po dużych kosztach – w różnych ubocznych procesach technologicznych. Dziś ze względu na rozwój technologii oraz transformację energetyczną metale ziem rzadkich należą do najdroższych i najbardziej poszukiwanych surowców na świecie, a ten, kto przejmie kontrolę nad ich pozyskiwaniem i wydobyciem, zyska ogromną władzę.

Bardzo szybko zrozumiały to Chiny, które zdaniem analityków z brytyjskiej firmy Roskill, kontrolują już 55 proc. światowej produkcji i 85 proc. rafinacji metali ziem rzadkich. Co więcej, bez skrupułów korzystają ze swojej dominacji, ograniczając – głównie na fali napięć politycznych ze Stanami Zjednoczonymi – eksport różnych strategicznych substancji i metali, co wywołuje ich deficyt oraz światowy wzrost cen.

Przykładowo – jak podała japońska agencja Nikkei – na rynku zaczęło brakować tlenku neodymu – wytwarzanego głównie w Chinach, kluczowego surowca przy produkcji turbin wiatrowych, co może źle wróżyć opłacalności energetyki wiatrowej. O 50 proc. wzrosła też cena stosowanego przy produkcji magnesów metalu rzadkiego o nazwie holm, a aż o 100 proc. prazeodymowego neodymu – tę dziwną nazwę nosi stop wykorzystywany przy produkcji elektroniki, w tym zwłaszcza głośników. Może to wkrótce przełożyć się na kolejną dużą podwyżkę cen komputerów. Na tych kilku przykładach widać, że rewolucja technologiczna na Zachodzie zbyt niebezpiecznie uzależniła się w ciągu ostatnich paru dekad od chińskich dostawców, co niesie za sobą poważne koszty ekonomiczne i polityczne.

Szwedzkie odkrycie ma więc kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa surowcowego Europy. Wielkość złóż na dotychczas przebadanej części szacuje się na blisko 1 mln ton. W okolicach Kiruny zlokalizowano 17 różnych metali ziem rzadkich, wśród nich m.in. neodym, cer i lantan. Jednak zanim rozpocznie się ich eksploatacja, minie kilka lat. „Wyzwaniem jest zdobycie niezbędnych pozwoleń. Istnieje wiele interesów, które mogą zostać naruszone, takich jak hodowla reniferów, obszary Natura 2000 i wpływ kopalni na środowisko" – ocenił prezes szwedzkiej kompanii górniczej LKAB Jan Mostroem. Firma chciałaby, by Komisja Europejska zliberalizowała przepisy górnicze. Musi też przełamać opór wyjątkowo silnych w Szwecji ekofanatyków, którzy z różnych pobudek ignorują podstawowe interesy państwa.

Konrad Kołodziejski

Zdjęcia: shutterstock

eprasa.pl a678eb2f54

Mołdawia

Czas na Naddniestrze

W połowie stycznia armia mołdawska otrzymała od Niemiec transportery opancerzone Piranha. Pomoc wojskową obiecały również Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Przedstawiciele separatystów z Naddniestrza obawiają się, że jest to początek przygotowań do siłowej likwidacji ich samozwańczej republiki, kontrolowanej faktycznie od 1992 r. przez Moskwę.

Na razie armia Mołdawii – w związku z wieloletnimi zaniedbaniami – jest w stanie, który uniemożliwia jej działanie – jak jesienią oświadczyła prezydent Maia Sandu. Jednak ta sytuacja może się zmienić, tym bardziej że władze w Kijowie również nie ukrywają, iż trzeba będzie w końcu rozwiązać problem Naddniestrza. Ukraińskie elity są zdania, że funkcjonowanie prorosyjskiego quasi-państwa na ich granicy jest w dłuższej perspektywie niemożliwe. Nawet nie dlatego, że stanowi ono zagrożenie wojskowe. Ukraina nie może sobie pozwolić na to, by w powojennych realiach, jak napisał Jurij Panczenko, wpływowy redaktor naczelny „Europejskiej Prawdy", większa część szlaków komunikacyjnych prowadzących do Rumunii i jej portów przebiegała przez tę separatystyczną republikę. Panczenko proponuje więc zablokowanie transportu rosyjskiego gazu do Naddniestrza, który obok przemytu jest głównym źródłem dochodu władz tego regionu.

Słup graniczny pomiędzy Ukrainą a Naddniestrzem

Blokada gazociągu, który zaopatrywał obok Naddniestrza także Mołdawię, nie byłaby dziś tak bardzo uciążliwa dla Kiszyniowa, ponieważ władze mołdawskie uruchomiły alternatywne dostawy gazu z Rumunii. Częściowo zastąpiły one import z Rosji wstrzymany jesienią wskutek sporów o należności. Dzięki temu Mołdawia jest dziś do pewnego stopnia odporna na gazowy szantaż Moskwy i ma narzędzie presji na separatystów.

Dodatkowym instrumentem nacisku na Naddniestrze są regulacje zaostrzające kary za działalność separatystyczną, które przyjął niedawno parlament Mołdawii. Jednocześnie mołdawski organ nadzoru elektronicznego unieważnił licencje dla sześciu stacji telewizyjnych, w większości powiązanych z prorosyjskimi socjaldemokratami, które retransmitowały w kraju prorosyjską propagandę.

Rząd w Kiszyniowie spieszy się, bo trudna sytuacja gospodarcza w Mołdawii, w której inflacja zbliżyła się do 30 proc. w skali roku, może doprowadzić do utraty władzy przez siły proeuropejskie w zaplanowanych na 2024 r. wyborach prezydenckich, chyba że prezydent Mai Sandu uda się przyspieszyć integrację z Unią Europejską. Nie jest to jednak możliwe, o ile nie rozwiąże się wcześniej problemu separatystycznego Naddniestrza.

Marek Budzisz

Chiny

Wirus podkopuje reżim

Sytuacja epidemiologiczna w Chinach to oficjalnie kilka tysięcy, a nieoficjalnie miliony zakażeń na COVID-19 dziennie. Mówiąc wprost, liczba infekcji jest tam najwyższa od początku pandemii w 2020 r. Choć oficjalnie zaszczepiono prawie 1,3 mld ludzi, wirus zaczął się gwałtownie rozprzestrzeniać po tym, jak 8 stycznia władze wycofały się z obowiązującej niemal trzy lata bezwzględnej polityki antycovidowej i przestały raportować dane na temat zachorowań.

W państwie Xi Jinpinga wprowadzono restrykcyjną politykę lockdownów, zakazy przemieszczania się i wychodzenia z domów, wielotygodniowe kwarantanny i obowiązkowe testy. Pod koniec ub.r. nawet w tak podporządkowanym społeczeństwie jak chińskie wybuchły protesty. Największe miały miejsce w 13 miastach, w tym w Pekinie, Szanghaju i Wuhanie, przybierając niebezpieczny obrót. Z powodu niekończących się lockdownów mocno ucierpiała także chińska gospodarka. Dlatego władze nieoczekiwanie zniosły restrykcje i zakwalifikowały zakażenie wirusem w wersji omikron jako chorobę podobną do grypy, nazywając ją koronawirusowym przeziębieniem.

Oficjalne statystyki były optymistyczne. Chińskie władze informowały o zaledwie kilku zgonach dziennie. Jednak liczba ciał wywożonych w workach z zatłoczonych szpitali, informacje o kolejkach w domach pogrzebowych i pojawiające się w amerykańskich mediach zdjęcia satelitarne dymiących na okrągło krematoriów, zdają się mówić co innego. Informowano też o przeciążonych telefonach do pogotowia ratunkowego – w niektórych miastach odbierano po kilkadziesiąt tysięcy wezwań dziennie.

W końcu przedstawicielka chińskiej Narodowej Komisji Zdrowia Jiao Yahui podczas specjalnej konferencji prasowej przyznała, że między 8 grudnia a 12 stycznia liczba zgonów związanych z COVID-19 w chińskich szpitalach wyniosła 59938 przy średniej wieku zmarłych wynoszącej 80 lat. Według tych informacji 5503 zgony były spowodowane niewydolnością oddechową wywołaną przez koronawirusa, a 54435 było wynikiem kombinacji COVID-19 i chorób współistniejących, więc nie włączono ich do oficjalnych statystyk.

W ocenie zachodnich ekspertów podawane dane, które obejmują wyłącznie zgony w szpitalach, są mocno zaniżone. Według zagranicznych prognoz w br. w Chinach na COVID-19 umrze ponad milion osób. Przy tak silnej epidemii istnieje duże ryzyko kolejnej mutacji koronawirusa, dlatego część państw zachodnich wprowadziła obowiązkowe testy dla przybywających z Chin. Wygląda więc na to, że represyjny reżim nie daje sobie rady z zarazą, co psuje starannie pielęgnowany wizerunek Chin jako wszechmocnej potęgi zdolnej rzucić wyzwanie całemu światu.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl a678eb2f54

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dzierżymorda żąda cenzury

Jan Pietrzak

W pewnej wypowiedzi na tematy bieżące powiedziałem, że cenzurowanie uczciwych mediów przez media nieuczciwe jest możliwe z powodu braku wolnych sądów. Ktoś zwrócił mi uwagę, że to brzmi dwuznacznie. Określenia „wolne sądy" używali bowiem niechlubnej pamięci bojówkarze kasty walczącej od paru lat z rządem. Otóż sądy mają być wolne od kasty właśnie. Od rozgrzanych nienawiścią frustratów, żądnych zemsty za urojone krzywdy natury politycznej.

Sądy nie są instytucją do rozstrzygania konfliktów politycznych. Po pierwsze, ludzie mają prawo mieć przeróżne poglądy. Po drugie, jakie poglądy dominują w społeczeństwie, decydują wyborcy. Last but not least – sądy nie mogą być stroną w sporach politycznych. U nas jednak są, a ponieważ mają znaczące wsparcie międzynarodowe, szkodzą Polsce na wiele sposobów.

Moje amatorskie teoretyzowanie potwierdza praktyka. Nasi wrogowie w PE głosują przeciw Polsce w każdej sprawie. Łżą jak najęci, prawdopodobnie za wymierne korzyści. Lider opozycji tak się rozhulał, że domaga się zakazu ujawniania jego prawdziwych poczynań. Film „Nasz człowiek w Warszawie" ma być zakazany, bo były król Europy tak sobie życzy, odźwierny Angeli, żółwik Putina!

Nie chwaląc się, z cenzurą mam do czynienia przez całe życie. Pewnie się komuś narażę, ale w PRL sytuacja była uczciwsza. Cenzor coś skreślał, coś akceptował, podpisywał się, stawiał stempel i człowiek wiedział, na czym stoi, jak kombinować, by cenzurę wykiwać. W III RP formalnie cenzura nie istnieje, ale stupajki w rodzaju starszego Bąka szaleją. Ja np. nie mogę występować w wielu salach, miastach, mediach. Osławiona niewidzialna ręka rynku sprawiła na początku lat 90., że mój kabaret wyrzucono z Warszawy, z wszystkich mediów i festiwali na wiele lat. Władcy Gdańska, Poznania itd. nie życzą sobie, bym demoralizował ich poddanych wywrotową pieśnią „Żeby Polska była Polską". Dzierżymordy nie bawią się w detale, cenzurują po całości. Ich program wyborczy: wygumkować, wyciszyć ludzi zatroskanych niszczeniem polskości w Polsce!

Uwaga! Zapraszam 29 stycznia o godz. 17.00 do Dobrego Miejsca, ul. Dewajtis 3, Warszawa, na koncert „Dziękuję ci Polsko!".

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nominacja dla ono/jeno

Dominik Zdort

30-letnia Emma D'Arcy została nominowana do tegorocznych Złotych Globów w kategorii „najlepsza aktorka" za rolę w serialu „Ród Smoka". Nie byłoby w tym nic sensacyjnego, gdyby nie to, że D'Arcy utrzymuje, że jest osobą niebinarną.

Tu krótkie wyjaśnienia dla tych, którzy zatrzymali się z kulturowym rozwojem jakiś czas temu: słowa „niebinarność" (czasem także „genderqueer") używa się wobec wszelkiego typu osób, które nie uważają się wyłącznie za mężczyzn lub wyłącznie za kobiety, lecz twierdzą, że ich tożsamość wychodzi poza banalny podział na dwie płcie. Mogą to być tacy, którzy uznają, że są dwupłciowi (nareszcie wiadomo, co miał na myśli Norwid, gdy pisał o „policjach tajnych, widnych i dwupłciowych"), trzypłciowi, wielopłciowi lub nawet i bezpłciowi.

Nie wiadomo, iloma płciami dysponuje Emma D'Arcy, ale życzy sobie, by o niej mówić „they/them", co opisujący sytuację polski portal przetłumaczył na „ono/jeno" (politpoprawne słowniki wyjaśniają to jako „rodzaj neutralny z elementami postpłciowego" i nakazują używać dla przykładu w taki sposób: „napiszę do nieno" i „powiedziałom nu, że je lubię").

Oczywiście brzmi to zabawnie, ale problem językowy dotyczący tego typu dziwacznych postaci to w sumie kłopot niewielki. Większy staje teraz przed całą branżą filmową, a właściwie przed organizatorami filmowych festiwali i innych konkursów. Bo w rzeczywistości postpłciowej pojawia się dylemat, do jakiej nagrody przypisać taką osobę, by jej nie urazić.

Można oczywiście uznać – i to byłoby logiczne – że nominuje się aktora/aktorkę w zależności od tego, jakiej płci jest odtwarzana przez niego/nią postać (choć akurat grająca Nikifora Krystyna Feldman dostała na festiwalu w Gdyni Orła za najlepszą rolę kobiecą). Ale co wtedy – a takie przypadki także będą wraz z upływem czasu coraz powszechniejsze – gdy filmowy bohater także będzie niebinarny?

Organizatorzy Złotych Globów pewnie siłą inercji nominowali Emmę do nagrody za najlepszą rolę kobiecą, bo jeszcze niedawno ona sama nie miała pojęcia, że jest niebinarna. Skoro jednak pojawiają się tego typu aktorzy, to czas już być może, by będące zawsze w awangardzie politycznej poprawności Hollywood dokonało przełomu iście kopernikańskiego: obok nagród dla najlepszych aktorów i aktorek utworzyło także podobne wyróżnienia dla wykonawców nieprzyznających się do żadnej z płci.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl a678eb2f54

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polityczna krótkowzroczność

UE, a więc i Polska, stanęła przed fundamentalnym wyborem. Polityka dominującego tandemu Unii, czyli Niemiec ze swoim francuskim junior partnerem i z aliantami z Beneluksu, okazała się klęską. Umożliwiła agresję Rosji na Ukrainę i doprowadziła do gospodarczych wstrząsów, które są tego konsekwencją. Odpowiedzialni za to próbują ratować się ucieczką do przodu, która nie tylko spowoduje uniknięcie rozliczenia, ale da im już formalną władzę nad kontynentem. Likwidacja weta w UE to nie federalizacja, ale jej centralizacja i pełne uzależnienie unijnych peryferii od centrum. To nie żadna wspólnota, ale neoimperium, które pozbawia niepodległości kraje Europy Środkowo-Wschodniej i uniemożliwia ich rozwój.

Tymczasem ostatnie tygodnie, a właściwie miesiące w polskiej polityce wewnętrznej upłynęły na rozprawianiu o KPO. Czy KE da nam należne fundusze, czy nie, czy warto iść na każdy kompromis, by je dostać, kto zagłosuje za podyktowaną przez Brukselę reformą SN, która podważa naszą konstytucję i suwerenność – to jeszcze były sprawy poważne. Przeważały jednak apele opozycji, by przekazać jej władzę, gdyż obłęd PiS blokuje pieniądze dla Polaków i wyliczenia, ile ma to nas jakoby kosztować. Donald Tusk na tle stadionu z forsą odwoływał się zarówno do wyobraźni, jak i zdolności rachowania rodaków oraz wskazywał, że jeśli podzielić 158,5 mld zł przez ich liczbę, to za właściwy, demokratyczny (!) wybór każdy z nas dostanie... Pieniądze mnożyły się jak króliki Lejzorka Rojtszwańca, a zwłaszcza multiplikowała się ich strata. Słyszałem przedstawiciela Związku Miast Polskich, który pomnożył fundusze z KPO przez dwa i oświadczył, że tyle już straciliśmy, nie otrzymując ich na czas. Skromny – mógłby pomnożyć przez osiem.

W jazgocie nie sposób było się zorientować, że dużą część funduszy KPO – a do pewnego stopnia wszystkie (to europejskie obligacje) – stanowią pożyczki, które trzeba będzie spłacić, co zaczęliśmy już robić. W ogromnej mierze mają one charakter celowy i są głównie przeznaczone na redukcję CO_2 w polskim przemyśle, a więc ich prorozwojowy charakter jest dyskusyjny. O tym, że nie są one specjalnie znaczące dla naszej gospodarki, prawie nikt nie wie ogłuszony lamentem jednych i entuzjazmem drugich.

Politycy – zarówno z opozycji, jak i rządu – doskonale zdają sobie z tego sprawę. Ci pierwsi traktują KPO jako szansę odzyskania władzy, a ci drudzy – jako zagrożenie jej utraty. Ekipa premiera Morawieckiego uznała, że oficjalna odmowa funduszy oznacza przegrane wybory. Toteż jest gotowa na podporządkowanie się KE, by tego uniknąć i cały czas powtarza, że kolejny kompromis (czytaj ustępstwo) oznacza odblokowanie KPO, co będzie miało dla Polski ogromne znaczenie. Retoryka ta wpisuje się we wspólny z opozycją trend radykalnego przeszacowania ekonomicznego znaczenia funduszów unijnych.

Proces ten zaczął się wcześniej wraz z kampanią promocyjną rządu Morawieckiego, zgodnie z którą KPO to wielki jego sukces i milowy krok dla naszego kraju. Jeśli przyznanie tych funduszy jest takim osiągnięciem, to ich zablokowanie jest klęską, o czym władze wtedy nie pomyślały. Ważniejsze jednak jest wpisanie się w narrację III RP, która wbrew faktom i zdrowemu rozsądkowi tłumaczy Polakom, że ich rozwój możliwy był i jest wyłącznie dzięki funduszom unijnym, a więc bez nich jesteśmy skazani na cywilizacyjną katastrofę. Ta głoszona przez ogromną większość ośrodków opiniotwórczych w naszym kraju propaganda, która żeruje na historycznych kompleksach Polaków, przynosi zatrute owoce. Efektem tego jest nasze psychiczne uzależnienie od UE, które uniemożliwia prowadzenie racjonalnej polityki i generuje żebraczo-niewolniczą mentalność.

Wygranie przez prawicę wyborów było szansą na zmianę tej postawy. Retoryka rządu wobec unijnych central się zmieniła, ale praktyka nie za bardzo. Te sprzeczne sygnały nie mogły spowodować przekształcenia postaw społecznych. Jeśli dziś rządzący przez swoją praktykę (i argumentację) dowodzą, jak ważne są fundusze unijne, to co ma sądzić zwykły Polak? I jak zagłosuje, kiedy z jednej strony będzie miał teoretyczne dywagacje na temat obrony weta, a z drugiej brak pieniędzy, które jakoby są gwarantem naszego rozwoju?

Politycy PiS z uzasadnieniem będą mówić, że obecna opozycja reprezentuje interesy unijnego establishmentu, a więc jej wyborczy sukces będzie nieszczęściem. Jeśli jednak nie zmieni się nastawienie Polaków wobec UE, to wynik wyborczy w tej podstawowej dla nas kwestii przestaje mieć istotne znaczenie.

Zachodnia prawica w imię wyborczego sukcesu dostosowywała się do dominujących opinii, które wcale nie były poglądami większości i w efekcie przestała się różnić od swoich konkurentów. Stała się jednym z elementów establishmentu, który broni dominującego układu. Czy niebezpieczeństwo to nie zaczyna zaglądać w oczy polskiej prawicy?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a678eb2f54

Walizka Rafała Szałajki

męża, ojca, aktora

Podróże to wolność. Uwielbiam podróżować z rodziną. Nie tylko daleko, lecz także niedaleko. Dziś jesteśmy w moim ulubionym Józefowie, gdzie zapuściliśmy korzenie. Mam nadzieję, że na bardzo, bardzo długo. Liczę, że tutaj zostanie rodzina Szałajków – mam czterech synów i jedną córkę – która się tutaj zakorzeni. Ta niedaleka podróż to np. na piękną plażę Czerwone Mury nad Świdrem, gdzie przyroda jest na wyciągnięcie ręki. Ta znacznie dalsza wyprawa to na Mauritius, gdzie udaliśmy się całą czeredą do moich przyjaciół. Uwielbiamy kraje Maghrebu o zupełnie innej kulturze, którą bardzo szanujemy. Jeszcze jako bezdzietni z Kasią byliśmy w Maroku, które porządnie zwiedziliśmy i na stałe zostało w naszych sercach. Na 15. rocznicę ślubu – też tylko we dwoje – udaliśmy się do Libanu, co było dużym wydarzeniem. Ten kraj też u nas mocno zagościł. Zafascynowała nas ta mieszanka Wschodu i Zachodu, chrześcijanie i muzułmanie żyjący w namiastce pokoju, gdzie św. Szarbel jest łącznikiem.

ZDJĘCIE OJCA

Ojciec amatorsko boksował. Jak byłem mały, zabierał mnie na walki pięściarskie. Zapamiętam go jako wysportowanego, niesamowitego człowieka. Wiedziałem, że w razie potrzeby będzie potrafił obronić naszą rodzinę. Przy ojcu zawsze się czułem absolutnie bezpieczny.

ETRUSKA FIGURA

Pochodzi spod Volterry. To kopia rzeźby etruskiego chłopca, odkrytej przypadkiem w chacie prostego Włocha, który używał jej jako pogrzebacza do kominka.

OBRAZ JANA SZCZEPKOWSKIEGO

Genialnego, rozchwytywanego malarza z mojego rodzinnego Sanoka. Ale Sanok to także Beksiński, którego osobiście znał mój ojciec. Pracowali razem na desce kreślarskiej... w Autosanie. Beksiński rozpalił wiarę sanockich malarzy, że można żyć z malarstwa, nie wyjeżdżając z Sanoka.

MISECZKI

Ormiańskie naczynia kupione w Jerozolimie, którą uważam za „miasto miast". Wszystkim ją polecam.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a678eb2f54

ŚW. SZARBEL

Nasz synek Wilhelm, gdy miał dwa lata, ciężko zachorował na późno zdiagnozowany nowotwór. I wtedy przyszedł do nas św. Szarbel. On nam dał bardzo dużo nadziei. Za zdrowie synka modlił się gorąco Kościół rozpalony charyzmatami. Uważamy, że Boga można prosić i wyciągać do Niego ręce, mówić Mu, czego chcemy. On nas wysłuchuje i daje wiarę, że choroba nie jest karą, ale lekcją i błogosławieństwem. Myśmy to zrozumieli.

TENIS

Sanok jest też miastem tenisa, o który zawsze się ocierałem, ale nigdy nie miałem czasu, żeby rozwinąć pasję. Tenis odkryłem na nowo, gdy raz zawiozłem najstarszego syna na korty. I tak ta przygoda trwa osiem lat.

SZWAJCARSKI ZEGAREK

To jest pierwszy zegarek mojego ojca. Przemycony przez marynarzy do stalinowskiej Polski, zakupiony za trzy pensje na czarnym rynku. Nosił go do końca życia, teraz ja kontynuuję tradycję.

KAFELKI

Są z różnych miejsc: Portugalii, Hiszpanii, Maroka, Jerozolimy. Lubię rzemieślników, zakłady rzemieślnicze, lubię rękodzieło, lubię coś, co zostało wykonane ludzką ręką.

„NOWY ROZDZIAŁ"

Podręcznik dla narzeczonych i młodych małżeństw mający zatrzymać lawinę rozwodów. Książka autorstwa mojej żony – Katarzyny Niedźwiedź-Szałajko, kobiety, którą miałem wielkie szczęście spotkać na swojej drodze.

RÓŻANIEC

Prezent od żony. Mam go zawsze przy sobie. Kiedyś różaniec traktowałem jako amulet. A teraz jest taką liną, która mnie łączy z Panem Bogiem. Jak za daleko odpadnę, to się nim przyciągam. Nie ma dnia, żebym nie odmówił choćby jednej „dziesiątki".

ŚP. EMILIAN KAMIŃSKI

Podziękowanie Emiliana Kamińskiego za ostatnią premierę „Wariatkowa". Pracowaliśmy nad spektaklem całe wakacje w Teatrze Kamienica. Emilian był moim mistrzem, który odkrył mnie dla warszawskiego teatru i obdarzył przyjaźnią.

RODZINA

O mnie się mówi: „To ten aktor, który ma z jedną żoną pięcioro dzieci". Dla mnie posiadanie wielodzietnej szczęśliwej rodziny jest ważne i ja to pokazuję ludziom. To najbliżsi dopingują mnie do dobrej pracy. Tak samo Kasia, dziennikarka telewizyjna, nigdy nie zrezygnowała z aktywności zawodowej m.in. dzięki wsparciu TV Puls.

KAWA

Mamy w domu 10-letni ekspres włoskiej marki Rancilio, który od rana pomaga wychować nam pięcioro dzieci. Espresso zawsze mnie fascynowało. Jak w latach 90. jeździłem z objazdowym teatrem, to w podrzędnych restauracjach edukowałem barmanki, jak należy robić małą czarną.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl a678eb2f54

OGNIEM NA WPROST

Tęczowi na Moskala!

Kacapska maszyna propagandowa dawno już przeszła samą siebie, a teraz poszła o krok dalej. Władimir Sołowjow, Anna Szafran, Olga Skabiejewa czy Margarita Simonjan – te nazwiska nie są nam już obce. Najbardziej załgani ludzie współczesnego świata. Wybitni propagandyści Kremla. Właśnie wymyślili coś nowego. Wszystkich, no może poza upadłym moralnie i intelektualnie ruskim społeczeństwem, zatkało. Z rosyjskich mediów właśnie się dowiadujemy, że „polskie władze nie są przeciwne tworzeniu w armii specjalnych jednostek gejów, lesbijek, osób biseksualnych i transpłciowych" prawdopodobnie po to, żeby walczyli z Rosją na Ukrainie. Na zmontowanym filmie z defilady Wojska Polskiego w dniu jego święta podrobiono niebieski pasek TVP i napis na nim: „Polska może stworzyć w armii jednostki LGBT+". Skoro jednostki specjalne, to ruski miał zapewne na myśli tzw. Homokomando. Wszak jeden z jego członków, dr Tomasz Sarosiek, wypowiadał się kiedyś gęsto w mediach: „Chcemy pokazać, że społeczność LGBT+ już dawno zerwała z wizerunkiem chłopaków, którzy – jak mówiła Krystyna Pawłowicz – nie potrafią wbić gwoździa w ścianę. Mamy siłę i niczego się nie boimy. Stąd nazwa Homokomando". Pasuje jak ulał. No to chłopaki, skoro niczego się nie boicie, to przed wami poważne wyzwanie! Nie Kaja Godek na ulicach Warszawy tylko ruska 71. Brygada Desantowo-Szturmowa (WDW) i wagnerowcy w ruinach Sołedaru. Zamiast latać z piórami wetkniętymi w zadek – do broni i na Moskala! Pokażcie Krysi Pawłowicz i całej reszcie, że nie tylko potraficie wbić gwóźdź w ścianę, ale i dokopać bojcom. Wracajcie z tarczą spod Bachmutu i Sołedaru, dzielni działacze mniejszości seksualnych i genderyści. Śmierć albo sława!

Do sieci właśnie trafiło kolejne nagranie z obwodu ługańskiego na Ukrainie, na którym widać nowo zmobilizowanych żołnierzy Putina tzw. mobików. Jeden Moskal namawiał drugiego, by nagrał go, jak strzela Panu Bogu w okno (czytaj: na oślep dla popisu) z granatnika przeciwpancernego RPG-7. Dureń wziął kamerę i zaczął filmować składającego się do strzału kompana. RPG to ręczny granatnik przeciwpancerny. Taka rura z pociskiem kumulacyjnym z jednej strony, a dziurą wylotową dla gazów odpalanej rakiety z drugiej. Kacap zarzucił sprzęt na ramię, wdrapał się na krawędź okopu i... Wszystko można obejrzeć na filmie kręconym przez drugiego bojca, łącznie z otworem wylotowym gazów skierowanym prosto na kamerę tuż przed wystrzałem. I jak w starym wierszyku z czasów Związku Sowieckiego: „Jakiś generał przesunął dźwignię, ogień pokazał się z rury / Jurij się tylko trzykroć przeżegnał, a pocisk pomknął do góry". Pocisk do góry, a gazy do tyłu – prosto w pysk kamerzysty. Na nagraniu można zauważyć, że „snajper" nawet nie ruszył na pomoc swojemu poparzonemu koledze, tylko zdezorientowany leżał na ziemi i nie mógł wydusić z siebie słowa. Po co Ukrom czołgi, jak ruski się sam pozabija?

Żarty żartami, ale Brytole traktują wojnę na Ukrainie poważnie. Właśnie oświadczyli – jak poinformował sekretarz obrony tego kraju Ben Wallace – że oprócz czołgów Challenger 2 przekażą Ukrainie ponad 100 pojazdów opancerzonych, w tym gąsienicowe transportery FV430 Bulldog. Cóż to jest Bulldog? To ulepszona wersja transportera opancerzonego armii brytyjskiej FV430 stworzona w 2006 r. przez BAE Systems na potrzeby brytyjskiej misji wojskowej w Iraku i Afganistanie. Brytyjski transporter jest obsługiwany przez dwuosobową załogę i może przewozić do 10 żołnierzy desantu. Pojazd został wyposażony w pancerz reaktywny i ochronę przeciwminową, zaprojektowane przez izraelską firmę Rafael. Bulldog osiąga prędkość do 52 km/h (nowsze wersje poruszają się 72 km/h). Angole swoje, a Niemiaszki swoje. Ostatnio Berlin stwierdził, że nie zezwoli na eksport niemieckich czołgów Leopard na Ukrainę, o ile swoich czołgów nie wyślą tam Amerykanie – poinformował w ubiegłym tygodniu dziennik „The Wall Street Journal", powołując się na wysokiej rangi niemieckich urzędników. Stary kanclerz – nowa wymówka.

„Nasze rakiety są, ku...a, najlepsze, tak samo czołgi. Czy nie mam racji? Stworzyliśmy najlepszy atom i nikt nie przeżyje, wszyscy umrą. Kurczatow stworzył pocisk nuklearny" – mówi jakaś Rosjanka na nagraniu zrobionym na ulicy. Odpowiedzieli jej dosadnie internauci: „Rosjanie są zepsutym społeczeństwem. Nie są częścią współczesnego świata. Nigdy nie byli. Nie stanie się to przez najbliższe pokolenia – jeśli w ogóle. Nikt we współczesnym świecie nie lubi przebywać w ich pobliżu. Nie potrzeba samolotów myśliwskich ani bomb nuklearnych, wystarczy wysłać kilka statków towarowych pełnych alkoholu do każdego rosyjskiego portu".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a678eb2f54

Polska zwiększa zakres ochrony ofiar przemocy domowej

Marta Kaczyńska-Zielińska

W połowie stycznia Sejm większością głosów przyjął projekt nowelizacji Kodeksu postępowania cywilnego oraz niektórych innych ustaw autorstwa Ministerstwa Sprawiedliwości nazywany ustawą antyprzemocową 2.0. Przepisy przyjęte przez parlament to kolejny instrument prawny mający na celu realne wzmocnienie ochrony osób pokrzywdzonych przemocą domową, a przede wszystkim kobiet i dzieci. Ustawa oczekuje na podpis prezydenta.

Przepisy antyprzemocowe obowiązujące od ponad dwóch lat okazały się skutecznym narzędziem w udzielaniu pomocy ofiarom domowej agresji. Do końca 2022 r. wydano ok. 9 tys. nakazów opuszczenia domu przez sprawców przemocy domowej, a zaledwie w trzech przypadkach sąd orzekł o ich uchyleniu. Statystyki wskazują wyraźnie, że osoby pokrzywdzone przemocą domową mogą liczyć na wsparcie państwa.

Obecnie obowiązujące regulacje stanowią, że osoba stosująca przemoc fizyczną, stanowiącą zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników, musi na mocy decyzji policji bezzwłocznie opuścić mieszkanie. Obowiązuje ją również zakaz zbliżania się do domostwa przez 14 dni. Dzięki wspomnianym regulacjom diametralnie zmieniła się sytuacja osób pokrzywdzonych, które uprzednio, chcąc uniknąć kolejnych aktów agresji, musiały uciekać ze swoich domów, a sprawca – o ile nie kwalifikował się do zatrzymania i zastosowania tymczasowego aresztowania – mógł w nim pozostać w związku z długotrwałym przeprowadzaniem procedur.

Nowelizacja przepisów rozszerza zakres ochrony osób pokrzywdzonych także poza ich miejscem zamieszkania. Nowe regulacje dostosowują się do realiów i za przemoc domową będą także uznawać *expressis verbis* przemoc ekonomiczną powodującą uzależnienie psychiczne i upokorzenie, a także powszechnie stosowaną we współczesnym wirtualnym świecie cyberprzemoc. Przesłankami występowania tej ostatniej będzie wywołanie u osoby pokrzywdzonej poczucia zagrożenia, poniżenia lub udręczenia albo istotne naruszenie prywatności. Przyjęty przez Sejm projekt rozszerza krąg osób objętych ochroną na niezamieszkujących razem byłych partnerów oraz – co niezwykle istotne – także na dzieci, wobec których przemoc nie jest bezpośrednio skierowana, ale jest dla nich niewątpliwie krzywdząca, bo są jej świadkami, a więc słyszały o działaniach przemocowych lub były ich naocznym uczestnikiem. Nowe przepisy z pewnością okażą się pomocne osobom doświadczającym cyberprzemocy i przemocy ekonomicznej ze strony byłych partnerów zarówno w stosunku do dorosłych, jak i dzieci, które często po rozwodzie są narażone na nękanie. Do katalogu uprawnień policji i Żandarmerii Wojskowej zostanie dodana możliwość izolowania sprawców od ofiar przemocy, również gdy stwarzają zagrożenie dla życia lub zdrowia innych osób poza wspólnie zajmowanym mieszkaniem. Będą one mogły także wydawać natychmiastowy zakaz zbliżania się do osoby dotkniętej przemocą na odległość ustaloną w metrach, zakaz kontaktowania się z osobą dotkniętą przemocą domową, by uniemożliwić jej nękanie (również za pomocą środków komunikowania się na odległość) oraz zakaz wstępu i przebywania w określonych miejscach, jak np. zakład pracy, szkoła, obiekt sportowy, gdzie uczęszcza osoba dotknięta przemocą domową lub jej dzieci.

Czynności prowadzone z pokrzywdzonym będą musiały być prowadzone z prawnie usankcjonowaną empatią – obligatoryjnie z uwzględnieniem indywidualnych potrzeb pokrzywdzonego i tak, by przesłuchanie odbyło się w sposób uwzględniający jego osobistą sytuację. Pouczenia o prawach i obowiązkach uczestników postępowania będą sporządzone w prostym, zrozumiałym języku. Dla osób nieporadnych ze względu na wiek lub stan zdrowia albo osób, które nie ukończyły 18 lat, zostaną sporządzone dodatkowe informacje na temat ich uprawnień i obowiązków w formie opisowej lub graficznej.

Warto zaznaczyć, że wprowadzając nowe przepisy prawa, Polska wejdzie do grona ścisłej czołówki państw o najwyższych standardach światowych w dziedzinie ochrony ofiar przemocy domowej.

REKLAMA

3/0123/F

eprasa.pl a678eb2f54

Parasol z Olimpu

Samuel Pereira

Nauczają, ale sami tego nie przestrzegają, narzucają innym wymagania – sami robiąc wszystko na pokaz. Zakładają maski obiektywnych, a są bardziej zacietrzewieni i radykalni niż zaprzyjaźnieni z nimi liberalni i lewicowi politycy. Walczą z mową nienawiści – sami ją stosując. Mówią o tolerancji, wykluczając i szczując na każdego, kto się z nimi nie zgadza, albo o wolności słowa, wciąż i wciąż próbując cenzurować innych. Oczekują zaszczytnych miejsc na bankietach i galach oraz wyrazów szacunku ze strony innych ludzi i zagranicy.

Mowa oczywiście o dziennikarzach z postępowego mainstreamu, którzy są jak współcześni faryzeusze. Ludziach, którzy lubią, gdy zwraca się do nich z uznaniem. Wywyższają się, zapominając, że wszyscy są równi. W swoich artykułach i publikacjach – niezależnie od tego, o czym mówią czy piszą – ciągle skupiają się na sobie i o sobie opowiadają. Mają w sobie poziom egoizmu odwrotnie proporcjonalny do empatii. To wszystko byłoby jeszcze jakoś do zniesienia, gdyby nie ich nienawiść do innych i wrogość do pluralizmu. Nie zapominajmy, że dla dobrej kondycji demokracji trójpodział i równowaga władz, konstytucja, wolność słowa i praworządność to nie wszystko. Obywatel przede wszystkim w demokracji musi mieć realny wybór, możliwie bogatą ofertę programową partii politycznych i kandydatów startujących w wyborach, a do tego jak najpełniejszą informację w mediach, a to zapewnia właśnie pluralizm. A jak jest w praktyce?

Ważny polityk publicznie skłamał i jest bezkarny. Czy takie rzeczy są możliwe w dużym europejskim kraju? Jak widać tak, w Polsce pod warunkiem, że chodzi o polityka PO. Cezary Tomczyk, bo o nim mowa, kilka dni temu publicznie zaatakował polski rząd i telewizję publiczną. W czasie wojny u sąsiada odwraca uwagę od Rosji, za cel obierając swój własny kraj i zarzuca Polsce, że gdy mówi o konieczności podniesienia VAT na benzynę z powodu decyzji Komisji Europejskiej – kłamie. Szybko okazało się, że jeśli ktoś wprowadza ludzi w błąd, to on, myląc podatek na paliwo z podatkiem na gaz. I co? I nic. Cisza. Tak działa medialny parasol ochronny nad PO.

Autor jest szefem portalu tvp.info

W żarnach historii

Z aktorem Adrianem Zarembą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kogo gra pan w serialu „Dom pod Dwoma Orłami"?

Adrian Zaręba: Karla, Niemca żyjącego we Wrocławiu przed wojną i w jej czasie, dziedzica fortuny, której dorobił się jego ojciec. Człowieka uwikłanego w relacje z hitlerowskim reżimem, świadomego, że to, co się dzieje, nie jest w porządku, ale mającego zbyt mało odwagi, by się przeciwstawić.

Jak ta serialowa opowieść wpisała się w inne produkcje z pana udziałem?

Zagrałem już w kilku kostiumowych filmach (m.in.: „303. Bitwa o Anglię", „Wołyń", „Powidoki", „Jack Strong", serial „Drogi wolności"). Scenariusz „Domu pod Dwoma Orłami" mnie uwiódł, dlatego że nie jest to prosta czytanka o dobrych Polakach i złych Niemcach, podłych ubekach i ofiarach komunizmu. To opowieść o ludziach, których mielą żarna historii.

Pracował pan przy tym projekcie z Waldemarem Krzystkiem, a wcześniej?

Miałem szczęście spotkać na swojej drodze wybitne reżyserskie osobistości. Zagrałem m.in. w ostatnim filmie mistrza Wajdy, widziałem go w wirze pracy. Z Wojciechem Smarzowskim spotykałem się w projektach współczesnych i historycznych. Za każdym razem były to głośne tytuły. U Władysława Pasikowskiego wystąpiłem tylko w jednej scenie – jako kierowca gazika podawałem karton Marcinowi Dorocińskiemu. Znacznie więcej miałem do zagrania w „Dziewczynach ze Lwowa" w reżyserii Wojciecha Adamczyka.

Gdzie można teraz pana zobaczyć?

M.in. w serialach „Gry rodzinne" (Netflix) i „To nie ze mną" (Stopklatka).

Fot. Rętka Mieszko / AKPA

eprasa.pl a678eb2f54

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

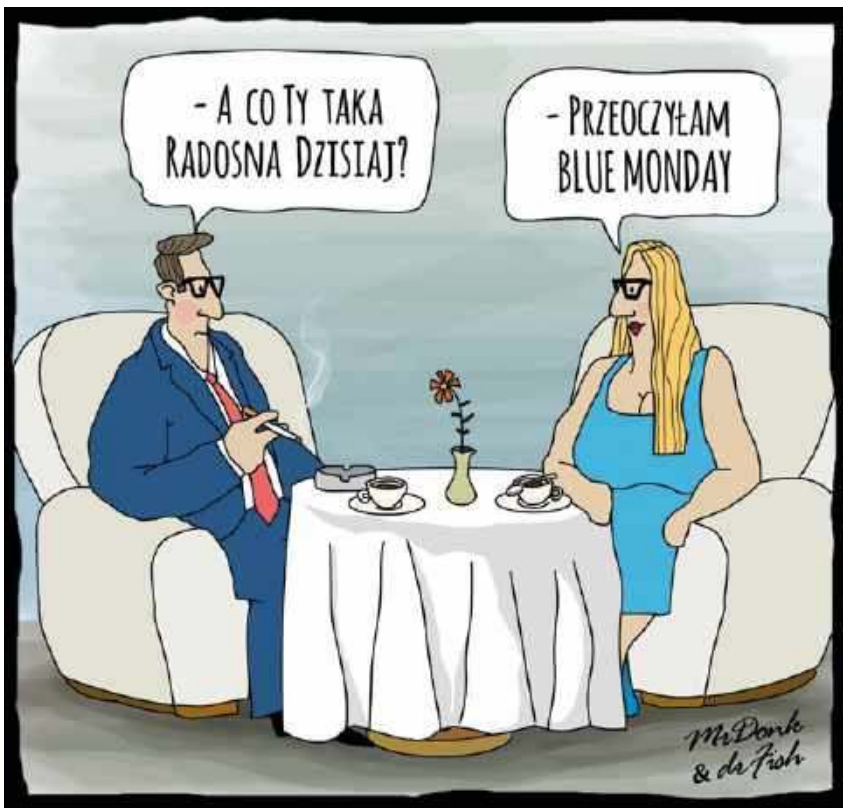

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, MIKHAIL METZEL/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/ALEXANDROS MICHAILIDIS, O_LYPA, GRANKIN ART, PHOTOSBYPATRIK, IHNATOVICH MARYIA, MARCO IACOBUCCI EPP, ALEKSANDR_PA_VECTOR

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

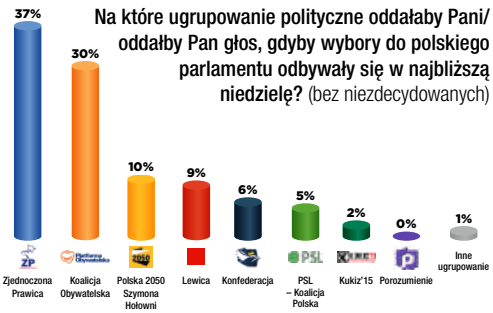

Jaki wpływ na dzieci mają według Pani/Pana takie media społecznościowe jak TikTok?

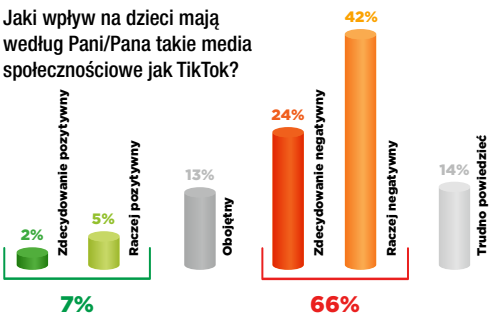

Czy poparłaby Pani/poparłby Pan wprowadzenie przepisów ograniczających małoletnim dzieciom dostęp do mediów społecznościowych?

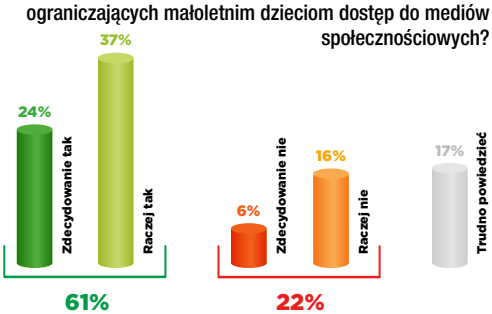

Kto powinien sprawować kontrolę właścicielską, czyli mieć całość lub większość udziałów w strategicznych dla kraju przedsiębiorstwach, takich jak rafinerie, elektrownie, kopalnie?

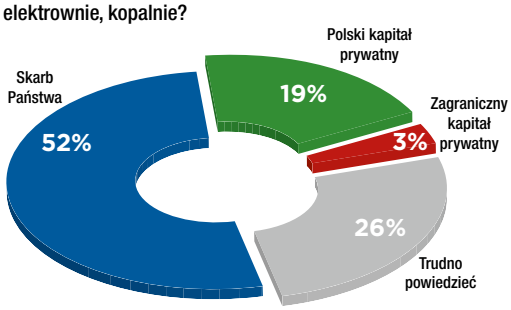

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1061.

Zakres czasowy badania 13–16 stycznia 2023 r.

eprasa.pl a678eb2f54

Europejska gangrena

Odkrywana w europarlamencie afera korupcyjna każe zadać pytanie: skoro można kupić przychylną opinię o Katarze, czy nie można kupić nieprzychylnej opinii np. o Polsce?

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ignorancja, brak wiedzy, manipulacje, polityczne zacietrzewienie i powtarzanie suflowanych przez polską opozycję kalk językowych – tak od samego spodu działa brukselska machina do łamania niezależności państw członkowskich. Przyjrzeliśmy się pierwszemu etapowi, na którym powstają zręby raportów, rezolucji i innych unijnych dokumentów mających na celu uderzyć w Polskę.

SPECGRUPA

W 2018 r. w ramach komisji LIBE (Komisja Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych) powstała w Parlamencie Europejskim Grupa ds. Monitorowania Demokracji, Praworządności i Praw Podstawowych (DFRMG). Ciało to utworzono po głośnych morderstwach dziennikarzy śledczych Daphne Caruany Galizii na Malcie i Jána Kuciaka na Słowacji. Ale szybko okazało się, że grupa jest doskonałym miejscem do tego, by rozpoczynać w niej kampanie wymierzone w krnąbrne kraje członkowskie, a zwłaszcza w Polskę.

Jej prominentni członkowie mają ogromny wpływ na komisarzy KE. A to właśnie w DFRMG powstają różnorakie stanowiska, raporty, służące później za podstawę do rezolucji Parlamentu Europejskiego czy działań Komisji Europejskiej, mające na celu np. zamach na

eprasa.pl a678eb2f54

Władimir Putin, Ursula von der Leyen, Eva Kaili

Eva Kaili od 2016 r. głosowała za niemal wszystkimi (18) rezolucjami uderzającymi w Polskę. Prawie zawsze podnosiła rękę wraz z europosłami polskiej opozycji, najbardziej była aktywna – to szczególnie irytujące – w kwestiach dotyczących tzw. praworządności

suwerenność państwa członkowskiego w kewstii sądownictwa.

Każda z frakcji w PE ma w DFRMG po dwóch przedstawicieli, w sumie to 14 europosłów. Z Polski zasiadają reprezentanci Europejskich Konserwatystów i Reformatorów Beata Kempa i Patryk Jaki. Większość posiedzeń grupy nie jest jawna ani nawet protokołowana, ale wiemy, jak wyglądają. Okazuje się, że tam, gdzie nie zagląda opinia publiczna, obrońcy europejskich wartości kompromitują się swoją niewiedzą w temacie, w którym mają rzekomo być ekspertami.

W kwietniu 2021 r. odbyło się jedno z najgłośniejszych wydarzeń organizowanych przez DFRMG. Na panel dyskusyjny zaproszono kwiat polskich bojowników o wolność i demokrację w sądownictwie – Ewę Wrzosek, Waldemara Żurka, Igora Tuleyę i Małgorzatę Gersdorf. Z zaproszenia nie skorzystał minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, na co już na początku posiedzenia z rewolucyjnym oburzeniem poskarżył się Kostas Arvanitis, deputowany z Grecji, należący do frakcji lewicy w PE (tej radykalnej, jeszcze bardziej na lewo od socjalistów i demokratów). „Czy nie powinno to zostać odebrane jako obraza całej instytucji?" – pieklił się grecki polityk, który całe swoje świadome życie przed 30 poświęcił na działalność w Komunistycznej Partii Grecji (zaczynał w jej młodzieżówce).

Na spotkaniu był również obecny Emmanuel Crabit, dyrektor ds. praw podstawowych i praworządności Komisji Europejskiej, do którego jeszcze wrócimy, a który rozpoczął nagonkę na Warszawę, opowiadając o niepokojach unijnych instytucji w związku z pracami polskiego Trybunału Konstytucyjnego i Izby Dyscyplinarnej SN (choć nic mu do tego – zarówno jako obcokrajowcowi, jak i brukselskiemu urzędnikowi).

Vladimir Bilčík, Czech z Europejskiej Partii Ludowej (członek grupy DFRMG) domagał się przyspieszonego trybu dyscyplinowania Polski. Podobnie jak Arvanitis: „Wydaje mi się, że KE powinna skończyć ze wstrzemięźliwością. Mamy porządek prawny, są określone konsekwencje, jeśli chodzi o prawa człowieka. Dlaczego KE stawia kroki tak powoli?". Resztę roboty wykonali polscy sędziowie i prokurator gardłujący o powstającym w Polsce systemie autorytarnym.

NIE DRĄŻYĆ!

Dużo ciekawsze są posiedzenia, na które dziennikarze nie są wpuszczani. Zajrzyjmy zatem za kulisy tego procederu.

Weźmy spotkanie z 8 września 2022 r. poświęcone sytuacji w hiszpańskim sądownictwie. Nikt z tamtejszego rządu nie pofatygował się na spotkanie. Posłowi z Grecji tym razem to nie przeszkadzało. Był za to obecny dyrektor Crabit. Na swoje nieszczęście, bo w czasie posiedzenia wykazał się głęboką abnegacją w sprawie polskiego systemu sądowniczego.

Europoseł Patryk Jaki poprosił go m.in. o to, by był tak miły i wskazał różnice między polską Krajową Radą Sądownictwa a jej hiszpańskim odpowiednikiem. Crabit po długim, acz niewiele wnoszącym wstępie wił się jak piskorz, by stwierdzić np., że to konstytucja państwa członkowskiego

Fot. Asatur Yesayants / Shutterstock, Alexandros Michailidis / Shutterstock, Alexandros Michailidis / Shutterstock, Shutterstock (2)

eprasa.pl a678eb2f54

może decydować o tym, jak ustanowić niezawisłość sędziowską, i hiszpańska ustawa zasadnicza to uwzględnia. Zupełnie jakby nie wiedział, że nasza też.

Jaki drążył również kwestię definicji standardów europejskich, o których Crabit mówił w kontekście rad sądownictwa, a których Polska ma rzekomo nie spełniać. W odpowiedzi usłyszał, że nie mniej niż połowa członków rady powinna być sędziami wybranymi przez swoich odpowiedników. I *de facto* tak jest w Polsce, bo większość KRS to osoby wybrane spośród kandydatów wskazanych przez sędziów. Inna sprawa, że owe standardy nie są nigdzie zapisane.

Polityk Solidarnej Polski chciał jeszcze zadać kilka prostszych, acz konkretnych pytań, m.in. ilu członków liczy KRS. Przewodnicząca grupy Sophie in 't Veld na to jednak nie pozwoliła. Chroniąc niewiedzę Crabita, uznała, że porównywanie sytuacji Hiszpanii i Polski jest nie na temat, a jeśli w wypowiedzi przedstawiciela KE pojawiły się jakieś nieścisłości, to Jaki może je sprostować na piśmie.

Podobnie wyglądała dyskusja z 8 grudnia, gdy omawiano sytuację w bułgarskim systemie. Wówczas Jaki również próbował dopytywać o europejskie standardy, lecz in 't Veld odbierała mu głos, zarzucając, że mówi nie na temat. A przecież owe standardy KE bez przerwy podnosi jako konieczne do wdrożenia przez rząd w Sofii.

Przykład państwa z Półwyspu Iberyjskiego doskonale pokazuje hipokryzję brukselskich decydentów. Bo choć Unia od lat widzi problem z tamtejszą Naczelną Radą Sądownictwa, to nie sięga po żadne ekstraordynaryjne (i pozatraktatowe) mechanizmy warunkowości i nie blokuje należnych Hiszpanii środków finansowych.

Dlaczego tak się nie dzieje? Zaskakująco szczerze przyznał to w minionym tygodniu Pedro López de Pablo, rzecznik Europejskiej Partii Ludowej (należą do niej m.in. polskie PO i PSL), gdy powiedział w Strasburgu: „Gdyby Hiszpania nie miała rządu lewicowego, to wiele frakcji w Parlamencie Europejskim apelowałoby o uruchomienie postępowania z artykułu siódmego".

Oto europejski standard.

DLA KOGO PEGA?

Proste stwierdzenie, że powyższe informacje podważają wiarygodność instytucji, która wzięła na cel Polskę, to w naszej ocenie zbyt mało. Polityczna gangrena, która od lat toczy Parlament Europejski, jest trudna, a może wręcz niemożliwa do opanowania. A ujawniona w grudniu ub.r. afera korupcyjna, w którą jest zamieszana m.in. Eva Kaili, była już wiceprzewodnicząca PE, nabiera coraz intensywniejszych rumieńców.

Polityczna gangrena, która od lat toczy Parlament Europejski, jest trudna, a może wręcz niemożliwa do opanowania. A ujawniona w grudniu ub.r. afera korupcyjna, w którą jest zamieszana m.in. Eva Kaili, była już wiceprzewodnicząca PE, nabiera coraz intensywniejszych rumieńców

Wspomniana już przez nas holenderska europoseł Sophie in 't Veld dopiero po wybuchu afery przypomniała sobie, że posiada wiedzę o tym, iż Kaili – wyznaczona na kontrsprawozdawcę raportu komisji ds. Pegasusa w PE (PEGA) z ramienia grupy socjalistów i demokratów – zataiła w podsumowaniu niektóre tropy, zwłaszcza dotyczące wątku marokańskiego. Oceniano go powszechnie jako ważny, bo dotyczący kraju, który używał oprogramowania szpiegowskiego do inwigilowania wysokich polityków europejskich: prezydenta Francji Emmanuela Macrona, premiera Hiszpanii Pedro Sáncheza, przewodniczącego Rady Europejskiej Charles'a Michela czy byłego premiera Włoch Romano Prodiego.

W świetle doniesień o gigantycznych łapówkach wręczanych unijnym urzędnikom nietrudno znaleźć motywację, którą mogła kierować się Eva Kaili, ale dlaczego członków komisji PEGA nie poinformowała o tym Sophie in 't Veld? Może przypadek marokański wydał jej się po prostu mniej ciekawy niż polski i węgierski? Bo na ten temat miała akurat sporo do powiedzenia m.in. na konferencji w listopadzie 2022 r., gdy komisja przedstawiła wstępne założenia do raportu. In 't Veld mówiła, że oprogramowanie szpiegujące w tych krajach stanowi integralny element całego systemu, który został zaprojektowany w celu kontroli, a wręcz opresji obywateli, którzy są krytykami rządu.

W tym brukselskim systemie naczyń połączonych należy oczywiście patrzeć na problem szerzej i mieć świadomość, że tak zdecydowane wnioski wysnuto po tym, jak przed PEGA stawili się senator KO Krzysztof Brejza, były szef Pracodawców RP Andrzej Malinowski, prokurator Ewa Wrzosek i lider Agrounii Michał Kołodziejczak. Ich przesłuchania podniesiono (przynajmniej w stacji TVN24) do rangi niebywałego wydarzenia. Polska opozycja była wniebowzięta, bo po kompromitacji komisji ds. Pegasusa w polskim Senacie udało się znaleźć forum, i to o wiele szersze, które przejęło narrację o rzekomo łamanej praworządności w Polsce. W świetle tego, co wiemy dziś, bardzo zasadna wydaje się kwestia podnoszona przez Dominika Tarczyńskiego, europosła PiS i koordynatora EKR w komisji PEGA: „Taka sytuacja powoduje pytania o transparentność relacji między członkami komisji, szczerość intencji oraz prawdziwe cele posłów zaangażowanych w pracę nad raportem".

KATARSKA FORTUNA

Po czteromiesięcznym śledztwie prowadzonym przez belgijskie służby zapadła wreszcie decyzja, że 9 grudnia ub.r. sprawę można finalizować. W piątkowy poranek funkcjonariusze weszli do 16 domów w Brukseli i okolicach. W jednym z nich, należącym do Evy Kaili, znaleziono worki z gotówką. Właśnie dlatego greckiej europoseł nie ochronił immunitet. Już w niedzielę została postawiona w stan oskarżenia i aresztowana decyzją sędziego. Zarzuty wobec niej i trzech innych osób

eprasa.pl a678eb2f54

to korupcja, udział w grupie przestępczej i pranie pieniędzy.

Dziś szczegółowo są analizowane wszystkie publiczne wypowiedzi Evy Kaili. Te dotyczące kraju organizującego ostatnie mistrzostwa świata w piłce nożnej rzeczywiście wydają się – delikatnie mówiąc – niedorzeczne. Katar nazywała „liderem w dziedzinie praw pracowniczych", a gdy PE debatował nad rezolucją, w której wyrażano „ubolewanie w związku ze śmiercią tysięcy pracowników w Katarze", ona mówiła o „historycznej transformacji", która miała „zainspirować świat arabski".

Zatrzymanie Kaili było tylko wstępem, następni w kolejce byli jej ojciec Aleksandros Kailis (wyniósł z jej domu walizkę pieniędzy), jej partner Francesco Giorgi (doradca europosła Andrei Cozzolino, do niego jeszcze wrócimy) i Pier Antonio Panzeri (do niego miały należeć pieniądze znalezione u Kaili), były włoski europoseł, który po zdaniu mandatu w 2019 r. założył lobbystyczną firmę o nazwie Fight Impunity [Zwalczać Bezkarność]. Jak się okazuje, to najprawdopodobniej wehikuł do prania pieniędzy z katarskich łapówek dla eurodeputowanych. Organizacja zaistniała w naszej świadomości w 2021 r., gdy opublikowała raport o prawach człowieka na świecie, w którym Polskę zrównano z Rosją, Arabią Saudyjską i Egiptem. Mogliśmy w nim przeczytać, że w Warszawie rządzą biali suprematyści i fanatyczni katolicy. Czy ktoś za te słowa zapłacił?

Panzeri i Cozzolino (wciąż z immunitetem) mieli manipulować debatami w Parlamencie Europejskim, by chronić Katar przed krytyką – donoszą belgijskie media. Sytuacja jest bardzo rozwojowa, bo adwokat Panzeriego najpierw złożył skargę na aresztowanie swojego klienta, ale szybko ją wycofał i oświadczył, że polityk będzie współpracował z organami ścigania. Dziś – jak donoszą media w Beneluksie – już sypie, a jego zeznania owocują kolejnymi zatrzymaniami.

PRZECIW POLSCE

Portal wPolityce.pl skrupulatnie wyliczył, że Eva Kaili od 2016 r. głosowała za niemal wszystkimi (18) rezolucjami uderzającymi w Polskę. Prawie zawsze podnosiła rękę wraz z europosłami polskiej opozycji, najbardziej aktywna była – to szczególnie irytujące – w kwestiach dotyczących tzw. praworządności.

13 kwietnia 2016 r. Kaili wyrażała zaniepokojenie paraliżem polskiego Trybunału Konstytucyjnego i domagała się od Komisji Europejskiej podjęcia stosownych kroków wobec Polski. Wraz z nią głosowali m.in. Jerzy Buzek, Danuta Hübner, Róża Gräfin von Thun und Hohenstein oraz Janusz Lewandowski i Jarosław Wałęsa. Kilka miesięcy później atakowała ustawę o policji oraz antyterrorystyczną i wspólnie z większością wzywała Komisję Europejską do oceny zgodności zmian w polskim prawie z prawem unijnym.

> „Przedstawiciele instytucji unijnych i europejskich powinni sobie wreszcie przestać wycierać usta frazesami o praworządności, która – jak widać – z ich działalnością niewiele ma wspólnego" – powiedział pytany o aferę w europarlamencie prezydent Andrzej Duda

W marcu 2018 r. głosowała za rezolucją, która wyrażała zadowolenie z faktu uruchomienia przeciwko Polsce art. 7. TUE. Była tam mowa o ryzyku poważnego naruszenia przez Polskę wartości Unii, choć w istocie chodziło o reformę wymiaru sprawiedliwości, która powinna pozostać w wyłącznej kompetencji władz krajowych. Gdy Polska próbowała ograniczyć edukację seksualną dzieci, PE przyjął rezolucję i w tej sprawie, a pani Kaili także głosowała przeciwko nam.

Zagłosowała także 17 września 2020 r. za przyjęciem szokującej rezolucji Parlamentu Europejskiego, w której oskarżano Polskę m.in. o ograniczone prawo obywateli do rzetelnego procesu i sianie nienawiści wobec mniejszości. PE wzywał także do poprawy sytuacji w związku ze wzrostem nietolerancji i przemocy wobec osób LGBT+. Europosłowie wyrazili wówczas ubolewanie z powodu zatrzymań działaczy LGBT+ (przypomnijmy, że chodziło o zgromadzenie agresywnych osób kryjących przed policją niejakiego Michała Szutowicza, podającego się za Margot lub Małgorzatę, osobę niebinarną, oskarżanego o dewastację pomników, zniszczenie ciężarówki ruchu antyaborcyjnego i obrazę uczuć religijnych).

W listopadzie 2020 r. Kaili wzywała Komisję Europejską do „przeprowadzenia szczegółowej oceny składu Trybunału Konstytucyjnego, którego niezgodność z prawem stanowi podstawę do zakwestionowania jego orzeczeń, a tym samym jego zdolności do przestrzegania Konstytucji RP". Wspólnie m.in. z Magdaleną Adamowicz, Markiem Belką, Robertem Biedroniem, Leszkiem Millerem, Bartoszem Arłukowiczem czy Różą Thun und Hohenstein potępiła wyrok TK ws. aborcji.

Wiceprzewodnicząca PE po raz ostatni głosowała za rezolucją przeciwko Polsce w maju 2022 r. W tym głosowaniu także chodziło o obronę praworządności, to kolejny krok we wdrażaniu wobec Polski art. 7 TUE.

JAK TO NAPRAWIĆ?

„Przede wszystkim przedstawiciele instytucji unijnych i europejskich powinni sobie wreszcie przestać wycierać usta frazesami o praworządności, która – jak widać – z ich działalnością niewiele ma wspólnego" – powiedział pytany o aferę w PE prezydent Andrzej Duda.

Nasi rozmówcy w Brukseli zwracają uwagę, że afera może zatoczyć o wiele szersze kręgi. Na korytarzach europarlamentu plotkuje się nawet o 60 zamieszanych osobach (PE liczy 705 posłów), także z innych ugrupowań. Znalezione w przeszukanych brukselskich rezydencjach kartony z gotówką (w sumie ok. 600 tys. euro) to drobne w porównaniu z tym, o czym donosi „Der Spiegel", powołując się na greckie służby. Mowa jest o 60 mln euro, które katarscy szejkowie mieli przelać na panamskie konta unijnych polityków.

eprasa.pl a678eb2f54

W sprawę miał być też zaangażowany marokański wywiad, który według serwisu Intelnews.org zwerbował do współpracy wymienianych już w tej historii Panzeriego i Cozzolino (członka speckomisji ds. Pegasusa). Maroko pojawia się w tej historii nieprzypadkowo. To kraj, który od lat lobbuje i szuka w świecie wsparcia dla swoich aspiracji do terenu Sahary Zachodniej (obecnie to terytorium o nieustalonym statusie międzynarodowym).

Europosłowie, z którymi rozmawiamy, są pesymistami w kwestii ogłoszonej teraz konieczności naprawy PE. Debata była powierzchowna, nie przykryła powszechnej opinii, że kodeks postępowania PE (liczy całe osiem stron) po prostu nie działa. W poprzedniej kadencji zarejestrowano 24 przypadki jego naruszenia, ale tylko raz zastosowano sankcję w postaci odebrania zainteresowanemu eurodeputowanemu... dziennej diety na kanapki. Ekspert Transparency International: „Brak konsekwencji prowadzi do kultury bezkarności. Co być może spowodowało, że niektórzy europosłowie uwierzyli, że mogą nie tylko łamać kodeks postępowania, ale też kodeks karny". W jednym z tekstów Politico zwróciło z kolei uwagę na niejasne zarobki niektórych europosłów, w tym Radosława Sikorskiego. Przypomniano, że eurodeputowany PO zarabiał 40 tys. euro miesięcznie za nieokreślone konsultacje.

Dlaczego takie afery jak „Katargate" są w ogóle możliwe? Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF) teoretycznie prowadzi dochodzenia w sprawie nadużyć na szkodę budżetu UE, korupcji oraz poważnych uchybień wewnątrz instytucji europejskich. A jednak to belgijskie służby i prokuratura ujawniły największą aferę w historii PE. Brukselscy technokraci notorycznie odwracają głowę od problemów, które ich dotyczą, a Parlament Europejski bardziej boi się oskarżeń o nadmierną kontrolę posłów niż kolejnych afer, które wydają się tylko kwestią czasu.

„Zapowiedzi przewodniczącej PE to kosmetyka. Idzie to raczej w kierunku dociskania śruby europosłom w drobnych kwestiach. Wszystkie sprawy, które rzeczywiście generują wielką korupcję, rozpasane wyjazdy i próby ideologicznego nadzorowania świata, pozostaną" – mówił portalowi wPolityce.pl po ostatniej debacie nt. korupcji były polski szef MSZ, obecnie europoseł PiS Witold Waszczykowski.

Być może więc poseł Sikorski musi się trochę bać o swoje konsultacje, ale czy np. Ursula von der Leyen pozwoli się zaprosić (zaproszenie nie ma mocy prawnej) na przesłuchanie w sprawie jej roli w negocjowaniu wielomiliardowego kontraktu na szczepionkę przeciwko koronawirusowi? Z nieoficjalnych informacji wynika, że w trakcie negocjacji Niemka wymieniała wiadomości SMS z szefem firmy Pfizer. KE pytana o tę sprawę rozbrajająco poinformowała, że... nie była w stanie znaleźć przesłanych przez szefową wiadomości.

> „W Davos w kuluarach słyszałem, że w aferze może być trop rosyjski. Wszystko to, co PE robił w przeszłości, trzeba oglądać przez pryzmat tego, co teraz widać. Kto wie, czy różne działania przeciwko Polsce nie miały podtekstu korupcyjnego" – stwierdził premier Mateusz Morawiecki

DŁUGIE RAMIĘ MOSKWY

Według Waszczykowskiego przychylność posłów do PE (w dowolnej sprawie) może być istotna, bo podejmowane przez nich rezolucje, choć nie są wiążące, to rezonują w świecie. A dlaczego za aferą „Katargate", a w zasadzie za jej ujawnieniem może stać Rosja? „Katar silnie wchodzi do Europy ze swoim gazem, który wypiera sankcjonowany rosyjski gaz. Rosja ma duże wpływy w Grecji i mogła sobie pozwolić na tego typu antykatarski strzał" – mówi poseł rozczarowany tym, że Komisja nawet teraz nie ukrywa, iż nie chce szkodzić Rosji.

„Przez wiele miesięcy próbowałem pozyskać informacje pokazujące, z którymi NGO-sami konsultowano tzw. zielone rozwiązania. Chciałem ustalić, czy te organizacje dostawały rosyjskie dotacje. Komisja bezczelnie odpowiedziała: sprawdź to sobie sam. Tych organizacji są tysiące, europoseł nie ma takich możliwości" – mówi Waszczykowski, który dodaje, że także w interesie Rosji jest szkalowanie np. Polski, kraju, który od kilku lat nie chce mieć z nią nic wspólnego, a zaopatrzenia w surowce z powodzeniem szuka w innej części świata.

„W Davos, w kuluarach, słyszałem, że w aferze może być trop rosyjski. Wszystko to, co PE robił w przeszłości, trzeba oglądać przez pryzmat tego, co widać teraz. Kto wie, czy różne działania przeciwko Polsce nie miały podtekstu korupcyjnego" – mówił tuż po powrocie ze szwajcarskiego forum premier Mateusz Morawiecki.

O rosyjskim *modus operandi* wiedzą wszyscy. Lecz nikt nie chce do spodu wyjaśnić, jak Moskwa korumpowała np. polityków w Skandynawii przy budowie Nord Stream. Gazprom kontrolowany przez byłych agentów Stasi i KGB we współpracy z byłym kanclerzem Niemiec Gerhardem Schröderem za pieniądze wciągnęli w swoją orbitę byłych premierów Szwecji i Finlandii.

Rosyjski koncern nie miał też problemu ze znalezieniem chętnych na potężną gotówkę u naszych zachodnich sąsiadów. Dwa lata temu w Meklemburgii-Pomorzu Przednim (tam kończą się nitki Nord Stream) powstała fundacja, która miała zajmować się ochroną klimatu. Od Gazpromu organizacja przyjęła co najmniej kilkadziesiąt milionów euro, za co premier landu wychwalała gazową inwestycję pod niebiosa. Powszechnie była nazywana czołową lobbystką Rosji. Wciąż stoi na czele lokalnego rządu.

Od lat mówimy o kryzysie Unii Europejskiej. O tym, że zmierza w kierunku odległym od idei jej ojców założycieli. Z mozołem odkrywana dziś skala przeżarcia unijnego establishmentu korupcją musi szokować. Szczególnie w Polsce, którą te „elity" wzięły na celownik. Nikt się na taką Unię nie umawiał.

eprasa.pl a678eb2f54

Zawisłość bezobjawowa albo polowanie na 3064

Prawdziwie wielki problem, który otwiera ustawa o weryfikacji sędziów w tej wersji, w której uchwalili ją 13 stycznia „arywiści" u władzy wraz z „pragmatykami" z opozycji – to ogłoszone w niej polowanie na sędziów

JAN ROKITA

Na razie nie wiadomo, czy PiS zdoła obronić w powtórnych głosowaniach swoją wersję ustawy o weryfikacji sędziów. Sławne głosowania z 13 stycznia podzieliły bowiem zarówno prawicowy obóz rządowy, jak i opozycyjny centrolew, choć kryteria podziału po jednej i drugiej stronie są mocno odmienne.

DOGMATYCY, ARYWIŚCI, ULTRASI I PRAGMATYCY

Obóz rządowy podzielił się przy tej okazji na „dogmatyków" i „arywistów", wedle kryterium stosunku do technologii władzy. „Dogmatycy" manifestują respekt dla zasad, które ich zdaniem winny lec u podstaw wymiaru sprawiedliwości, a nawet (jak się zdaje) byliby gotowi zaryzykować nie tylko władzą, lecz także swoją przyszłą obecnością w polityce. Z kolei „arywiści" święcie wierzą, iż nie ma dziś nic ważniejszego niż utrzymanie się prawicy u władzy po wyborach, a rozkład wymiaru sprawiedliwości traktują jako cenę, którą za to warto zapłacić. Wyraziście taki pogląd manifestuje ostatnio polski premier, dowodząc, że kwestia sprawiedliwości stała się trzeciorzędna, albo i nawet czwartorzędna, a sądy i tak znajdują się w stanie półzapaści, więc będą przez najbliższe lata jedynie wegetować. Poważny polityk powinien zatem niczym współczesny Machiavelli przyjąć do wiadomości fakty takimi, jakimi one naprawdę są, i nie zawracać sobie nimi dalej głowy.

Opozycję podzieliła odmienna diagnoza społeczna Polaków 2023 r., w efekcie czego „ultrasi" wystąpili z inną taktyką społecznej perswazji niż „pragmatycy". Pomijając zapewne ważne dla liderów opozycji, ale w istocie drugorzędne kwestie w rodzaju, kto kogo przy głosowaniach 13 stycznia oszukał czy nawet zrobił w balona, istotna różnica obu podejść dotyczy oceny tego, jak dalece można się posunąć w forsowaniu taktyki „im gorzej, tym lepiej", by czasem nie sprowokować społecznej reakcji odwrotnej do tej, jaką chciało się wywołać.

„Ultrasi" chcieli sobie zagwarantować, iż przed wyborami Polska pod władzą prawicy nie dostanie dostępu do żadnych funduszów unijnych, uznając, że jest to cel najwyższy, dla którego warto podjąć pewne polityczne ryzyko. Żeby jesienią wygrać władzę, trzeba wszelkimi siłami pogłębić kryzys, zwłaszcza finansowy, który powinien zostać wyraźnie odczuty przez miliony wyborców. To nieładne, ale trzeba przyznać, że dość logiczne.

Z kolei „pragmatycy" przestraszyli się własnej, zbyt daleko idącej odpowiedzialności za blokadę funduszów, domniemując, iż współcześni Polacy tak bardzo pokochali unijne pieniądze, iż nie wybaczą nikomu, kto by przyczynił się do ich utraty.

Co przy tym nie bez znaczenia „pragmatycy" znacznie bardziej od „ultrasów" wierzą w swój sojusz z Brukselą, która w ich mniemaniu nie odpuści tak łatwo znienawidzonej polskiej prawicy i znajdzie pretekst, by i tak zablokować fundusze aż do czasu jesiennych wyborów. „Ultrasi" nie są tak mocni w Brukseli, więc nie byli znów tego tacy pewni. A swoją drogą „ultrasi" nie byli też skazani na zbyt wielkie ryzyko, gdyż z góry mogli przecież mieć pewność, iż nowe reguły weryfikacji sędziów i tak przejdą, więc ich quasi-rewolucyjna manifestacja będzie mieć wymiar nieco papierowy.

CZTERY KOREKTY USTAWY

Tak ukształtowane podziały zapewniły PiS dość łatwy sukces w głosowaniach 13 stycznia, łącząc *de facto* w poparciu dla ustawy „arywistów" z obozu władzy i „pragmatyków" z opozycji. Ale to było możliwe tylko w takiej procedurze, w której w finale licznych głosowań nad poprawkami następuje jednak kluczowe głosowanie ostatnie, przesądzające o dalszym życiu albo zgonie projektu legislacyjnego. To stara i dobrze znana teoretykom demokracji prawda, która mówi, iż polityczny wynik decyzji podejmowanych w głosowaniach zależy w istotny sposób od procedur owych głosowań. Tak będzie właśnie teraz, przy rozpatrywaniu poprawek opozycyjnego Senatu bez powtórnego końcowego głosowania nad całością. W takiej procedurze, przy obecnej płynnej sejmowej większości, wszystko może się jeszcze zdarzyć.

eprasa.pl a678eb2f54

W szczególności ustawa może przybrać kształt ostateczny w sposób oczywisty nieakceptowalny ani dla przywództwa PiS, ani tym bardziej dla prezydenta.

Załóżmy jednak, że obóz władzy potrafi i tym razem obronić dotychczasową, czyli „swoją", wersję ustawy. Wtedy dopiero pojawi się z całą mocą problem jej realnych skutków, na razie bagatelizowanych przez partie polityczne, no oczywiście za wyjątkiem upartych „dogmatyków". To, o czym do tej pory najgłośniej – czyli o oczywistym konflikcie z przepisami konstytucyjnymi o sądach administracyjnych – to tak naprawdę tylko „drobiazg". Problem ów pojawiłby się zapewne dopiero wtedy, gdybyśmy mieli pryncypialny i autonomiczny wobec liderów politycznych Trybunał Konstytucyjny, ale takiego czegoś nikt w Polsce nie widział co najmniej od jakichś 15 lat. Można więc tylko skonkludować (jak czyni to np. pani I prezes Sądu Najwyższego), iż NSA będzie mieć z tą ustawą spore kłopoty, ale nie będzie przecież mieć innego wyjścia, niż jakoś z nich wybrnąć. Przy tej okazji warto tylko odnotować, prawdę mówiąc – nieco kompromitujący serwilizm wrocławskiego profesora i szefa Rady Legislacyjnej, który wbrew jasnym przepisom i zdrowemu rozsądkowi dostarczył władzy w tej materii taką opinię prawną, jakiej akurat doraźnie ona potrzebowała.

> Trzeba zabrać tych wszystkich 3064 sędziów, przeprosić ich, podziękować im, dać jakieś pieniądze i niech przejdą sobie do innych zawodów prawniczych. Z każdego punktu widzenia byłby to lepszy dla kraju sposób wycofania się z reformy wymiaru sprawiedliwości

Prawdziwie wielki problem, który bowiem otwiera ustawa o weryfikacji sędziów w tej wersji, w której uchwalili ją 13 stycznia „arywiści" u władzy wraz z „pragmatykami" z opozycji – to ogłoszone w niej polowanie na 3064 sędziów. Taką dokładnie liczbę nominowanych przez siebie sędziów podaje na swojej urzędowej stronie internetowej obecny prezydent. Ów efekt polowania zostaje osiągnięty drobnymi na pozór korektami w stosunku do tego, co jeszcze nie tak dawno zaproponował prezydent w ramach rzekomego (jak się miało okazać) kompromisu z Brukselą, a Sejm uchwalił w ub.r.

Rzecz tkwi w czterech, skądinąd bardzo przemyślnie wprowadzonych korektach do tzw. testu niezawisłości sędziów, wymyślonego swego czasu właśnie przez prezydenta. Pierwsza z nich zakazuje

eprasa.pl a678eb2f54

Fot. Andrzej Iwanczuk / REPORTER

wszelkiej kontroli dyscyplinarnej nad tym, jak sędziowie robią ów test i jak interpretują prawo europejskie. Druga pozwala sędziom na kwestionowanie niezawisłości swoich kolegów po fachu. Trzecia pozwala usunąć sędziego ze sprawy jako „zawisłego", tylko na tej podstawie, że komuś nie podoba się obecna KRS albo obecny prezydent (czyli dwie władze uczestniczące w procesie powoływania sędziów). No i czwarta – likwiduje wymóg, by tak rozumiana zawisłość sędziego objawiła się w jakikolwiek sposób w toku procesu. Bez cienia ironii można zatem rzec, iż sędziego można będzie usunąć pod zarzutem „zawisłości bezobjawowej", i to niepodnoszonej przez żadną ze stron toczącego się procesu.

Każdy, kto jako tako wyczuwa skalę politycznie motywowanej wrogości, która panuje dziś między sędziami, rozumie, do czego takie cztery korekty muszą prowadzić. Właśnie do rozpoczęcia polowania.

W setkach spraw sądowych, od sądów rejonowych aż do najwyższego, od sądów administracyjnych po wojskowe, zacznie się teraz tropienie dowolnych spraw i wyroków wydawanych przez owych 3064 sędziów, po to by „bezobjawowo" zarzucić im zawisłość i usunąć ze sprawy. Co więcej, każda sprawa, w której będzie orzekać ktoś z owych 3064, będzie odtąd zagrożona takim ponurym skutkiem. Nietrudno przewidzieć, kto będzie się mógł uratować: tylko oportunista, który załatwi sobie środowiskowe „ułaskawienie". Być może obecny premier ma rację, twierdząc, iż polskie sądy są w takim stanie, że i tak przez wiele najbliższych lat będą tylko wegetować. Ale skala deprawacji, łamania charakterów i krótko mówiąc – moralnego zła, które ta ustawa wywoła w świecie sądowym, nie jest trudna do przewidzenia. Już nawet nie przypominając tego, iż dziać się to wszystko będzie kosztem tysięcy klientów sądów, niemogących przez lata dostać wiążących orzeczeń nawet w prostych sprawach.

Nie wiem, czy taki rozwój zdarzeń narusza (jak twierdzi pani I prezes Sądu Najwyższego), czy też nie narusza prezydenckiej prerogatywy do nominowania sędziów. Zapewne sam pan prezydent będzie musiał sobie odpowiedzieć na to pytanie przed decyzją o podpisaniu bądź zawetowaniu ustawy o weryfikacji sędziów. Wiem za to z pewnością, że jeśli system środowiskowej wendety zafunkcjonuje sprawnie wśród sędziów (a przypuszczam, że tak właśnie będzie), to każdy z owych 3064 zostanie wytropiony w każdej sprawie sądowej, a następnie z niej usunięty. Oczywiście z wyjątkiem tych, którzy potrafią załatwić sobie „ułaskawienie". Jeśli tak się stanie, to poza „ułaskawionymi" cała reszta zostanie *de facto* usunięta z zawodu. Więc też liczenie na przetrwanie nowej formuły KRS rychło okaże się kompletną iluzją! Trzeba być ślepcem, żeby takiego rozwoju zdarzeń nie chcieć dostrzec.

NA OŁTARZU UNIJNYCH PIENIĘDZY

I jeszcze jedna uwaga na koniec: nie wykluczam, że obecnej władzy opłaca się cynicznie poświęcić tych powołanych przez siebie sędziów, na ołtarzu unijnych pieniędzy, a tym samym zwiększenia szansy prawicy na utrzymanie władzy po wyborach. Polityka jest domeną takich ciemnych i słabo moralnych kalkulacji. Skądinąd zresztą, co jest tajemnicą poliszynela, niektórzy z tych 3064 byli ciągnięci „za uszy" na stanowiska sądowe, bo wobec środowiskowego bojkotu nie było wcale nadmiaru kandydatów.

Jeśli jednak taka miałaby być kalkulacja obozu władzy, to trzeba zabrać tych wszystkich sędziów z wymiaru sprawiedliwości jednym aktem (też oczywiście sprzecznym z konstytucją i prerogatywami prezydenta), przeprosić ich, podziękować im, dać jakieś pieniądze i niech przejdą sobie do innych zawodów prawniczych. Z każdego punktu widzenia byłby to lepszy dla kraju sposób wycofania się z reformy wymiaru sprawiedliwości. Nie byłoby indywidualnych polowań i tych wszystkich nikczemnych porachunków w sądach. Nie byłoby oportunizmu i łamania charakterów. No i (last but not least) nie cierpieliby na tym przez lata klienci sądów, czyli zwykli obywatele. Co więcej, liderzy opozycji straciliby główną część swojego programu wyborczego. A Bruksela? Ach, ta ażby zapiała z zachwytu na tak wybitny objaw polskiego „powrotu do praworządności".

eprasa.pl a678eb2f54

Wyprowadzanie Trzaskowskiego

Donald Tusk nie zamierza pozwolić prezydentowi Warszawy kandydować w 2025 r. na prezydenta Polski

STANISŁAW JANECKI

To, na co najbardziej liczył prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, jest już tylko bajką. A liczył dlatego, że uważa, iż się poświęcił, więc nagroda mu się należała. W ten sposób się poświęcił, że nie rywalizował z Donaldem Tuskiem o przywództwo w Platformie Obywatelskiej. I nie dał się namówić na zdradę Tuska, gdy namawiali go tego liderzy innych opozycyjnych partii, chcący stworzyć wspólną listę, ale pod takim warunkiem, że bez Tuska. Jednak samo to, że Trzaskowski wysłuchał propozycji zdrady, od razu jej nie odrzucił i to nie on o niej Tuska poinformował, zasługuje na karę. Efekt jest taki, że wedle wszelkich wiarygodnych informacji Tusk nie ma zamiaru wystawić w 2025 r. prezydenta stolicy jako kandydata PO na prezydenta Polski.

Trzaskowski może więc się czuć jak pierwsza ważna osobistość przez Tuska „wyprowadzona", choć nie jest prezesem Narodowego Banku Polskiego ani Trybunału Konstytucyjnego, a nawet nie ma nic wspólnego z Prawem i Sprawiedliwością. Potwierdziła się ugruntowana od 20 lat prawidłowość, że Tuskowi najlepiej wychodzi „wyprowadzanie" konkurentów z jego własnej partii. I tym łatwiej do tego „wyprowadzania" dochodzi, im bardziej rywale się tego nie spodziewają, a wręcz są przekonani, że nic złego nie może im się stać.

TRZASKOWSKI JAK ROKITA

Gdyby jakimś sposobem opozycji udało się wygrać wybory parlamentarne jesienią 2023 r., Tusk byłby wyłącznie wzmocniony i dopiero wtedy mógłby sobie pozwolić na jeszcze więcej wobec Trzaskowskiego. Różne umizgi oraz kolejne teatralne gesty przyjaźni (jak wspólne występy na imprezie Campus Polska Przyszłości) to tylko pozory, a lider PO nieodmiennie uważa Trzaskowskiego za swojego największego rywala. Na tej samej zasadzie, na której przed kilkunastoma laty kimś takim był Grzegorz Schetyna. Jeśli ktoś stanie się rywalem Tuska i ma realne możliwości, żeby go zastąpić, nie może nigdy czuć się bezpiecznie. Chyba że da się zredukować do roli zwykłego członka partii, jak to się stało ze Schetyną w drugiej kadencji Tuska.

Były premier ma o tyle ułatwione zadanie, że Trzaskowski właściwie musi startować w (przesuniętych) wyborach na prezydenta Warszawy wiosną 2024 r. i zapewne te wybory wygra. A to dałoby Tuskowi spokój od Trzaskowskiego na kolejne lata. Już się przekonał, że Trzaskowski jest najlepiej „związany", zarządzając Warszawą. Nie może przecież powiedzieć, że to nieważna funkcja, a jednocześnie piastując ją, ma dość zajęć, żeby nie knuć w partii, a nawet nie ma szans, by stworzyć własną frakcję, skoro o wszystkim w Warszawie i na Mazowszu decydują Marcin Kierwiński i Jan Grabiec.

W razie porażki opozycji w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Tusk zrobi wszystko, żeby nie dać się obciążyć odpowiedzialnością za tę przegraną. Nie chce dopuścić ani do ataków na siebie wewnątrz partii, ani do wzmocnienia Trzaskowskiego jako głównego rywala i następcy. Z tego powodu szef PO nie może dopuścić Trzaskowskiego do kandydowania na prezydenta Polski. Przyznałby bowiem, że prezydent Warszawy jest absolutnym numerem jeden po stronie opozycji i w Koalicji Obywatelskiej, gdy chodzi o zasięgi i poparcie (10 mln głosów z drugiej tury wyborów prezydenckich w 2020 r. robi swoje). Tusk przyznałby też, że sam już nie potrafi wygrywać, że musi podejmować decyzje, których nie chce, a skoro tak, to najlepszym dla niego wyjściem po wyborczej porażce byłoby wycofanie się. Na to oczywiście Tusk nie może przystać.

Fot. Fratria

eprasa.pl a678eb2f54

Rafał Trzaskowski stał się dla Donalda Tuska takim samym problemem, jakim w przeszłości był Jan Rokita jako kandydat PO na premiera. Formalnie Tusk Rokity nie zwalczał ani nie dyskredytował, a faktycznie nie dopuszczał do tego, żeby „premier z Krakowa" urósł, zagroził mu i rzeczywiście został szefem rządu.

BEZ SZANS NA AWANS

Obecnie Tusk nie chce nawet pośrednio przegrać z Trzaskowskim, więc nie zamierza ułatwić mu zadania, gdyby wskazał go jako kandydata PO (KO) na prezydenta Polski. Przyszłość Trzaskowskiego ma zależeć wyłącznie od Tuska i w perspektywie do końca 2025 r. nie ma miejsca na awans prezydenta Warszawy. Nawet gdyby opozycja wygrała wybory parlamentarne, wszystkie przecieki z rozmów obecnego szefa Platformy ze współpracownikami mówią, że dla Trzaskowskiego nie będzie miejsca w rządzie. A i sam wiceprzewodniczący partii nie chciałby wchodzić do gabinetu, na którego czele stałby zapewne obecny szef partii. Tusk chce wykorzystać słabość charakteru Trzaskowskiego oraz jego wycofywanie się, gdy trzeba stać się liderem i podejmować odważne decyzje. W listopadzie i grudniu 2022 r. Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz (Włodzimierz Czarzasty nie wierzył w powodzenie takiego planu) proponowali Trzaskowskiemu wielką koalicją na wybory z nim, ale bez Tuska. I Trzaskowski się nie zdecydował, a nawet się wystraszył, że jeśli szef partii się dowie, wyeliminuje go z gry o najważniejsze stanowiska w państwie jeszcze przed wyborami parlamentarnymi jesienią 2023 r. Gdy Tusk się o tym planie dowiedział, obawy prezydenta Warszawy okazały się jak najbardziej uzasadnione.

Trzaskowski nie może być ani następcą Tuska, ani zwycięzcą nad nim, bo zawaliłby się cały plan powrotu byłego przewodniczącego Rady Europejskiej do polskiej polityki. A ten powrót miał prowadzić do jego osobistego sukcesu i dowodzić, że tylko on jest w stanie wygrywać wybory, a potem obejmować najważniejsze stanowiska. Tusk mógłby oddać władzę (funkcję premiera, gdyby ją zdobył) innemu liderowi opozycji, ale wyłącznie po jej czasowym sprawowaniu, ale nie chciałby jej oddać Trzaskowskiemu. I oddałby władzę tylko wtedy, gdyby miał perspektywę bycia kandydatem całej opozycji na prezydenta w 2025 r., do czego dąży od 2005 r., a czego nie zrealizował. W 2010 r. nie zrealizował z powodu fortelu Bronisława Komorowskiego, który sam się zgłosił, ale przedstawił to jako decyzję PO i Tuska, a gdy ówczesny premier się żachnął, dał mu do zrozumienia, że ma za sobą ludzi z tajnych służb wojskowych, którzy dużo wiedzą. W 2015 r. kandydowanie nie miało sensu, bo musiał skonsumować świetną posadę w UE. A w 2020 r. wystraszył się, że przegra i będzie to jego koniec w polityce. Oddanie funkcji premiera po jakimś czasie byłoby realne w razie wygrania przez opozycję wyborów parlamentarnych w 2023 r. albo Tusk miałby perspektywę objęcia stanowiska przewodniczącego Komisji Europejskiej, co sugerowała mu niemiecka przewodnicząca tej instytucji Ursula von der Leyen, a co za nieporozumienie uznał obecny przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel.

> Tusk nigdy nie pozwolił urosnąć jakiemukolwiek realnemu rywalowi w partii i wszystkich prędzej czy później eliminował. I nie zamierza pozwolić, by Trzaskowski był pierwszym, który z nim wygra

GORZEJ NIŻ SIKORSKI

Mając w latach 2007–2014 władzę w Polsce (zarówno w rządzie, jak i w PO), Tusk nie zamierzał nikogo poza sobą promować i tego nie robił (wypromowanie Ewy Kopacz było żartem), o czym najboleśniej przekonał się Radosław Sikorski. Przez prawie dwa lata Sikorski wierzył, że Tusk załatwia dla niego posadę w Brukseli, podczas gdy ten załatwiał ją dla siebie. Trzaskowski ten przypadek dobrze zna i nie ma złudzeń, że z nim nie byłoby lepiej niż z Sikorskim. Tym bardziej że były szef MSZ nigdy nie był rywalem Tuska w partii, a wręcz należał do jego najwierniejszych dworzan. I tak jest do dziś, co wcale nie oznacza, że Sikorski ma zagwarantowane jakieś stanowisko. W 2020 r. Tusk nie blokował Trzaskowskiego jako kandydata na prezydenta Polski, bo jeszcze nie był formalnie obecny w polskiej polityce i nie miał zamiaru odpowiadać za wynik wyborów. A zastąpienie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej przez Rafała Trzaskowskiego było Donaldowi Tuskowi obojętne. Ci, którzy dobrze Trzaskowskiemu życzą, przypominają mu, że popełnił błąd, nie rzucając Tuskowi rękawicy w 2021 r., bo wtedy miał największe szanse, żeby wygrać przywództwo w partii i potem samemu decydować o własnym losie.

Zwolennicy prezydenta Warszawy przestrzegają go, że Tusk nigdy nie pozwolił urosnąć jakiemukolwiek realnemu rywalowi w partii i wszystkich prędzej czy później eliminował (Macieja Płażyńskiego, Andrzeja Olechowskiego, Pawła Piskorskiego, Zytę Gilowską, Jana Rokitę i w jakimś stopniu także Grzegorza Schetynę). I nie zamierza pozwolić, by Trzaskowski był pierwszym, który z nim wygra. Los Trzaskowskiego ma być całkowicie zależny od Tuska i tylko on może wyznaczyć miejsce dla prezydenta Warszawy. Tym bardziej że musi ukarać Trzaskowskiego za to, że wprawdzie nie przystąpił do „spisku" eliminującego Tuska z wielkiej koalicji, ale przez blisko dwa miesiące taki wariant rozważał, choć ostatecznie się wystraszył.

eprasa.pl a678eb2f54

Na nienawiści nie zbuduje się ładu społecznego

Niestety, w świecie polskiej kultury niektórych nawet wojna nie otrzeźwiła. Nie rozumieją albo udają, że nie rozumieją, że nasz los zależy po prostu od temperatury i jakości polskiego patriotyzmu

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prof. Piotrem Glińskim, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego

Jak ważne są w pana ocenie pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy? Czy ta sprawa rzeczywiście rozstrzygnie o wyniku wyborów? A może opinia publiczna przecenia wagę tej kwestii?

Piotr Gliński: Nie wiem, czy KPO rozstrzygnie o wyniku wyborów, ale na pewno jest to sprawa niebagatelna, bo też mówimy o niebagatelnej sumie, która bardzo by nam pomogła w pracy nad rozwojem Polski. Nie zapominajmy: te pieniądze po prostu nam się

eprasa.pl a678eb2f54

Fot. Andrzej Wiktor

należą. Ich odblokowanie wpłynęłoby także na ocenę finansową i makroekonomiczną naszego państwa, co w czasach kryzysu ma również istotne znaczenie. Głosy, które ten kontekst lekceważą, są nieodpowiedzialne.

Co jednak, jeżeli my przyjmiemy uzgodnione rozwiązania przede wszystkim, choć nie tylko, w sądownictwie, a Bruksela znowu nas oszuka?

Wiemy, jak traktuje nas Komisja Europejska, i to od początku naszych rządów. Jesteśmy przedmiotem gry politycznej, w której przewidziano dla nas rolę słabszego. Siła polityczna jest po stronie Brukseli. Prawo, praworządność, ustalone reguły gry, dobre obyczaje są traktowane instrumentalnie. I w tym sensie wszystko jest możliwe. Jesteśmy tego świadomi. Ale odpowiedzialni politycy nie narzekają, tylko mają obowiązek rozwiązywać problemy mimo trudności i kłopotów.

Solidarna Polska uważa jednak, że ryzyko kolejnego oszustwa jest tak wielkie, że nie ma co podejmować tej gry. Trzeba się postawić, bo w przeciwnym razie czeka nas równia pochyła, kolejne żądania, oddawanie kolejnych porcji suwerenności.

I Parlament Europejski, i Komisja podejmują chwilami działania sprzeczne z umowami, traktatami. Naginają reguły, zmieniają zasady. Jedno trzeba powiedzieć jasno: dopóki jesteśmy w Unii Europejskiej – a nie ma dla Polski innego scenariusza niż nasza obecność we wspólnocie europejskiej – dopóki mamy niezależny, suwerenny rząd, dopóty ta struna będzie zawsze napięta. Zawsze będą spory i konflikty i zawsze trzeba będzie szukać jakiegoś kompromisu. To trudna droga, ale innej nie ma. Co to znaczy „postawić się"? Przecież druga strona tylko na to czeka. My stawiamy się, ciężko pracując, rozwiązując problemy Polski.

Są tacy w obozie Zjednoczonej Prawicy, którzy uważają, że to jest właśnie istota tej pułapki. Że kiedyś trzeba powiedzieć „dość!".

Za takim stanowiskiem kryją się oczywiste kalkulacje polityczne, ale z mojego punktu widzenia to jest jazda na gapę wehikułem, który ktoś inny wielkim wysiłkiem zbudował i prowadzi. Problem jest w pewnym sensie uniwersalny: logika funkcjonowania skrzydeł radykalnych jest inna niż logika tych, którzy odpowiadają za całość, którzy muszą myśleć kategoriami skuteczności i efektywności oraz odpowiedzialności politycznej.

Czym skończy się ta jazda na gapę? Rozstaniem?

Nie. Po pierwsze, racja Polski, jej interes wymagają, żebyśmy byli razem, a po drugie, zawsze będzie jakieś skrzydło radykalne, to jest nieuniknione w demokracji. Musimy znaleźć optymalne rozwiązanie tej sytuacji – tak jak musimy prowadzić mądrą i zdecydowaną politykę wobec presji ze strony Unii Europejskiej. To nieuniknione: zawsze dla jednych głównym celem będzie załapanie się do parlamentu kolejnej kadencji, a dla innych – skuteczne realizowanie dobra publicznego. Na szczęście po naszej stronie nadal zdecydowanie przeważa ta druga postawa. Polityka nie jest do końca racjonalna, ale by miała sens, musi być skuteczna. A by była skuteczna, wymaga złożonych działań, delikatnych kompromisów, czasem podejmowania działań pozornie nielogicznych. Ale akurat my nie musimy nikomu udowadniać, że jesteśmy też w polityce odważni, zdecydowani i profetyczni.

Właśnie o skuteczność dopominają się ci, którym nie podoba się ciągłe ustępowanie pod presją. Może czasem trzeba szarpnąć, postawić się? Także w grze z silniejszym.

W polityce podobnie jak w szachach trzeba patrzeć o kilka ruchów do przodu. Postawić się – i co dalej? Z Unii Europejskiej Polska nie może wyjść z wielu powodów. Nie chce tego nasze społeczeństwo, byłoby to także bardzo kosztowne gospodarczo, widzimy to dzisiaj wyraźnie na przykładzie Wielkiej Brytanii, której sytuacja przecież była nieporównywalna do naszej. A jednak brexit okazał się bardzo kosztowny dla społeczeństwa. Polska jest mocno ekonomicznie związana zwłaszcza z Niemcami. Jakiekolwiek radykalne ruchy w tej kwestii byłyby bardzo nieodpowiedzialne. Czy to oznacza zgodę na niekończące się ustępstwa? Oczywiście, że nie. Cały czas wzmacniamy nasze państwo i budujemy naszą pozycję w Unii – po to właśnie, by stać się krajem faktycznie równo traktowanym, współdecydującym. Robimy to na wielu polach. Wzmacniamy gospodarkę, obronność, tożsamość, realizujemy realnie zrównoważony rozwój społeczny i terytorialny, szukamy tego, co łączy Polaków, a także niesiemy pomoc Ukrainie i Ukraińcom, co było naszym obowiązkiem i naszą racją stanu, ale co także poprawiło nasz wizerunek na świecie. Korzystamy zarówno z twardych narzędzi, jak i z miękkich procesów politycznych. Efektem jest wzmacnianie naszej suwerenności, a nie jej osłabianie. Czas pracuje dla Polski.

eprasa.pl a678eb2f54

A co, jeśli potwierdzą się obawy, że nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym przyniesie Polsce chaos w wymiarze sprawiedliwości, podważanie statusu sędziów, podważanie wyroków?

Nie nastąpi nic takiego, ponieważ my nie przyjmiemy, a pan prezydent nie podpisze ustawy, która kwestionowałaby realnie status prawidłowo powołanych sędziów. Konsekwencje tej ustawy będą inne, niż przewidują niektórzy politycy czy komentatorzy. A w razie nieprzewidzianych kłopotów państwo polskie ma narzędzia, za pomocą których może reagować.

Równolegle trwają więc dwa procesy. Z jednej strony rośniemy w siłę, z drugiej UE zaciska pętlę, kreuje coraz to nowe narzędzia, które mają nas sprowadzić do roli prowincji imperium. Stan opresji, któremu podlegamy, wzrasta. Plan Scholza zakłada przecież likwidację prawa weta. Za chwilę możemy stanąć przed naprawdę dramatycznymi wyborami.

Tak, są podejmowane próby przesuwania granic, instytucje unijne nie dotrzymują słowa, np. w sprawie warunkowości, która miała dotyczyć korupcji, a nie sądownictwa. W sferze korupcji nie mogą nam nic zarzucić. Jesteśmy liderem w UE pod względem profesjonalnego i przejrzystego wydawania środków europejskich. A co do planu Scholza to na pewno się nie zgodzimy na likwidację weta. To byłoby zaprzeczenie idei wspólnoty europejskiej. I tu mamy pełne poparcie społeczeństwa.

Jeden z zarzutów Solidarnej Polski – może najważniejszy – dotyczy właśnie warunkowości. Wypuszczono dżina z butelki, a Komisja złapała okazję, rozszerzyła tę zasadę i dyktuje nam już dziesiątki kamieni milowych w każdej niemal dziedzinie.

Dziś łatwo to oceniać. W tamtym momencie kompromis, który zawarliśmy, był szansą, by nie wchodzić w zderzenie z potężną machiną brukselską i dalej móc rozwijać Polskę. Mimo kar, które nam narzucają, mimo różnego rodzaju kosztów to się Polsce wciąż opłaca. Komisja działa prawem kaduka, ma nasz płaszcz i nie chce nam go oddać, mówiąc: „I co nam zrobicie?". Mimo wszystko musimy grać inteligentnie, pilnując rzecz jasna naszych płaszczy. I robić swoje: rozwijać Polskę. Pójście wtedy na zderzenie to realizacja marzenia pana Tuska i Brukseli.

> Opowieści o tym, że możemy wydać Brukseli pełnoskalową wojnę polityczną, przewrócić stolik i wyjść z tego cało, są niepoważne. Jeszcze raz podkreślę – kto tak uważa, kto do tego nawołuje, realizuje scenariusz polskiej – pożal się Boże – opozycji i jej pryncypałów

Czas gra na naszą korzyść czy też na ich korzyść?

Jednak na naszą korzyść. Jednak cały czas się rozwijamy, gonimy, realizujemy tysiące inwestycji, także w obszarze kultury. Zmieniamy kraj na lepsze. Znajdujemy też sojuszników w Europie. Dlatego tak ich denerwujemy: idzie nam za dobrze z ich punktu widzenia. Zgadzam się, że jest plan, by domknąć system, by zmarginalizować te obszary, w których mamy coś do powiedzenia. My to jednak blokujemy – faktami, nie gadaniem. Nie możemy się poddać. Ale opowieści o tym, że możemy wydać Brukseli pełnoskalową wojnę polityczną, przewrócić stolik i wyjść z tego cało, są niepoważne. Jeszcze raz podkreślę – kto tak uważa, kto do tego nawołuje, realizuje scenariusz polskiej – pożal się Boże – opozycji i jej pryncypałów.

Europoseł Jacek Saryusz-Wolski taki plan naszkicował. Mówi: wetować wszystko i wszędzie, aż nauczą się szacunku do Warszawy.

Nie mamy takich możliwości, niestety, nie ma niczego, co moglibyśmy łatwo zawetować, zyskując skuteczną dźwignię. Jednak jeżeli taka szansa się pojawi – na pewno z niej skorzystamy.

Jeden z ważnych polityków Zjednoczonej Prawicy powiedział nam niedawno: nie dadzą nam żadnych pieniędzy, bo dla Niemiec zmiana rządu w Warszawie jest celem tak ważnym, że nie mogą tego odpuścić. Taka jest logika gry politycznej i żadne nasze ustępstwa tego nie zmienią. Może ów polityk ma rację?

Też sądzę, że dla Berlina zmiana rządu w Polsce jest bardzo ważna, z czym zresztą się nie kryją. Powtarzam jednak: trzeba grać inteligentnie. Mamy też sukcesy, spływają zaliczki z głównych funduszy unijnych, przy których też był znak zapytania. Oceny naszej gospodarki wciąż są dobre. Mimo pandemii, wojny, kryzysu energetycznego, mimo zagrożeń, których nie było od dekad, zdołaliśmy obronić Polskę. A że druga strona przesuwa granice? To niestety dzieje się nie tylko w polityce międzynarodowej. Na moim podwórku, w świecie sztuki, też mamy do czynienia z tym zjawiskiem. Kolejne miesiące przynoszą działania jeszcze bardziej prowokacyjnie, atakujące nasze normy kulturowe i więzi społeczne.

Myślicie, że nie wstawimy złotej waginy do teatru? Właśnie, że wstawimy!

I wstawili. Musimy jednak bronić pewnych norm, pewnych tabu kulturowych, które są podstawą funkcjonowania naszej wspólnoty. Nie jesteśmy tutaj bez szans. Ludzie widzą te szaleństwa. Na dekonstrukcji i nienawiści nie da się zbudować sensownego ładu społecznego. Musimy też domagać się konsekwencji. Są państwa, które z jednej strony wymachują wartościami, hasłami równości i tolerancji, a z drugiej nie chcą rozmawiać o zadośćuczy-

eprasa.pl a678eb2f54

nieniu za zbrodnie i straty wojenne. Akurat ta sprawa ma być nagle wyłączona z aksjologii. I tu – podobnie jak w obszarze kultury i polityki – opinia publiczna, także zagraniczna, jest naszym sojusznikiem. Tylko musimy mieć kanały dotarcia do niej, czyli zapewnić normalne, wolne funkcjonowanie sfery publicznej w demokracji.

Jak to ujął niedawno publicysta „Die Welt" Jacques Schuster: „Niemcy musieli ujarzmić dzikie zwierzę w sobie i to się udało", a Polska traktuje historię instrumentalnie. Brzmiałoby to śmiesznie, gdyby nie dotyczyło spraw naprawdę poważnych.

Tak, a inny mądrala opowiadał o oswajaniu i wychowywaniu dzikusów... A więc można przyjść, zabijać, niszczyć, a później przeprosić, i uważać, że sprawa jest zamknięta? Nie ma na to naszej zgody. A mówiąc w języku brukselskim: jest to ewidentnie sprzeczne z wartościami europejskimi. I będziemy o tym cały czas głośno mówić. Nasz rząd jest tego gwarantem. Opozycja nic w tej kwestii nie zrobiła ani nie zrobi.

Do wyborów pozostało dziesięć miesięcy. Zjednoczona Prawica stoi przed arcytrudnym zadaniem: musi przekonać Polaków, by powierzyli jej władzę na trzecią kadencję. To zadanie wykonalne?

To zadanie trudne, ale realne. Musimy oprzeć się na tym, co zrobiliśmy w ciągu siedmiu lat. To była ciężka praca, która przyniosła i przynosi cały czas efekty, i zbudowała naszą wiarygodność. Przeciwnik jest dobrze znany: to kłamstwo, siła medialna, zewnętrzna siła polityczna, złe emocje, histeria. Ale z tym można wygrać, jeśli do rzetelnej pracy polityków dojdzie mobilizacja Polaków. Mamy bardzo mocne argumenty wynikające z tego, co zrobiliśmy. Naturalnie jakieś wpadki były, ale to jednak mniejszość. Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Nasi przeciwnicy realizowali 10 proc. swoich zapowiedzi wyborczych, a my – 90 proc. Takie mniej więcej są proporcje i podstawowa różnica między nami. To można pokazać na konkretach, faktach, liczbach.

Fot. Andrzej Wiktor

Dlaczego zatem poparcie dla PiS wynosi trzydzieści parę procent, a nie 50 czy 60 proc.? Inne sprawy są dla ludzi ważniejsze?

Socjologicznie to zrozumiałe. Jest duża grupa ludzi z resentymentami postkomunistycznymi. Są wyborcy, którzy czują się osobistymi wrogami Kościoła i religii. Jest również bardzo duża grupa hiperliberałów, antywspólnotowców, może nawet egoistów. Zaznaczam od razu, że indywidualizm jest potrzebny, ale jeśli przesadnie dominuje, prowadzi do braku solidarności, osłabiania wspólnoty, w skrajnych przypadkach – nierozumienia pojęcia interesu narodowego. Są też ludzie, którzy uważają, że normy kulturowe i moralne ich nie obowiązują. Przeciwko nam jest bardzo wiele grup interesów, a także liczne instytucje, które są w rękach zewnętrznych. Nasza demokracja też dopiero nabiera treści – przez długi okres III RP miała cechy demokracji fasadowej. Procedury były dochowane, ale nie było realnej konkurencji, realnej demokratycznej debaty, jedna strona zawłaszczała w zasadzie całą przestrzeń publiczną. To wciąż sprzyja podatności na manipulacje.

Od kiedy PiS przejęło władzę nie ma dnia, by nie padały zapowiedzi zemsty bądź różnego rodzaju groźby. Jaki jest sens tych działań?

Cały czas chodzi o przeniesienie sporu z obszaru argumentacji w sferę skrajnych emocji. Masz nienawidzić, masz oburzać się na wszystko, masz wierzyć, że nieprzedłużenie kontraktu dyrektorowi jakiejś instytucji kultury zgodnie z polskim prawem to „czystki stalinowskie". Nieprzyznanie komuś dotacji w konkursie to „stalinowska cenzura". Naprawdę padają takie określenia.

Zachodzą też niekorzystne dla prawicy zmiany kulturowe. Kryzys rodziny, dramatycznie niska dzietność, spadek religijności. Czy to nie podmywa podstaw społecznych obozu władzy?

To są procesy, które zachodzą niestety w całym świecie zachodnim. Nikt nie znalazł na to lekarstwa. Jeśli chodzi o dzietność, to nasze programy społeczne zminimalizowały straty w tym obszarze. By realnie odwrócić trendy, oprócz zatrzymania niekorzystnych zmian kulturowych trzeba rozwiązać dwie kwestie: dostępności mieszkań oraz opieki nad dziećmi do lat trzech. To jedno z najważniejszych zadań na kolejną kadencję. Trzeba też przełamać pewną niedobrą, dziwaczną modę – kiedyś było nie do pomyślenia, by opisywać dziecko jako zło zagrażające czy to matce, czy to planecie. Dziś to niestety w pewnych przekazach powszechne! Odwracanie pojęć i dekonstrukcję postaw widać także w innych obszarach. Mnie osobiście bardzo martwi stan

eprasa.pl a678eb2f54

mentalny niektórych studentów szkół artystycznych. Narasta infantylizm, moda na wtórność, podatność na manipulację, egoistyczna nadwrażliwość, zewnątrzsterowność, tani radykalizm, płytkie prowokacje. Smutny widok. Rzadko mówię o tym wprost, ale teraz robię to świadomie, bo może wywoła to reakcję – chętnie podyskutuję z młodymi ludźmi na ten temat.

Smutne są też skutki: coraz rzadziej w teatrze można trafić na sztukę, która nie jest jakąś prowokacją, polityczną agitką albo w której nie ma epatowania nagością i wulgarnością. Skąd to się bierze?

Właśnie z wtórności, z infantylizmu. Co w tym ciekawego? Czy samym artystom to się już nie nudzi? Przecież w tym nie ma nic odkrywczego, to są miny znane na Zachodzie od dekad, już zresztą niemodne. Do tego poziom tej refleksji bywa naprawdę żenujący. Jeden z twórców – akurat stary chłop, zgrywający młodzieniaszka – wyreżyserował ostatnio sztukę, w której, jak zapowiada, sugeruje analogie między obecną sytuacją w Polsce a ludobójstwem na komunistach dokonanym przez Suharto w Indonezji w latach 60. XX w. I nikt nie zwraca uwagi na absurd, na niestosowność takiego porównania. Do tego papuguje prowokacje artystyczne wobec widowni (naruszanie nietykalności cielesnej widzów przez aktorów) wybrzmiałe już pół wieku temu. Ale pewnie niektórych wciąż zachwyca.

Na ile PiS będzie musiało się adaptować do tych zmian kulturowych, o których mówimy?

Bronimy się, choć to niełatwe zadanie. A jednocześnie widzimy przecież, jak katastrofalne mogłyby być skutki takiej trwałej zmiany. To pokazuje rosyjska agresja przeciwko Ukrainie. Świat miał być piękny, liberalny, miękki. A tu okazało się, że przetrwanie dużego europejskiego narodu zależy od tego, czy jego synowie i córki są gotowi oddać życie za swoją ojczyznę, za swój naród. Idą i giną z własnej woli. I to nie jest gra komputerowa, to realny świat. Niestety, w świecie polskiej kultury niektórych nawet wojna nie otrzeźwiła. Nie rozumieją albo udają, że nie rozumieją, że nasz los zależy po prostu od temperatury i jakości polskiego patriotyzmu.

Jak wygląda Polska na tle toczącej się wojny?

Te straszne wydarzenia potwierdzają, że nasze środowisko polityczne miało rację. My zawsze uważaliśmy – choć każdy by chciał, żeby było inaczej – że zło istnieje i trzeba umieć je rozpoznawać i przed nim się bronić. Co więcej, to zło było nad Wisłą aktywne od dawna. Kto jest zainteresowany tym, by w Polsce opozycja działała według zasady totalności? Kto chce, by ostre podziały polityczne wdzierały się do naszych rodzin? Nie ma żadnych racjonalnych powodów, by poziom nienawiści był w obecnej Polsce tak wielki. To jest element sztucznie, politycznie wykreowany. Na tle tego hejtu, tych ataków – i słownych, i fizycznych – poparcie dla naszej formacji jest naprawdę przyzwoite. Ludzie widzą, co robimy, i wielu wie, że nie ma dziś dla Polski alternatywy. Mamy pracować dla Niemca? Mamy wpuścić tu Rosjan czy ich agentów?

> Wygranie kolejnych wyborów to zadanie trudne, ale realne. Przeciwnik jest dobrze znany: to kłamstwo, siła medialna, zewnętrzna siła polityczna, złe emocje, histeria. Ale z tym można wygrać, jeśli do rzetelnej pracy polityków dojdzie mobilizacja Polaków

Państwo polskie finansuje coraz więcej instytucji kultury, buduje wiele wspaniałych muzeów. W świecie prawicy pojawiają się jednak zarzuty, że potrzeba większej skuteczności w walce o rząd dusz, że można tu było zrobić więcej. Można było?

Minister kultury jest od tego, żeby zapewnić kulturze pewne ramy organizacyjne i wsparcie finansowe. I w tym obszarze bardzo dużo się udało – w kulturze jest ponad dwa razy więcej pieniędzy, są realizowane wspaniałe projekty, wypełniamy białe plamy naszej wspólnotowej pamięci, finansujemy wiele wartościowych przedsięwzięć. Ostatnie lata to np. 6272 inwestycje budowlane w kulturze. Ponad 6 tys.! Muzea, zabytki, domy kultury, biblioteki. Do tego nowe instytucje, mecenat i wsparcie tego, co wartościowe, nadrabianie zaległości. Ale minister kultury nie jest artystą, nie jest twórcą. Jestem gotów wesprzeć każdy wartościowy projekt, czy to filmowy, czy inny. Dopracowany projekt, bo sam pomysł to za mało. Często atakują nas ludzie, którzy się nie sprawdzili, gdy mieli szansę pokazać, co potrafią. Spójrzmy choćby na filmy – film musi mieć dobry scenariusz, musi być dobrze zrealizowany, ale muszą też być faktury, dyscyplina finansowa. Niestety, nie wszystkie nasze doświadczenia w tym obszarze są dobre. Ale zrobiliśmy dużo. Współfinansowaliśmy ponad 100 filmów dokumentalnych i fabularnych z obszaru dziedzictwa historycznego i kulturowego. Teraz np. powstaje film o Monte Cassino, jest już decyzja o realizacji filmu na temat rzezi Woli. Wyobrażają sobie panowie, że filmów fabularnych na ten temat nigdy w Polsce nie nakręcono!

Wierzy pan, że wyborcy docenią ten wielki wysiłek?

Jestem przekonany. Trzeba zachować zimną krew, trzeba systematycznie, uparcie, ciężko pracować, nie wchodzić w niepotrzebne awantury. Tak staram się działać w swoim obszarze, gdzie prowokacji nie brakuje. Ale bój będzie ciężki. Tusk wrócił nieprzypadkowo. Zauważmy: nawet gdy wyjedzie na narty, to już w kraju przez kilka dni jest spokojniej. Jak wraca – znowu magiel. To mówi wszystko o stawce tych wyborów.

Autopromocja

eprasa.pl a678eb2f54

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

JAKUBOWSKA • JARECKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

Banicja pamięci

Drogi Panie Schuster, polskim ofiarom III Rzeszy reparacje wprawdzie nie przywrócą życia, ale będą sprawiedliwą rekompensatą za wyrządzone krzywdy. Także materialne. Jeśli jest wina, musi być zadośćuczynienie

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W 2006 r. na łamach „Gazety Wyborczej" historyk Anna Wolff-Powęska wzięła w obronę przed Polakami osądzany od czci i wiary naród niemiecki. Demokratyczne społeczeństwa, przestrzegała Polaków pani profesor, odchodzą od tezy o kolektywnej winie Niemców za zbrodnie dokonane w czasie II wojny światowej. Oraz od kolektywnej niewinności ich ofiar. Dokąd odchodzą, Powęska nie napisała, ale wygląda na to, że od historii do polityki.

BRZYDKI NIEMIEC

Najlepszym dowodem na to są dwa artykuły głównego komentatora „Die Welt" Jacques'a Schustera (na zdj.), które ukazały się w styczniu br. Zdaniem Schustera, zresztą z wykształcenia historyka, łajdactwem jest insynuowanie przez polskie władze, że nasi sąsiedzi za Odrą zapomnieli o cierpieniach Polaków. Nie zapomnieli. Ale reparacje? „Żadne pieniądze tego świata nie przywrócą ofiarom życia" – pisze komentator. W jego opinii niemiecki rząd odrzucił żądania reparacyjne Warszawy (6,22 bln zł) nie z upartości, tylko dlatego że wypłata w takiej wysokości osłabiłaby Niemcy, największego płatnika netto w UE, co zagrażałoby jedności całego Zachodu. Oczywiście, dodał Schuster, można by rozpocząć debatę o jakimkolwiek odszkodowaniu czy innych żądaniach zawartych w przekazanej 3 października 2022 r. Berlinowi nocie dyplomatycznej, ale po co? W końcu – przekonuje Schuster – PiS jest do Niemiec wrogo nastawiony, a poza tym zamienia Polskę w nieliberalną demokrację o autorytarnym sznycie. Ponadto Polacy biernie przyglądali się tłumieniu przez Niemców powstania w getcie w 1943 r. i najpierw powinni się z tego rozliczyć. A tak tylko instrumentalizują historię.

WELT
MEINUNG
KOMMENTARE KOLUMNEN SATIRE HENRYK M. BRODER
WELT+ MEINUNG REPARATIONSFORDERUNGEN
Die polnische PiS-Partei braucht das Bild des hässlichen Deutschen
Veröffentlicht am 04.01.2023 | Lesedauer: 3 Minuten
Von Jacques Schuster
Chefkommentator

Po wyliczeniu tych wszystkich bzdurnych argumentów panu Schusterowi najwyraźniej wciąż było mało, więc napisał kolejny artykuł, tym razem o tym, że Polacy kreują brutalny i pełen nienawiści obraz brzydkiego Niemca. Niesłusznie, bo po okrucieństwach lat 1933–1945 z Niemców wyrosło cywilizowane społeczeństwo, starające się o pojednanie i porozumienie z polskim sąsiadem. A po drugiej stronie panuje niechęć do wzajemnych relacji. W skrócie: PiS domaga się reparacji, nie biorąc pod uwagę konsekwencji dla całej Europy, gdyby Niemcom zabrakło pieniędzy na wpłaty do unijnego budżetu. Samolubny ten polski rząd i pełen pretensji, że Niemcy za mało robią dla Ukrainy. „Polska mogłaby wspólnie kształtować wraz z Niemcami i Francją przyszłość Europy, a tak propaguje tylko nienawiść do sąsiada dla własnych korzyści" – czytamy. Tymi korzyściami mają być m.in. odwrócenie uwagi od wysokiej inflacji i niezadowolenia wyborców.

BRAK ŚWIADOMOŚCI

Drogi Panie Schuster, okrucieństwa II wojny światowej i zbrodnie nazistowskich Niemiec wciąż żyją w pamięci Polaków: w czasie niemieckiej okupacji zginęło 6 mln polskich obywateli, w tym ok. 3 mln Żydów. Historia ciąży więc na naszych stosunkach. I wy, Niemcy, nie macie prawa wymazywać tego obciążenia z waszej zbiorowej świadomości, manipulować historycznymi faktami ani rozmywać przyczyn i skutków hi-

Fot. east news/imago/teutopress

eprasa.pl a678eb2f54

storycznych wydarzeń w zależności od aktualnych interesów. Polskim ofiarom III Rzeszy reparacje wprawdzie nie przywrócą życia, ale będą sprawiedliwą rekompensatą za wyrządzone krzywdy. Także materialne. Jeśli jest wina, musi być zadośćuczynienie. A od winy nie uciekniecie. Co do pamięci o polskich ofiarach, to pamiętają o nich niemieckie elity, bo muszą. Świadomość w niemieckim społeczeństwie, jeśli wierzyć badaniom, jest nikła. Pamięć o nazizmie była wykorzystywana głównie do tresowania społeczeństwa, szczególnie po 1968 r. Miała wytworzyć właściwe postawy, wspomagając długi marsz lewicy przez instytucje. Niemcy swoją zbrodniczą przeszłość zaczęli traktować instrumentalnie, jako zobowiązanie moralne do bycia wzorem otwartości i tolerancji. Wzorem, który następnie można narzucić innym. Szczegóły tej przeszłości stały się odległym tłem, które coraz bardziej się rozmywa. Tym bardziej że nie pasują do państwa, które chce być dziś postrzegane jako lider zjednoczonej Europy i główny bastion demokracji liberalnej. Konsekwencją jest depersonalizacja oraz zamazanie odpowiedzialności. Według niemieckiego historyka Stephana Lehnstaedta jedna trzecia Niemców uważa, że wśród ofiar wojny byli ich przodkowie. A świadomość tego, iż Niemcy zabili co piątego obywatela Polski, zwyczajnie nie istnieje.

MORALNE MOCARSTWO

Drogi Panie Schuster, to, kto rządzi dziś nad Wisłą, nie wpływa nijak na dokonane w czasie okupacji zbrodnie niemieckie. Ani ich nie umniejsza, ani nie wymazuje. Równie nieistotna jest obecna inflacja, zadowolenie lub nie wyborców, zjawiska jednakowo przejściowe. Rządy w demokracji są zmienne, a niemieckie zbrodnie niezmienne. Podobnie jak moralny obowiązek zadośćuczynienia za nie. Czy to za rządów PiS, PO czy jakiejkolwiek innej partii. Szczególnie w przypadku kraju, który uważa się za moralne mocarstwo. Polskie ofiary niemieckiej okupacji otrzymały z Republiki Federalnej „odszkodowania", zwane zresztą pomocą humanitarną, na kwotę ok. 6 mld zł, co oznacza, że wiele z nich nie otrzymało nic. To kwota nieprzyzwoicie mała w stosunku do strat, które Polska rzeczywiście poniosła. Wskutek II wojny znaleźliśmy się za żelazną kurtyną, co cofnęło rozwój kraju o kilkadziesiąt lat. Bez zadośćuczynienia nie może być mowy o pojednaniu.

Co twarda odmowa podjęcia debaty o reparacjach mówi więc o tym cywilizowanym społeczeństwie, które rzekomo rozliczyło się z historii? Mamy być wdzięczni, że Niemcy zrezygnowali ze zbrojnego podboju sąsiadów i skupili się na podboju gospodarczym? Nie jest ponadto zadaniem polskiej strony martwić się o to, czy Niemcy stać na wypłatę reparacji. Wypłaca się je na ogół przez dekady, wpłaty Berlina do budżetu UE nie powinny więc ucierpieć. Drogi panie Schuster, jeśli Polacy oceniają Niemcy negatywnie, to m.in. z powodu pouczającego tonu, który także panu się przytrafił. Zainteresowanie niemieckiej opinii publicznej Polską jest okazjonalne i najczęściej negatywne. Wiedza o przeszłości i teraźniejszości wschodniego sąsiada jest znikoma, co ułatwia ugruntowywanie starych stereotypów i tworzenie nowych. Ponadto w Niemczech od chwili zjednoczenia rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie współwinnych Holokaustu, szczególnie wśród narodów Europy Środkowej i Wschodniej. Za niemieckie zbrodnie w Polsce, za mord na Żydach odpowiadają jednak wyłącznie Niemcy, w tym za stłumienie powstania w getcie. Za pomaganie Żydom groziła śmierć, a mimo wszystko tysiące Polaków się na to zdecydowało. Nie będzie pan nam więc mówił, z czego mamy się rozliczać.

Drogi Panie Schuster, to, kto rządzi dziś nad Wisłą, nie wpływa nijak na dokonane w czasie okupacji zbrodnie niemieckie. Ani ich nie umniejsza, ani nie wymazuje

RELATYWIZACJA PRZESZŁOŚCI

Nie wiem, jak strona niemiecka chce odtąd układać swoje relacje z Polską. Prawda jest jednak taka, że Berlin nie był w ostatnich latach zainteresowany poprawą i intensyfikacją bilateralnych stosunków. Dyskusja o pomniku dla polskich ofiar wojny w Berlinie była nad wyraz żenująca. Okazało się, że nie zasługujemy na niego, bo mamy niewłaściwy rząd, a poza tym „moda na pomniki dawno minęła". Zamiast tego powstanie coś w rodzaju „miejsca pamięci i spotkań z Polską", by „zredukować luki w wiedzy obu społeczeństw". Ciekawe, jakie luki w wiedzy mają zdaniem Niemców Polacy? Koncepcję miejsca pamięci ma – tak zdecydował niemiecki rząd – zresztą opracować Fundacja Pomnika Pomordowanych Żydów Europy. Fundacja nadzoruje również budowę pomnika homoseksualistów prześladowanych w czasach narodowego socjalizmu, pomnika Sinti i Romów oraz ośrodka pamięci i informacji dla ofiar narodowo-socjalistycznych „eutanazji".

Nie wiem, jaki stał za tym zamysł, oprócz chęci rozmycia cierpienia Polaków, osadzenia go w – jak chętnie podkreśla strona niemiecka – szerszym kontekście. Gdzieś za tym kryje się myśl, że wojny są okrutne, ofiarami są zawsze cywile, a sprawcami ci, którzy strzelają, bez względu na to, czy są agresorem, czy nie. Można tę myśl dziś odnaleźć w licznych wywodach niemieckich polityków i przedstawicieli mediów odnośnie do wojny na Ukrainie.

Drogi panie Schuster, Niemcy niszczyli Polskę, a nie działo się to na skutek działań wojennych. Robili to świadomie, niszczyli polskie elity, zgładzili polską mniejszość żydowską, a zniszczeń i mordów dokonywali po to, żeby zgładzić polski naród. Zrabowali i wywieźli z Polski tysiące dóbr kultury. Będziemy więc dalej domagać się reparacji i nie pozwolimy im o tych zbrodniach zapomnieć. A za taką politykę zagraniczną, opartą rzekomo na wartościach, dziękujemy.

eprasa.pl a678eb2f54

Równia pochyła Szymona Hołowni

Podczas głosowania nad nowelizacją ustawy o Sądzie Najwyższym, która ma przybliżyć Polskę do środków z KPO, posłowie od Szymona Hołowni wystawili do wiatru liderów opozycji i zagłosowali wbrew wcześniejszym ustaleniom, że opozycja umożliwi PiS przyjęcie nowelizacji. Czy Hołowni uda się ograć Donalda Tuska, czy to już równia pochyła, a lider Polski 2050 jeszcze tego nie widzi?

DOROTA ŁOSIEWICZ

Dlaczego w głosowaniu 13 stycznia opozycja wsparła rząd? Głównie dlatego, że nie miała wyjścia. Inaczej groziła jej utrata wiarygodności. Lewica i PSL od początku głosowały za funduszem odbudowy, tłumacząc, że Polakom należą się te pieniądze. Partie te nie mogły więc teraz zmienić zdania. Politycy Koalicji Obywatelskiej, którzy od miesięcy atakują rząd za brak środków, nie mogli zaś zagłosować przeciw nim, bo wówczas PiS dostałoby paliwo na kampanię wyborczą i mogłoby mówić, że brak środków to wina opozycji. Sytuację opozycji dość precyzyjnie wytłumaczyła Gabriela Lenartowicz z PO w programie „Forum". „Stworzono taki machiaweliczny plan, by wytłumaczyć wyborcom, że pieniędzy z UE nie będzie, bo ta okropna opozycja je zblokowała. Widzieliśmy intensywne prace nad tym, by sprowokować kluby opozycyjne do tego, żeby ostatecznie głosowały przeciw nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym. Wszystko po to, by móc powiedzieć: »No trudno, Bruksela pieniędzy nie dała, bo opozycja się dogadała i potwierdziła teorię, że nie chce, by Polska dostała te pieniądze«. A teraz mamy sytuację taką, że nasz klub nie dał się sprowokować" – mówiła posłanka PO w dzień głosowania.

By taką narrację uniemożliwić, liderzy opozycji ustalili, by wspólnie (z wyjątkami) wstrzymać się od głosu. Według relacji polityków opozycji zgodził się na to także Szymon Hołownia. Ale w wieczór poprzedzający głosowanie zmienił zdanie i poinformował partnerów, że jego posłowie zagłosują przeciw. – Nie wiem, czy była to pierwsza, czy druga w nocy, ale było bardzo późno, gdy pan Hołownia poinformował wszystkich o zmianie zdania. Wszyscy byliśmy zaskoczeni – słyszę od jednego z polityków opozycji.

Złamanie ustaleń wywołało wściekłość partnerów, gdyż doszło do złamania jedności, nim udało się ją zademonstrować. Już po głosowaniach Borys Budka mówił o utraconym zaufaniu do Hołowni, podobnie Marek Sawicki, który wspominał o cieniu, który padł na zaufanie do tego polityka. Aleksandra Gajewska nazwała szefa Polski 2050 „liderem w krótkim spodenkach, który dba o swój interes", a Marcin Kulasek z Nowej Lewicy o domknięciu przez Hołownię wieka trumny jednej wspólnej listy opozycji. Zachowanie Hołowni politycy opozycji odczytali w ten sam sposób, że lider Polski 2050 postanowił wszystkich okiwać i zagrać na siebie, licząc, że zyska poparcie w oczach najbardziej anty-PiS-owskiego elektoratu. Furia opozycji to z jednej strony wynik poczucia złamania jedności, co nie jest dobrym prognostykiem przed ewentualnym układaniem wspólnych list, a z drugiej pojawił się strach przed utratą najbardziej anty-PiS-owskiego elektoratu.

Zresztą za brak jedności opozycję szybko zrugały sprzyjające ją media. „Szymon Hołownia po chuligańsku zerwał porozumienie opozycji. I bardzo wielu odetchnęło z ulgą, bo teraz mają wygodny pretekst do pogrzebania idei wspólnej listy. W sprawie głosowania nad niepraworządną ustawą o SN, mającą ułatwić odblokowanie unijnych pieniędzy z KPO, opozycja grała o trzy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a678eb2f54

ważne stawki. I gdyby nie wolta Hołowni, byłoby całkiem nieźle" – komentowała piórem Marka Beylina „Gazeta Wyborcza". „Długie deliberacje poprzedziły piątkowe głosowanie nad niekonstytucyjnym projektem ustawy o SN. Liderzy ugrupowań opozycyjnych spotykali się w dzień i w nocy, wciąż wisieli na telefonach. Miała być jedność, wspólny front i ucieczka z pułapki zastawionej przez PiS. Ale słowa Jarosława Kaczyńskiego ze środowego wywiadu dla PAP o »niekończącym się paśmie pomyłek opozycji, której zdecydowanie nie idzie«, okazały się prorocze. Ostatecznie bowiem triumfowali Ziobro z Morawieckim, nie Tusk z Hołownią, Czarzastym i Kosiniakiem" – użalała się Karolina Nowicka na łamach portalu NaTemat.

HOŁOWNIA TŁUMACZY

Zaraz po głosowaniach Hołownia, tłumacząc nagłą zmianę decyzji, mówił, że PiS i tak pieniędzy nie dowiezie albo je ukradnie oraz że praworządność jest najważniejsza. To niezbyt fortunne słowa w ustach człowieka, który sam ma spore problemy i z praworządnością, i z pieniędzmi, bo próbuje ograć Państwową Komisję Wyborczą i ominąć prawo. Pod koniec ub.r. PKW odrzuciła sprawozdanie finansowe Polski 2050 za 2021 r. W uzasadnieniu pojawił się zarzut patologicznej sytuacji, w której partia nie wykazuje żadnych przychodów i wydatków, a jednocześnie prowadzi działania polityczne, które pochłaniają ogromne koszty. W tle mamy pajęczynę powiązań stowarzyszeń i fundacji, którym udało się zgromadzić ogromne środki.

Lider Polski 2050 ze swojej wolty tłumaczył się właściwie cały miniony tydzień. Mówił, że porozumienia nie było, a jeśli było, to dotyczyło nowelizacji, w której znalazłyby się poprawki opozycji. W sytuacji, gdy poprawki przepadły, umowa partii opozycyjnych zdaniem Hołowni nie obowiązywała. Problem w tym, że im więcej Hołownia tłumaczy, tym większe wydaje się jego ego. „Kolegom z opozycji puszczają nerwy, mają kłopot z tym, że połamali swoje własne sumienia, głosując za ustawą, która jest niekonstytucyjna" – mówił w programie „Graffiti". W sprawie fali krytyki ze strony polityków opozycji usłyszeliśmy od Hołowni: „Oni nie są dla mnie partnerami do rozmowy. Dla mnie partnerem do rozmowy jest Donald Tusk". W „Expressie Biedrzyckiej" lider Polski 2050, pławiąc się w samozachwycie, mówił zaś tak: „Pani sugeruje, czy też inni politycy sugerują, że jestem egoistą. Przecież ja bym dziś mógł się spokojnie z Tuskiem ułożyć, na co chcę. Ja personalnie z moimi najbliższymi wspólnikami mógłbym się z każdym ułożyć, na co chcę. [...] Pokazaliśmy przez te trzy lata, że umiemy zbudować środowisko i byśmy odpłynęli złotą łódką".

> Wybujałe ego lidera Polski 2050 przysłania mu fakt, że w istocie zaczął powtarzać drogę Petru, który zapowiadał, że będzie premierem, a nim się obejrzał, nie był nawet szefem własnej partii

Trudno oprzeć się wrażeniu, że im więcej lider Polski 2050 mówi, tym bardziej się pogrąża. Próba wyjścia z twarzą z wolty spodobała się kolegom z opozycji jeszcze mniej niż sama wolta. – Sytuacja jest dość trudna – podsumowuje wydarzenia ostatniego tygodnia Arkadiusz Iwaniak z Nowej Lewicy. – Skoro się umawiamy, że po wyborach opozycja będzie współrządziła, to już dziś warto byłoby dotrzymywać słowa – mówił mi poseł Iwaniak w studiu wPolsce.pl.

– Pan Hołownia odczepił swój wagonik od pociągu, który się nazywa „opozycja", uznał, że szum medialny, który przy tym powstał, jest dla niego ważniejszy. [...] Jest takie powiedzenie, że pycha kroczy przed upadkiem. Podobnie zachowywał się swego czasu Ryszard Petru i wiemy, jak skończył, więc ostrzegam pana Hołownię przed tą drogą – tłumaczył mi z kolei Marcin Kulasek, sekretarz generalny Nowej Lewicy w „Kwadransie politycznym".

Z KIM NA LISTĘ?

Wygląda na to, że Hołownia, próbując okiwać liderów partii opozycyjnych, może się niechcący zakiwać. Jego manewr mocno bowiem skomplikował rozmowy o układaniu list. O ile przed 13 stycznia dość realny wydawał się scenariusz, w którym na jednej liście pójdzie PO, PSL i Polska 2050 lub przynajmniej partia Szymona Hołowni dogada się z PSL, o tyle dziś rozczarowanie postawą Hołowni mocno utrudnia wszelkie rozmowy. Politycy PSL, którzy liczyli na współpracę, muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, czy można grać z kimś, kto przy pierwszej możliwej okazji łamie umowę. Podobny problem ma PO. Do niedawna Tusk chętnie widziałby Hołownię na jednej liście, ale czy w sytuacji, gdy ten wystawił wszystkich do wiatru, lepiej z nim współpracować czy raczej pozwolić mu się wypalić do wyborów, trochę mu w tym pomagając?

A o tym, że szef Polski 2050 uwierzył w swoją moc i zachłysnął się pozycją języczka u wagi, mogą świadczyć słowa posłanki jego ugrupowania Pauliny Hennig-Kloski, która w RMF FM mówiła: „Przygotowujemy się do samodzielnego startu w wyborach. [...] Mówienie o jednej liście opozycji demobilizuje elektorat".

Jeśli Szymon Hołownia wystartuje sam, to nie ma wątpliwości, że koledzy z opozycji chętnie pomogą mu znaleźć się pod progiem wyborczym. Wybujałe ego lidera Polski 2050 przysłania mu fakt, że w istocie zaczął powtarzać drogę Petru, który zapowiadał, że będzie premierem, a nim się obejrzał, nie był nawet szefem własnej partii. Do tego brednie, które na swoich live'ach opowiada Hołownia, zaczynają nieznośnie przypominać historię sześciu króli i inne występy byłego lidera Nowoczesnej. Oczywiście tym awanturom na opozycji z uśmiechem przygląda się partia rządząca, która sama nie może sobie poradzić z konfliktem wewnątrz koalicji i wciąż szuka odpowiedzi na pytanie: razem z Solidarną Polską czy osobno?

W tej chwili po obu stronach barykady otwarte są wszystkie scenariusze. Pewne jest to, że przed nami miesiące obfitujące w polityczne emocje na najwyższym poziomie.

eprasa.pl a678eb2f54

Nowa wersja Donalda Tuska

Obiecuje proste rozwiązania, które mają uzdrowić gospodarkę, nie przepada za polskim państwem, ma wiele antywspólnotowych propozycji. Świetnie też opanował sztuczki marketingu politycznego. Duch nadwiślańskiego liberała zdjął skórę z Donalda Tuska, lidera Platformy Obywatelskiej, i wcielił się w Sławomira Mentzena z Konfederacji

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

W najpopularniejszym młodzieżowym serwisie społecznościowych świata Sławomir Mentzen znowu podbija serca swojego nastoletniego elektoratu. Tak w dowcipny sposób następca Janusza Korwin-Mikkego (szef partii od października 2022 r.) mówi o składkach Polaków na Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

Przyjrzyjmy się tej wypowiedzi uważniej, bo zdradza ona cały pakiet sztuczek PR-owskich młodego polityka, który chciałby zastąpić administrację państwową samowolką najbogatszych podmiotów prywatnych. „Często pytacie mnie, w co zainwestować swoje pieniądze. Tego nie wiem, ale pokażę wam, dlaczego nie należy inwestować ich w ZUS" – słyszymy prawnika z Torunia. Potem przechodzi on do wyliczeń pisanych białym flamastrem na czarnej tablicy. Wynika z nich, że płacenie składek jest bez sensu i już lepiej byłoby te pieniądze wydać na piwo.

MEDIALNE SZTUCZKI

Mentzen często stosuje PR-owską technikę tzw. pomostu, czyli wychodzenia od jednego, narzuconego tematu, który szybko chce się zmienić na wygodniejszą sprawę. W tym celu korzysta się z jakiegoś sformułowania, które umożliwi szybkie zamknięcie trudnej kwestii i rozpoczęcie czegoś łatwego dla siebie. Szef partii Nowa Nadzieja, bo tak brzmi teraz nazwa ugrupowania założonego przez Korwina, często stosuje ten chwyt. Pytany o kłopotliwe zagadnienia często ucina je jednym zdaniem, by opowiadać libertariańskie, często dowcipne slogany pełne nieścisłości i mijania się z prawdą. Czy nauczył się tego u znanego i niezwykle popularnego, stand-upera Łukasza „Lotka" Lodkowskiego? Kiedyś pochwalił się w mediach społecznościowych, że trenuje u niego publiczne występowanie, więc może to komicy są wzorem dla Mentzenowskiego stylu komentowania?

Tymczasem o ZUS lider libertarian mówi dalej tak: „Jeżeli jako przedsię-

eprasa.pl a678eb2f54

biorca przez 35 lat po 12 razy w roku płacicie składkę na ZUS w wysokości 1,2 tys. zł miesięcznie, to łącznie zainwestujecie w ZUS 504 tys. zł. Jeśli umrzecie w wieku 73 lat, więc emeryturę będziecie pobierać przez osiem lat, razy 12 miesięcy razy minimalna emerytura netto 1274 zł, czyli będziecie mieli zwrot z tej inwestycji w wysokości 122 304 zł".

BŁĘDNE WYLICZENIA

Później Mentzen wylicza, że gdyby codziennie kupować tanie piwo, to wydałoby się tyle samo, a butelki można by sprzedać, zarobić co prawda mniej, ale byłoby przyjemniej, a pieniądze można by przekazać swoim dzieciom. Jako kabaretowy skecz brzmi to całkiem sprawnie, jednak gdy mówi tak polityk, który jest ekonomistą z wykształcenia i chce zmieniać państwo polskie, to ten czarny humor wprowadza jedynie obstrukcję w debatę publiczną.

Lider Konfederacji przede wszystkim popełnia elementarne błędy w swoich wyliczeniach. Przecież składka, o której mówi, zawiera nie tylko kwotę przekazywaną na emeryturę, ale także oprócz ubezpieczenia emerytalnego ubezpieczenie rentowe, chorobowe i wypadkowe. W poważnych chorobach czy nieszczęśliwych zdarzeniach życiowych obywatel dostaje sumy wielokrotnie wyższe od wpłacanych. Nie można tych wyliczeń przeprowadzić, jak to zrobił Mentzen, na szkolnej tablicy, a dekady doświadczeń i ewolucji administracji państwowej sprowadzić do prostego mnożenia i odejmowania.

To podstawowy grzech korwinizmu – spłaszczanie bardzo skomplikowanej rzeczywistości do frazesów typu: podatki to kradzież, socjalizm i faszyzm. Oprócz tego średni czas pobierania emerytury przez mężczyzn nie wynosi osiem lat, ale ponad dwa razy tyle. Polityk Nowej Nadziei źle wyliczył ten okres, bo do średniej wieku zaliczył np. zgony wśród noworodków. Znowu złożony świat nie zmieścił się na małej tablicy i w minutowym filmiku na TikToku.

Ale jest jeszcze inna kwestia dotycząca ZUS, która prowadzi nas za kulisy myślenia polityków i wyborców liberalnej części Konfederacji.

SPŁASZCZENIE ŚWIATA

Najważniejszym błędem w postrzeganiu ZUS jest jednak nazywanie składek emerytalnych inwestycją. Ubezpieczenia społeczne nie są po prostu odkładaniem pieniędzy na przyszłość, ale efektem kilkuwiekowego rozwoju matematyki, zwłaszcza rachunku prawdopodobieństwa i statystyki. Z takich obliczeń wynika po prostu, że bardziej opłaca się utrzymywać starszych, słabszych i bezrobotnych, niż narazić się na fale i enklawy biedy, chorób i śmierci, czyli także niepokojów społecznych. Dodatkowo zrzutka całego, przeważnie zdrowego, społeczeństwa na osoby chore i poszkodowane w zdarzeniach losowych daje im szansę na godne życie, a zdrowym odbiera niewielką część dochodów, dając im psychiczny komfort, że w razie życiowego załamania mają zapewnioną pomoc ze strony państwa.

Powtórzmy zatem: rynek ubezpieczeń nie jest inwestycją taką jak kupno mieszkania na wynajem czy zakup akcji lub obligacji, to zupełnie inna dziedzina. Nie można przecież powiedzieć, że kupno losu totolotka to inwestycja, choć nie można też powiedzieć, że kupno piwa nią jest (a tak niby żartobliwie twierdzi Mentzen). Jeśli więc natężenie przeinaczeń w minutowej wypowiedzi Mentzena wymaga tylu sprostowań, to co nam to mówi o całej koncepcji Nowej Nadziei na gospodarkę i państwo polskie?

WYJŚĆ Z CIENIA

Gdy w 2001 r. Donald Tusk zakładał Platformę Obywatelską, też – tak jak dziś Mentzen – musiał to robić z bardziej konserwatywnymi od siebie politykami, m.in. Maciejem Płażyńskim. Wtedy, 22 lata temu, Janusz Korwin-Mikke zapowiedział, że jego ówczesna partia, UPR, chce być w sojuszu z Platformą Obywatelską. Lider libertarian często nazywał PiS socjalistycznym i wszelkie zmniejszanie dochodów państwa z podatków pochwalał – co wówczas zapowiadał Tusk. O czym lider Platformy Obywatelskiej nie mówił, zapowiadał Korwin – pełna prywatyzacja, państwo ograniczone do posiadania jakiejś armii i jakiejś policji i zero solidaryzmu społecznego było na sztandarach kolejnych partii tego polityka. W jego retoryce transfery społeczne miały być grabieżą, więc anty-PiS-owska krytyka ze strony Platformy Obywatelskiej znajdywała uznanie w elektoracie partii KORWiN.

W 2020 r. połowa wyborców Krzysztofa Bosaka (kandydata całej Konfederacji w wyborach prezydenckich) głosowała na... Rafała Trzaskowskiego. I tak oto tzw. ideowa prawica w 50 proc. poparła zwolennika LGBT+, dominacji Niemiec w Unii Europejskiej i topornego zarządzania wielką metropolią. Partia KORWiN pozostawała jednak w cieniu liberalnej Platformy Obywatelskiej, za którą opowiadał się mainstream. Dziś jednak w PO trudno znaleźć lidera, który mógłby stać się ikoną wolnego rynku, przedsiębiorczości i zwijania administracji państwowej. Tusk, Schetyna czy Budka, gdy mają władzę, są takimi samymi etatystami jak wszyscy inni politycy obozu III RP. Dodatkowo ekipa PO ma za sobą dwie kadencje rządów, co obciąża jej konto wieloma działaniami sprzecznymi z ich dawnym, oficjalnym programem. Kto dziś pamięta ich pomysł wprowadzenia podatku liniowego czy jednomandatowych okręgów wyborczych? Tak jak kiedyś Tusk zachęcał do niepłacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego, tak dziś Mentzen uczy, jak w koszty prowadzenia firmy wpisywać dowolne zachcianki, np. konsolę do gier komputerowych. Mamy tu do czynienia z tym samym destrukcyjnym myśleniem o państwowej wspólnocie.

Liberałowie z PO wyczerpali już limit na bajki o wolnym rynku, ale zmiana warty w Konfederacji może być w przyszłości nową odsłoną dla opcji wyprzedawania majątku państwa. Szanse Mentzena na stanie się turbo-Tuskiem wzrosły, gdy na emeryturę odszedł 80-letni Korwin, który z tylnego siedzenia powtarza jedynie prorosyjskie tezy i dawne gadki o prawie dżungli w nowoczesnym społeczeństwie albo przekonuje, że nie ma dowodów na to, że Hitler wiedział o Holokauście.

Mentzen ze swoim przygotowaniem medialnym, młodością i prywatnym biznesem (zob. tygodnik „Sieci" 43/2022) może stać się faktycznie „nową nadzieją" – nie dla Polski czy elektoratu przedsiębiorczych obywateli, ale establishmentu III RP, któremu marzy się zredukowanie roli państwa do bezradnego świadka wyprzedaży i rozkradania majątku narodowego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a678eb2f54

Dekarbonizacja ma służyć redukcji emisji gazów cieplarnianych. W praktyce Europejski Zielony Ład, pakiet Fit for 55, reforma Europejskiego Systemu Handlu Emisjami forsują kosztowne zmiany technologiczne i społeczne. My płacimy za to wysoką cenę, zarabia biznes spoza Polski i finansjera. Czy ktoś jest w stanie zatrzymać utopijne koncepcje klimatyczne?

Dekarbonizacja ponad wszystko

MACIEJ WALASZCZYK

Prezes Jarosław Kaczyński wielokrotnie w ciągu ostatnich lat używał pewnego porównania. Przywołując obraz człowieka maszerującego pod górę z workiem pełnym kamieni, wskazywał na korupcję, złe rządzenie i ciężar transformacji przypominający efektami neokolonizację, której skutkiem była deindustrializacja. Dzisiaj na nasze plecy nałożono taki worek powtórnie w postaci polityki klimatycznej. Obejmuje ona energetykę i energochłonny przemysł. Niebawem także transport i budownictwo, a docelowo również rolnictwo.

W 2021 r. Komisja Europejska (KE) przedstawiła pakiet Fit for 55. Jego wdrożenie we wszystkich krajach członkowskich UE ma obniżyć emisję gazów cieplarnianych o co najmniej 55 proc. do 2030 r. w porównaniu z poziomem z 1990 r. Osiągnięcie neutralności klimatycznej zapowiedziano na 2050 r. Unijnej machiny legislacyjnej nie zatrzymała wojna na Ukrainie. Przeciwnie – przyspieszono tempo i nie oglądając się na koszty, są forsowane zmiany odnoszące się właściwie do każdej dziedziny naszego życia.

Ideologiczną postawą tych założeń jest przekonanie, że działalność człowieka odpowiada za podwyższenie temperatury na Ziemi przez zwiększenie w atmosferze stężenia gazów cieplarnianych: dwutlenku węgla, metanu, podtlenku azotu. To w końcu wiara, że człowiek może zahamować wzrost temperatury, podejmując „wysiłek redukcyjny". Jak? Po prostu wchodząc na „ambitną ścieżkę redukcji emisji". Fit for 55 jawi się jako misterna konstrukcja, z której nie ma praktycznie ucieczki. Chyba że rozsypie się ona pod ciężarem społecznych buntów, gigantycznych kosztów i nierówności, które wygeneruje.

HARACZ ZA EMISJĘ CO_2

Narzędziem UE służącym ograniczaniu emisji CO_2 jest wprowadzony w 2005 r. Unijny System Handlu Emisjami (Emissions Trading System). Obejmuje on energochłonne gałęzie przemysłu i określa dopuszczalny limit emisji gazów cieplarnianych, który co roku jest stopniowo zmniejszany. Tysiące europejskich elektrowni i fabryk kupuje zezwolenia na emisję każdej tony CO_2. Im mniej emitują, tym mniej płacą, a w razie potrzeby mogą handlować zezwoleniami między sobą za pośrednictwem dwóch giełd. Od 2019 r. nadwyżki uprawnień są stopniowo zdejmowane z rynku i jest ich coraz mniej. Środki pozyskiwane z uprawnień zasilają z kolei inwestycje OZE. Inaczej byłyby nieopłacalne i drogie.

Głównym źródłem energii dla naszej gospodarki pozostaje węgiel (ponad

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a678eb2f54

70 proc.). Tymczasem chodzi o jego szybką eliminację z naciskiem na „szybko", bo tempo wdrażania zmian jest stale podkręcane. Niestety, w Polsce wciąż nie powstała elektrownia atomowa, a bez atomu jako stabilnego źródła energii będziemy skazani na ponoszenie coraz wyższych kosztów. W latach 2013–2020 deficyt uprawnień potrzebnych polskiej gospodarce wynosił średnio 41,65 mln ton na rok. Jego koszty były jednak relatywnie niskie ze względu na niskie ceny uprawnień i do 2018 r. kosztowały 5–10 euro za tonę.

W 2022 r. Polska sprzedała 62,916 mln ton uprawnień do emisji gazów cieplarnianych EUA za blisko 4,976 mld euro. Jednak to za mało. Jak szacował w swoim raporcie portal WysokieNapięcie.pl, energetyka węglowa musiała dokupić za granicą uprawnienia do emisji na niemal 86 mln ton CO_2 za 33 mld zł (sama PGE zapłaciła ok. 13 mld). Te 33 mld – jak alarmowali politycy Solidarnej Polski – to prawie cały rok finansowania programu 500 plus.

– Prawie tyle, ile wynosi roczna składka, którą płacimy do unijnej kasy, pośrednio finansując transformację energetyczną w bogatych państwach UE, które już dziś mają wysoki udział odnawialnych źródeł w gospodarce – dodaje wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski.

Ile ETS będzie nas kosztował w tym roku? PGE szacuje, że w 2023 r. na uprawnienia do emisji CO_2 wyda ponad 20 mld zł. Cześć z nich mogłaby zostać wydana na inwestycje.

Nie ma zaś wątpliwości, że system ETS przyczynił się wydatnie do wzrostu rachunków za prąd i ciepło, cen w sklepach i w końcu napędził inflację. A przede wszystkim wymusza niebezpieczną dla suwerenności państwa likwidację polskiej energetyki węglowej i górnictwa na rzecz importowanego gazu ziemnego.

SPEKULACYJNE PERPETUUM MOBILE

Już przed wybuchem wojny KE straciła kontrolę nad systemem handlu uprawnieniami i w efekcie cenami energii. Początkowo uprawnienia (EUA) kosztowały 8 euro za tonę CO_2. Jeszcze na początku 2020 r., na chwilę przed pandemią, ok. 25 euro. Jeszcze dzień przed wybuchem wojny cena wynosiła już 95,54 euro, a momentami nawet 100 euro. Średnia dla 2022 r. to ok. 84 euro.

Jak się okazało banki, fundusze inwestycyjne i hedgingowe lub emerytalne skupowały uprawnienia i spekulowały. Grając na wzrost, sztucznie wywindowały ich ceny. – ETS został uzależniony od spekulacyjnego kapitału, 70 proc. instytucji finansowych jest zarejestrowanych w rajach podatkowych – zwracała uwagę w czasie jednej z debat w Parlamencie Europejskim posłanka Anna Zalewska (PiS – ECR).

Początkowo Europejski Urząd Nadzoru Giełd i Papierów Wartościowych tego nie dostrzegał. Zmiany na rynku rzeczywiście były fundamentalne, a ceny za uprawnienia osiągnęły poziom zakładany przez biurokratów w 2030 r. W końcu przyznał, że nawet dwie trzecie uprawnień są w dyspozycji instytucji finansowych słynących z inwestowania na ryku ropy. Także w raporcie przygotowanym przez firmę Compass Lexecon dla PGE SA stwierdzono, że liczba aktywnych funduszy inwestycyjnych wzrosła ze 100 w 2018 r. do ponad 300 w 2022 r., a ich wzrost był skorelowany ze wzrostem cen EUA. Wiele z nich w dużej mierze pochodziło z tzw. rajów podatkowych mających siedziby na Bermudach, Jersey, Guernsey czy Kajmanach.

Pod koniec ub.r. Parlament Europejski i Rada Europejska zdecydowały o poszerzeniu i budowie nowego systemu handlu emisjami. W 2027 r. powstanie ETS II, który obejmie także żeglugę morską, transport drogowy i mieszkalnictwo. Ogólny poziom redukcji emisji do 2030 r. zostanie zwiększony aż do 62 proc. Jednym z jego elementów jest graniczny podatek węglowy. Ma zapobiec sytuacji, gdy jakiekolwiek państwo unijne będzie chciało importować produkty z gospodarek wysokoemisyjnych, np. Azji, Rosji, a nawet USA. Podobnie jak ma to miejsce w przypadku energetyki, dla tych firm transportowych, które nie przejdą na zeroemisyjne napędy, system będzie funkcjonował jako dolegliwe obciążenie podnoszące koszty. Od 2030 r. obowiązkiem projektantów wszystkich budynków będzie liczenie śladu węglowego zarówno obejmującego ogrzewanie, podgrzanie wody, oświetlenie czy wentylację, jak i związanego z budową i produkcją materiałów budowlanych.

INŻYNIERIA SPOŁECZNA LEVEL HARD

Zgodnie z zapowiedziami Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego KE odpowiedzialnego za Europejski Zielony Ład, docelowo również rolnictwo węglowe jest niezbędnym elementem strategii na rzecz osiągnięcia neutralności klimatycznej. Schemat taki sam jak w przypadku przemysłu. W branży rolniczej emisja gazów cieplarnianych pochodzi z hodowli zwierząt i nawożenia, więc należy ją ograniczyć. A najlepiej także produkcję oraz spożycie mięsa i nabiału. Na Uniwersytecie Kalifornijskim wyliczono, że zupełne wykluczenie ich z diety obniżyłoby emisję gazów cieplarnianych aż o połowę.

Już teraz rząd Holandii zapowiedział redukcję emisji gazów pochodzących z hodowli bydła. Docelowo ma być zlikwidowanych ok. 6 tys. gospodarstw. Protestujący rolnicy zwracają uwagę, że chodzi po prostu o uzyskanie gruntów pod subsydiowane fermy wiatrowe, fotowoltaiczne i deweloperkę. Na razie wiadomo, że Polska nie zgodzi się na włączenie rolnictwa do sektorów o znaczącym ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych.

Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023–2027 niewiele mówi o produkcji żywności, ale głównie o ograniczaniu emisji dwutlenku węgla i zatrzymywaniu węgla w glebie. Walutą rozliczeniową ma być tutaj produkcja jednostek węglowych za każde ograniczenie emisji CO_2, które następnie mają być odsprzedawane na rynku kredytów węglowych. Ich obrotem zainteresowała się już finansjera. Dziś wartość „carbon offsets" waha się między 2 a 3 dol. za tonę CO_2. BloombergNEF szacuje, że ich wartość do 2050 r. wzrośnie 50-krotnie, nawet do kwoty 120 dol. Ale to już świat inżynierii finansowej porównywanej z kryptowalutami.

eprasa.pl a678eb2f54

Seks na handel

W ciągu ostatnich miesięcy na należącym do Agory portalu Gazeta.pl ukazało się co najmniej kilka reportaży i wywiadów nie tylko faktycznie promujących usługi seksualne, lecz także przekonujących czytelnika (czy może bardziej czytelniczki), że zarabianie na seksie to pełna doznań, dobrze płatna praca dla prawdziwie niezależnych kobiet

KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Kiedy po raz pierwszy wrzuciła ogłoszenie na stronę, jej telefon rozładował się po godzinie. Oferuje dwa rodzaje usług: GFE i PSE. GFE oznacza girlfriend experience – spotkanie jak z dziewczyną, podczas którego najważniejsza jest bliskość i namiętność. PSE to pornstar experience, więc ostry seks i fetysze. Godzina GFE kosztuje u Joanny 750 zł, PSE zaś – 1500. Plus 250 zł za lokal, jeśli klient nim nie dysponuje". To nie jest reklama usług oferowanych przez prostytutkę, lecz fragment reportażu, który ukazał się niedawno na należącym do Agory portalu Gazeta.pl.

Reportaż jest dość szczególny. Można w nim znaleźć historie kilku prostytutek – nazywanych dumnie sex workerkami lub eskortkami – będące w istocie kryptoreklamą ich usług. Do tekstu dołączone są zdjęcia pań oraz wyciągi z ich cenników (nawet bardziej szczegółowe niż ten zacytowany powyżej). Więcej informacji na temat zaprezentowanych ofert czytelnik może poszukać już samodzielnie w internecie, wpisując do wyszukiwarki podane w tekście pseudonimy bohaterek. Dzięki temu dowie się, jak z paniami się umówić, ile to kosztuje oraz wybrać sobie coś z niesłychanie szerokiego wachlarza prezentowanych usług seksualnych.

Nie jest to jedyny tego rodzaju materiał na łamach portalu należącego do Agory. W ciągu ostatnich miesięcy ukazało się co najmniej kilka reportaży i wywiadów nie tylko faktycznie promujących usługi seksualne, lecz także przekonujących czytelnika (czy może bardziej czytelniczki), że zarabianie na seksie to pełna doznań, dobrze płatna praca dla prawdziwie niezależnych kobiet. Trzeba bowiem zauważyć, że przedstawiane sex workerki są bardzo starannie wybrane. Nie ma tu zaniedbanych, ubezwłasnowolnionych imigrantek lub narkomanek desperacko polujących na klientów na poboczu szos, ale wykształcone, żyjące na własny rachunek panie do towarzystwa. Jedna z nich – zapytana, co ją zainspirowało do wyboru takiego, a nie innego zajęcia – powołała się na film „Pretty Woman". Życie jak w bajce, a więc nie zastanawiajcie się, dziewczyny, nie wstydźcie się swojego ciała i łapcie świetną okazję do zarobku – głosi przekaz. Wiele innych już tak zrobiło i teraz bardzo to sobie chwalą.

eprasa.pl a678eb2f54

To praca jak każda inna – zwykłe sprzedawanie usług – dopowiada w innym wywiadzie kolejna rozmówczyni Gazety.pl, przedstawiona jako Karolina Rogaska – autorka reportażu wcieleniowego i „dziennikarka zaangażowana w tematy równościowe". „Czym to się różni od pracy dziennikarza czy menedżera w korporacji? Przecież wszyscy pracujemy dla pieniędzy". Trzeba tylko jej zdaniem wyzwolić się z polskiego zaścianka. „W każdym zawodzie pracujesz ciałem. Problem w tym, że mamy ograniczony sposób patrzenia na nasze ciała, zwłaszcza na ciało kobiety. Nagie ciało postrzegamy jako coś brudnego. To efekt wielu lat wpływu Kościoła katolickiego na nasze społeczeństwo" – podkreśla z wyczuwalną dezaprobatą.

PROSTYTUCJA WYZWALA

Promocja prostytucji odbywa się pod hasłem wyzwolenia. Wyzwalać się mają kobiety z religijnych przesądów i z patriarchalnej opresji. W zamian obiecuje się im pełne silnych doznań, ekscytujące życie i niezależność. Trzeba tylko przełamać swoje kulturowe opory oraz wyedukować zacofane społeczeństwo. W takich Włoszech np. reakcje na pracę w branży seksualnej są „o wiele milsze" niż w Polsce, a ludzie – jak opowiada w rozmowie z portalem Gazeta.pl aktorka amatorskiego porno – byli „mniej zaskoczeni tym, czym się zajmujemy. A czasem wprost gratulowali nam takiej decyzji".

Inaczej mówiąc, bez całkowitego otwarcia seksualnego i akceptacji nierządu nie mamy jako Polacy czego szukać w Europie. Pozostaniemy barbarzyńcami wegetującymi na marginesie cywilizowanego świata. Przekonuje się nas, że prostytucja, która przez wieki uchodziła za wstydliwy przejaw upadku obyczajów, powinna być powodem do dumy i niemalże wyznacznikiem kultury wysokiej.

Cytowana wyżej Karolina Rogaska przyrównuje stygmatyzowanie sex workerów do sytuacji środowisk LGBT+. „Walka o prawa osób pracujących seksualnie historycznie sprzęga się z walką osób LGBT+" – mówi. „A coming outy moich bohaterek i bohaterów faktycznie bywały trudne. Wiele dziewczyn nie zdecydowało się powiedzieć najbliższym do dzisiaj".

W rzeczywistości rzekome wyzwolenie, które ma przynieść kobietom prostytucja, oznacza faktyczną zgodę na ich zniewalanie. Trzeba mieć naprawdę poważny problem z logicznym myśleniem, by traktować zaspokajanie męskich potrzeb seksualnych jako kobiecy cios w patriarchat. Oczywiście promotorzy prostytucji mają na to odpowiedź: ciało kobiety jest jej własnością i może z nim robić, co zechce. Ten, kto zabrania tego kobiecie, ogranicza jej prawa.

Biznes usług seksualnych świadomie czerpie pełną garścią z liberalnych ideologii emancypacyjnych, bo chce jak najwięcej zarabiać. To, że jakaś część kobiet go w tym wspiera, jest jednak trudnym do wytłumaczenia fenomenem. Części z nich może rzeczywiście chodzić o pieniądze. Jedna z bohaterek reportażu z Gazeta.pl wprost opowiada o tym, że w obecnej sytuacji prawnej w Polsce niemożliwe jest założenie legalnego burdelu, co psuje jej plany na przyszłość. Chciałaby bowiem po zakończeniu własnej kariery w roli luksusowej prostytutki zainwestować zarobione pieniądze w agencję towarzyską i w ten sposób sama legalnie czerpać korzyści z cudzego nierządu. Oczywiście nie opowiada o tym w ten sposób, mówi raczej o chęci podzielenia się doświadczeniem z młodszymi dziewczętami wchodzącymi dopiero do biznesu.

Jednak o ile łatwo zrozumieć czysto finansową motywację przyszłej burdelmamy domagającej się legalizacji nierządu, o tyle zdziwienie musi budzić poparcie udzielane takim postulatom przez kobiety, które przedstawiają się jako feministki. Być może niektóre z nich, zaprawione już w aborcyjnych bojach, łapią bezrefleksyjnie narrację o wyłącznym prawie kobiety do własnego ciała. Inne rozumieją zapewne, że kobieca prostytucja osłabia, a nie wzmacnia pozycję kobiet wobec mężczyzn, ale uważają to za krótkotrwały i konieczny koszt poniesiony na rzecz przebudowy społeczeństwa. Bo przecież kto powiedział, że prostytucja ma być domeną kobiet? Po wypromowaniu sex workerek przyjdzie czas na promocję męskich prostytutek. I wtedy będzie pełne równouprawnienie w zawodzie.

Poza tym traktowanie seksu wyłącznie w kategoriach fizycznej przyjemności to uderzenie w tradycyjny model społeczeństwa, a to jest przecież podstawowy cel środowisk liberalnych. Skoro w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat udało się znacząco osłabić instytucję małżeństwa i zyskać w zamian społeczną akceptację dla konkubinatu nazywanego dziś związkiem partnerskim, to zapewne uda się w końcu przejść na kolejny etap kulturowej rewolucji i w ogóle ograniczyć ludzką potrzebę zawierania jakichkolwiek stałych związków, zastępując ją krótkotrwałym przelotnym seksem bez zobowiązań. Ideologia postępowego liberalizmu spotyka się tutaj – zresztą nie pierwszy ani nie jedyny raz – z czysto finansowymi interesami wielkiego biznesu, w tym konkretnym przypadku – seksualnego.

KAŻDY MOŻE ZAROBIĆ

Z promocją prostytucji mieliśmy w Polsce do czynienia dwukrotnie. Najpierw zaraz po upadku komunizmu, gdy na fali wstępowania do Europy jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się burdele nazywane dla zachowania pozorów

eprasa.pl a678eb2f54

legalności agencjami towarzyskimi. Był to jednak jak niemal wszystko w tamtych czasach przaśny i najczęściej przestępczy biznes. Gangsterzy czerpali nielegalne zyski z nierządu całkowicie ubezwłasnowolnionych kobiet, często imigrantek ze Wschodu, którym odbierano dokumenty i które *de facto* trzymano w niewoli. Takie zbójeckie biznesy istnieją do dzisiaj, ale ich właściciele w obawie przed konsekwencjami starają się pozostawać w cieniu.

Kolejna fala promocji usług seksualnych dotarła do Polski w ostatnich latach i – jak wynika z wielu danych – nasiliła się w okresie pandemii, gdy ogromny wzrost popularności, również na świecie, odnotowały internetowe serwisy oferujące płatne produkcje pornograficzne. Nie podaję ich nazw, by nie robić im reklamy, choć zdaję sobie sprawę z tego, że wielu czytelników wie, o których serwisach mowa. Właściciele tych serwisów oferują możliwość założenia konta, na którym każdy może zamieścić swoją dowolną twórczość i na niej zarabiać. Szybko okazało się, że największe zyski dają produkcje rozbierane, więc zaczęto je mocno promować, nakręcając zainteresowanie doniesieniami o milionowych kwotach, które zarobili niektórzy użytkownicy. W ten sposób pojawił się nowy rynek, na którym jedni oferowali amatorskie produkcje porno, a inni wykupywali do nich dostęp. W roli faktycznego stręczyciela występował tutaj serwis internetowy, który pobierał prowizje od każdej transakcji. A zatem im więcej tych produkcji, tym większe zyski.

Zamieszczanie w internecie amatorskich pornosów lub zwykłych rozbieranek przed kamerą, które – nie wychodząc z domu – mógł nakręcić każdy, zaczęło zyskiwać popularność jako łatwa forma zarobku zwłaszcza wśród młodych ludzi. Formalnie, by zarejestrować konto, należało udowodnić swoją pełnoletniość, ale nawet jeśli skrupulatnie weryfikowano podawane przez użytkowników dane, to przecież wiedza o serwisach stała się wśród wielu nastolatków powszechna. I nawet jeżeli musieli poczekać na ukończenie 18 lat, to byli już potencjalnymi, oswojonymi z taką formą zarobku klientami.

Portal Gazeta.pl umieścił wywiad z polską gwiazdą takiej produkcji, która – i to jest wielki powód do dumy – otrzymała nawet nominację do nagrody branżowej nazywanej porno-Oscarem. Wspomniana pani zaczynała właśnie od amatorskich filmów nakręcanych kamerą internetową wraz ze swoim partnerem. Niektóre z nich – jak mówi – były nagrywane według scenariuszy przysyłanych przez żądnych wrażeń widzów, którzy chcieli za większe pieniądze zaspokoić swoje ciche fantazje erotyczne. Teraz dzięki dobrym zarobkom para się sprofesjonalizowała. „Chcemy być coraz lepsi w tym, co robimy" – opowiada kandydatka do pornograficznego Oscara. Nominacja w końcu zobowiązuje. „Dokupujemy ciągle lepszy sprzęt, oświetlenie i mikrofony, a także oglądamy nasze stare filmy i je analizujemy. Mówimy sobie wtedy: ta pozycja dobrze wyglądała, musimy ją powtórzyć. Albo: tu wyglądamy niekorzystnie i tego już nie będziemy robić. Patrzymy na statystyki, co nam się dobrze sprzedaje i co się podoba ludziom".

> Trzeba mieć naprawdę poważny problem z logicznym myśleniem, by traktować zaspokajanie męskich potrzeb seksualnych jako kobiecy cios w patriarchat

Profesjonalizacja ma jednak i swoje gorsze strony. Dni zdjęciowe, obróbka i analiza filmów są tak wyczerpujące, że para nie dzieli już z sobą sypialni. „To nie jest łatwa branża" – zaznacza rozmówczyni portalu Gazeta.pl. Cieszy ją jednak duże wsparcie bliskich, zwłaszcza rodziców.

STRĘCZYCIELSKIE LOBBY

Sex worker to pojęcie szersze niż prostytutka (tę w nowomodnym slangu nazywa się eskortką). Obejmuje ono bowiem nie tylko prostytucję, lecz także wszelką inną działalność zarobkową związaną z seksem, a więc udział w filmach pornograficznych, rozbieranie się przed kamerą czy nawet – tego też dowiedziałem się z portalu Gazeta.pl – sprzedaż używanych majtek fetyszystom (szczegółów państwu oszczędzę). Jest to przedstawiane jako łatwa, atrakcyjna forma zarobku, zwłaszcza dla młodych ludzi, w szczególności dla studentek i studentów. Żeby mogli oni w pełni korzystać z wielkich możliwości, które im daje sex working, trzeba jednak przełamać społeczny opór. Publikacje na ten temat są więc – jak można z tego wnioskować – formą edukacji społeczeństwa. Seks ma być pozbawiony wszelkiej głębi – nie ma w nim nic nadzwyczajnego, to zwykła czynność, tyle że przynosząca przyjemność. Dlaczego więc nie połączyć tego z pieniędzmi?

Pod postulatem akceptacji do sprzedawania seksu kryje się jednak coś więcej – akceptacja dla stręczycielstwa. I o to tu przede wszystkim chodzi. Namawianie ludzi, by realizowali się, kręcąc amatorskie filmy porno lub podejmując pracę prostytutki, jest bezpieczne, ponieważ nie narusza prawa. Zarabiający na tym procederze pośrednicy chcieliby jednak zwiększyć swoje zyski, a to byłoby możliwe dopiero wtedy, gdyby społeczeństwo uznało sex working za pracę taką jak każda inna. Bo jeśli byłaby to praca jak każda inna, to stręczycielstwo przestałoby być stręczycielstwem i stało się zwykłą działalnością gospodarczą.

Pomijając już wątpliwy aspekt etyczny takiego stawiania sprawy, wypada zauważyć, że byłoby to wyłącznie w interesie biznesu seksualnego. Działający w pojedynkę sex workerzy, którzy dziś dają trochę zarobić pośrednikom, nie mieliby szans w zderzeniu z wielkimi sieciami burdeli czy producentami porno. Szybko staliby się ich niewolnikami. Zresztą dostępne statystyki wskazują, że legalizacja prostytucji nieuchronnie zwiększa atrakcyjność handlu żywym towarem.

Prostytucja istniała od zawsze. I z pewnością będzie istnieć. W Polsce nie jest przestępstwem. Zatem każdy, kto będzie chciał ją uprawiać lub – to częstsze sytuacje – będzie zmuszony trudną sytuacją do jej uprawiania, będzie to robił. Nie ma jednak żadnego powodu, by nabijać przy tej okazji kabzę wdzierającym się do życia publicznego alfonsom.

eprasa.pl a678eb2f54

Bilans strat i ich konsekwencje

Rosja w tej wojnie nadal dysponuje ogromnymi zasobami w ludziach i sprzęcie. Ukraina, by wygrać, musi zacząć walczyć tak jak NATO, nie przyjmować rosyjskiego stylu walki, szanować życie żołnierzy i dostać nowy sprzęt, który umożliwia tę zmianę sposobu walki

MAREK BUDZISZ

Gen. Rajmund Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, powiedział w wywiadzie dla PAP, że wojna na Ukrainie to dziś w gruncie rzeczy walka o to, co w żargonie wojskowym określa się mianem prędkości ścierania. Chodzi o to, kto szybciej traci. „To kwestia strat w stosunku do zasobów. Ukraina może zwyczajnie tego ścierania nie wytrzymać. Znaczenie ma efekt skali. Rosja nadal jest duża i silna".

Jeśli ta diagnoza jest słuszna, to trzeba postawić pytanie o straty obydwu stron, zarówno w sile żywej, jak i w sprzęcie,

Fot. O_Lypa / Shutterstock

eprasa.pl a678eb2f54

a także o możliwości odbudowy potencjału wojskowego, który podlega „ścieraniu".

STRATY W LUDZIACH

Zacznijmy od Ukrainy, bo o stratach broniących się wiemy relatywni najmniej, co zresztą otwiera pole do najróżniejszych spekulacji. Na początku grudnia ub.r. Mychajło Podolak, doradca szefa administracji prezydenta Zełenskiego, mówił o tym, że do tej pory w walkach zginęło od 10 do 13 tys. ukraińskich żołnierzy i oficerów, dodając przy tym, iż „znacznie większe straty mamy w związku z rannymi". Te informacje zostały przyjęte z niedowierzaniem dlatego, że jeszcze pod koniec sierpnia, zanim udało się wyzwolić Chersoń i przeprowadzić operację zdobycia Iziumu i Kupiańska, Wałerij Załużny, głównodowodzący ukraińskich sił zbrojnych, mówił o 9 tys. zabitych. Z licznych relacji wiadomo też, że walki na prawym brzegu Dniepru były krwawe, od lata trwają rosyjskie ataki na Bachmut, a ostatnia bitwa o Sołedar należy do najkrwawszych w tej wojnie. Ołeksij Reznikow, ukraiński minister obrony, w wywiadzie dla BBC mówił w styczniu, że Rosjanie, atakując, tracą dziennie 500–600 żołnierzy i najemników, a liczba poległych Ukraińców jest 10-krotnie mniejsza. Ale to nadal jest 50–60 zabitych na krótkim, kilkukilometrowym odcinku frontu w sytuacji, kiedy gdzie indziej walki są znacznie mniej intensywne. Latem ub.r., kiedy Rosjanie wykorzystywali swoją przewagę artyleryjską, dziennie wystrzeliwując nawet 60 tys. pocisków, prezydent Zełenski mówił o liczbie 100–200 zabitych po stronie ukraińskiej.

Wojna trwa już ponad 330 dni, a to oznacza, że ukraińskie straty, nawet biorąc średnie wielkości z oficjalnych deklaracji, są zapewne kilkukrotnie większe niż oficjalne dane. Potwierdzają to zresztą liczne relacje z frontu. Ołeksandr Pogrebski, sierżant walczącej w Soledarze 46. Brygady Powietrzno-Desantowej, w cywilu deputowany do rady miejskiej Kijowa z partii Europejska Solidarność Petra Poroszenki, powiedział w wywiadzie, że w jego brygadzie po ciężkich walkach na południu, po wyzwoleniu obwodu mikołajewskiego i chersońskiego, było wielu rannych. Dlatego też pierwszy skład jednostki musiał zostać wymieniony, „przybyło wielu nowych chłopaków" i obecnie nawet 80 proc. walczących to ci, którzy zostali zmobilizowani już po wybuchu wojny. Nie wpływa to na skuteczność na polu walki, bo 46. brygada uchodzi za jedną z najlepszych w ukraińskiej armii, ale ukazuje na skalę strat. Mówi też, że jego jednostka utrzymała bez większego problemu swoje pozycje w Sołedarze, jest jedną z najlepszych brygad w ukraińskiej armii, ale problemy zaczęły się wtedy, kiedy puściła obrona na flankach, gdzie walczyły mniej doświadczone i niedawno sformowane oddziały. Tam też starty były po ukraińskiej stronie znacznie większe.

> Rosyjski sektor przemysłowy pracujący na rzecz wojska nie ma problemów z pieniędzmi, bo zdaniem ekspertów ekonomicznych zgromadzonych rezerw finansowych starczy Kremlowi jeszcze co najmniej na dwa lata wojny

To pokazuje realny wymiar wojny, która jest ciągłym ruchem, walczący podlegają rotacji, są wycofywani, by odpocząć lub wzmocnić obronę na innych kierunkach, a na ich miejsce przychodzą inni, czasem mniej doświadczeni i gorzej wyszkoleni.

Spekulacje na temat rzeczywistych strat strony ukraińskiej zaczęły się na większą skalę, kiedy Ursula von der Layen, występując publicznie, określiła na 100 tys. liczbę zabitych żołnierzy i oficerów. Potem wycofała się z tej wypowiedzi, ale ukraińskie media przypomniały, że niewiele wcześniej gen. Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA, mówił, że straty rosyjskie i ukraińskie są porównywalne. Amerykański wojskowy miał zapewne na myśli łączną – zarówno wskutek ran, jak i śmierci – liczbę wyeliminowanych z walki żołnierzy, tak jego słowa interpretowano na Ukrainie, ale to i tak wielkie liczby. Rosjanie mają gorzej zorganizowaną pomoc medyczną dla walczących, stąd zdaniem amerykańskich ekspertów znacznie większa w ich przypadku liczba zabitych w walkach, bo mało kto ma szansę przeżyć ciężką ranę, ale na Zachodzie niespecjalnie ufa się komunikatom ukraińskiego Sztabu Generalnego, w których świetle na Ukrainie od początku wojny życie straciło już niemal 120 tys. rosyjskich żołnierzy.

Ben Walles, brytyjski minister obrony, powiedział w listopadzie, że 100 tys. Rosjan zostało zabitych, rannych lub zdezerterowało od początku wojny, co odpowiadało szacunkom Milleya, który w tym samym miesiącu mówił również o 100 tys. zabitych i rannych rosyjskich żołnierzach.

Potem rozpoczęła się gorąca faza oblężenia Bachmutu i Sołedaru, gdzie wagnerowcy atakowali falami, a starcia trwały nieprzerwanie nawet 30 godzin. Jewgienij Dikij, dowódca kompanii batalionu Ajdar, powiedział dziennikarzom portalu NV, że „trwają tam piekielne walki, jakich świat nie widział od II wojny światowej". Rosjanie zmienili taktykę, atakują nieprzerwanie małymi grupami, walczy się niemal w zwarciu, dosłownie o każdy metr, co uniemożliwia działanie bardzo profesjonalnej artylerii ukraińskiej. Rosjanie nie mają takich skrupułów i ostrzeliwują bez wahania te rejony, gdzie udało im się oznaczyć pozycje ukraińskie, nawet jeśli giną i ich ludzie, traktowani zresztą jak mięso armatnie. Strona ukraińska informowała, że w walkach o Sołedar i Bachmut Rosjanie stracili od 10 do 20 tys. żołnierzy, głównie zresztą zwerbowanych do Grupy Wagnera kryminalistów, ale straty ukraińskie – co wynika z wielu relacji – są również bardzo poważne.

W tym przypadku znaczenie ma jednak co innego. Jak mówi płk Piotr Lewandowski, były dowódca bazy w Re-

epraso.pl.a678eb254

dzikowie, „Rosjanom udało się narzucić Ukraińcom swój styl walki", w którym podstawowe znaczenie ma skala zaangażowanego potencjału, liczba walczących żołnierzy i sprzętu, co jest bardzo niepokojące, bo mając większe zasoby, a mówi się o zmobilizowaniu kolejnych 300–500 tys. rezerwistów, mogą sobie pozwolić na większe straty.

STRATY W SPRZĘCIE

Podobna sytuacja jest w przypadku sprzętu. Jeszcze w listopadzie Colin Kahl, podsekretarz stanu w amerykańskim resorcie obrony, powiedział, że „prawdopodobnie Rosjanie stracili połowę swoich czołgów", ale skrupulatnie liczący straty Moskwy wojskowi blogerzy są zdania, iż to niewiele zmienia. Przede wszystkim dlatego, że zasoby rosyjskiej armii są ogromne. John Spencer, oficer amerykańskich sił zbrojnych, obecnie pracujący w Modern War Institute, szacuje, że Rosjanie rzeczywiście stracili 47,5 proc. swoich czołgów, ale nie zmienia to faktu, że nadal mają ich 1,8 tys., a w magazynach długiego składowania nawet 10 tys. W przypadku transporterów opancerzonych i systemów artyleryjskich ich straty są mniejsze. Tych pierwszych stracili 29 proc., ale z 6,5 tys. sztuk, które mieli na początku wojny (w magazynach 8,5 tys.), a w przypadku artylerii można potwierdzić zniszczenie przez stronę ukraińską jedynie 7,8 proc. potencjału Rosji. Ale jak zauważył, nawet jeśli uznać, iż dane Kijowa są prawdziwe i ukraińskiej armii udało się zniszczyć 35,3 proc. rosyjskich systemów artyleryjskich, to i tak Moskale mają ich nadal w służbie ponad 3,8 tys., a w magazynach kolejne 17,1 tys. To dlatego Putin mówi, że na końcu drogi będzie zwycięstwo, bo jeśli Ukraina przyjmie realia wojny na wyniszczenie, to jej potencjał wyczerpie się szybciej niż rosyjski, a Zachód przecież nie przyśle swojego wojska.

Z tego samego powodu zachodni analitycy uważają, że Ukraina musi zacząć walczyć tak jak NATO, nie przyjmować rosyjskiego stylu walki, szanować życie żołnierzy i dostać nowy sprzęt, który umożliwia tę zmianę sposobu walki, a przede wszystkim pozwala osiągnąć przewagę ze względu na precyzję uderzeń, a nie skalę przewagi ogniowej. Jest to tym ważniejsze, że Rosjanie też mają problemy. Eksperci z amerykańskiego Institute for a Study of War już zauważyli, że intensywność ich ostrzałów artyleryjskich wynosi dziś 1/3 tego, co latem ub.r., a to może oznaczać, że zaczynają się problemy z wielkością i rytmicznością dostaw. CNN, powołując się na anonimowe źródła w Pentagonie, poinformowało przed tygodniem, że Rosjanie o 75 proc. zmniejszyli intensywność walki właśnie z powodu braków amunicji. Siergiej Czemiezow, szef rosyjskiego giganta zbrojeniowego Rostech, mówił w wywiadzie dla TASS na początku stycznia, że podległe mu firmy pracują już w rytmie 24-godzinnym przez siedem dni w tygodniu, ale to nie oznacza, że ich produkcja może wzrosnąć skokowo.

Rosyjski sektor przemysłowy pracujący na rzecz wojska nie ma problemów z pieniędzmi, bo zdaniem ekspertów ekonomicznych zgromadzonych rezerw finansowych starczy Kremlowi jeszcze co najmniej na dwa lata wojny. Problem leży gdzie indziej – nie ma rąk do pracy. Aleksander Safonow, prorektor Uniwersytetu Finansowego przy rządzie FR, powiedział mediom, że tylko w tym roku w związku ze skokowym wzrostem zamówień armii zabraknie dodatkowych 50 tys. pracowników zbrojeniówki, a chodzi o wysoko wykwalifikowanych inżynierów, tokarzy, frezerów, których niełatwo szybko pozyskać. W czerwcu ub.r. Jurij Borysow, rosyjski wicepremier nadzorujący ten sektor, mówił o brakach na poziomie 400 tys. pracowników, z tego 120 tys. inżynierów.

To dlatego w ostatnich daniach zarówno Putin, jak i Miedwiediew, mianowany pierwszym wiceprzewodniczącym specjalnej komisji, której zadaniem jest wzmożenie wysiłku sektora przemysłowego pracującego na rzecz armii, składają robocze wizyty w największych zakładach branży. Ten pierwszy obiecuje nowe programy socjalne, ten drugi grozi karami więzienia, jeśli zamówienia dla armii nie zostaną zrealizowane. Ale z tym nie jest najlepiej, również z tego powodu, że rosyjskie firmy zbrojeniowe, choć zatrudniają dziesiątki tysięcy pracowników, produkują w gruncie rzeczy w stylu rzemieślniczym. Paweł Łuzin, rosyjski analityk obecnie pracujący w Stanach Zjednoczonych, ocenia, że w ciągu roku są one w stanie zbudować siedem myśliwców Su-34, co oznacza, iż nawet jeśli znacząco podniosą produkcję, to i tak rocznie nie będzie to więcej niż 12 sztuk. Podobnie jest w przypadku czołgów. Latem ub.r. Łuzin oceniał, że uzupełnienie dotychczasowych strat zajmie Rosjanom w tym przypadku cztery lata, bo rocznie nie są w stanie oni produkować więcej niż ok. 300 czołgów.

PRZEŁOMOWA FAZA WOJNY

Mamy zatem do czynienia z czytelną sytuacją. Ścierają się potencjały obydwu walczących stron, co ma znaczenie tym większe, że nie były one równe. Ukraina na początku wojny – jak powiedział niedawno gen. Christopher Cavoli, naczelny dowódca sił NATO w Europie – wystawiła 37 brygad liniowych, których siły były uzupełniane przez dodatkowe 12 brygad obrony terytorialnej (dla porównania amerykańskie siły lądowe liczą 31 brygad), co dało Kijowowi przewagę w sile żywej. Dodatkowym, podkreślanym przez wszystkich obserwatorów atutem było to, iż było to wojsko zmotywowane, wiedzące, o co i z jakiego powodu walczy. To dało Ukrainie przewagę liczebności. Dobrze zbudowane systemy obrony, lepsza od rosyjskiej świadomość sytuacyjna i większa inicjatywność ukraińskich dowódców wszystkich szczebli pozwoliły w efekcie wyrównać potencjały obydwu stron, zmniejszając znaczenie rosyjskiej przewagi w sprzęcie. Ale teraz – po mobilizacji zarządzonej przez Putina i w obliczu kolejnej zapowiadanej przez Szojgu, który chce zmiany zasad poboru, co może dać Moskwie dodatkowo razem z powoływanymi corocznie nawet 500 tys. „mięsa armatniego" – ta ukraińska przewaga zaczyna tracić znaczenie, bo Rosjanie mają coraz więcej sił do dyspozycji. To dlatego zarówno Joe Biden, jak i Jens Stoltenberg mówią o tym, iż wojna weszła w fazę przełomową.

Ukraina musi dostać znacznie więcej nowoczesnego sprzętu, by być w stanie zmienić sposób walki i nie dać sobie narzucić rosyjskiego jej modelu. Jeśli bowiem obecna wojna zacznie przypominać ostatni konflikt światowy również pod względem strat w szeregach walczących, to Kijów może znaleźć się w trudnej sytuacji.

Watykan po śmierci Benedykta XVI

Okoliczności pogrzebu papieża seniora i pośmiertnego przesłania kard. George'a Pella postawiły w centrum uwagi przyszłość pontyfikatu Franciszka

GRZEGORZ GÓRNY

Pogrzeb Benedykta XVI miał dziwny przebieg. W Watykanie nie ogłoszono oficjalnej żałoby. Nie biły dzwony, nie opuszczono flag do połowy masztu – ani na budynkach watykańskich w Rzymie, ani na terenie żadnej z nuncjatur. Dla porównania: władze Włoch i Wielkiej Brytanii nakazały opuszczenie swoich flag do połowy masztu, by oddać hołd Benedyktowi.

Pracownicy zatrudnieni na terenie Watykanu dowiedzieli się, że w dniu pochówku papieża seniora mają pracować normalnie jak w zwykły dzień roboczy, co oznaczało, że nie będą mogli wziąć udziału w pogrzebie. Dopiero gdy wielu z nich dało do zrozumienia, że wezmą tego dnia bezpłatny urlop, by uczestniczyć we mszy pogrzebowej, ogłoszono, że mogą wziąć w niej udział, ale po godz. 13.00 muszą wrócić do pracy.

Nie było żadnej uroczystej procesji, w której mogliby uczestniczyć kardynałowie, biskupi lub inne osobistości. Trumna z ciałem Benedykta XVI została przewieziona nocą z klasztoru Mater Ecclesiae do bazyliki św. Piotra szarą furgonetką, w której równie dobrze można by przewozić przesyłki kurierskie. Za samochodem nie szedł żaden przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, jedynie garstka najbliższych papieżowi seniorowi osób na czele z abp. Georgiem Gänsweinem. Do bazyliki trumna została wniesiona nie głównym, lecz bocznym wejściem.

Przed pochówkiem Stolica Apostolska ogłosiła, że w pogrzebie będą uczestniczyć tylko dwie oficjalne delegacje państwowe: Włoch i Niemiec. Spowodowało to zdecydowane protesty władz kilku krajów. Najostrzej wystąpił prezydent Portugalii Marcelo Rebelo de Sousa, który publicznie skrytykował decyzję Watykanu o ograniczeniu liczby oficjalnych delegacji. Zapowiedział, że wybiera się do Rzymu na pogrzeb Benedykta XVI – i to nie jako zwykły obywatel, lecz jako głowa państwa portugalskiego, by reprezentować tam swój naród. Pod wpływem tej presji Watykan zmienił zdanie.

Sekretariat Stanu poinformował państwa, które wysłały swoje delegacje, by ich przedstawiciele powstrzymali się od noszenia strojów galowych. Przez gości z zagranicy zostało to odebrane jako jawne obniżenie rangi uroczystości.

Wiernym, którzy przybyli nawet z dalekich stron świata, by oddać hołd Benedyktowi XVI, nie pozwolono zatrzymać się przed trumną z wystawionym ciałem na więcej niż kilka sekund. Nie mieli możliwości odmówienia przed nim nawet krótkiej modlitwy. Przybywających odpędzała ochrona kierowana przez mężczyznę w dżinsach i brązowej kurtce, który ubrany w taki strój witał kardynałów, prezydentów i premierów z wielu krajów.

WYRZUT NIECZYSTEGO SUMIENIA?

Homilia pogrzebowa Franciszka brzmiała tak, jakby nie miał nic do powiedzenia o zmarłym. Było to zwykłe rozważanie biblijne, jakie można usłyszeć na niedzielnej mszy w parafii, a imię papieża seniora w całym siedmiominutowym kazaniu padło tylko raz – w ostatnim zdaniu: „Benedykcie, wierny przyjacielu

Fot. Marco Iacobucci Epp / Shutterstock

eprasa.pl a678eb2f54

Oblubieńca, niech twoja radość będzie doskonała, gdy będziesz słyszał ostatecznie i na zawsze Jego głos!".

Były prezydent Czech Václav Klaus, który zjawił w Watykanie, przyznał, że była to najdziwniejsza uroczystość pogrzebowa, w jakiej uczestniczył. Jego zdaniem Benedyktowi XVI nie oddano podczas pochówku należytej chwały: „Nie powiedziano o nim ani słowa poza ogólnikami. Nigdzie nie było jego portretu ani zdjęcia (przynajmniej z mojego miejsca dla VIP-ów nie było ich widać, ale także w bazylice św. Piotra ani w Rzymie nie było nic). Panowała dziwna, ośmielę się powiedzieć, nieświęta cisza. Nie przypominam sobie, by w ogóle biły dzwony św. Piotra. Rozległ się – bez żadnego związku z tym, co się działo – nieśmiały aplauz garstki pielgrzymów. Gdy obok nich przenoszono trumnę, rozległy się uprzejme oklaski ze strony mównicy dla VIP-ów złożonej z polityków. Powiedziałbym, że była to »normalna« msza. Jednak muszę powiedzieć, że z pewnością nie po to pojechałem do Rzymu".

W związku z tym czeski polityk wyraził przypuszczenie: „Czyżby to było możliwe, by dzisiejszy Watykan go nie lubił? A może nie tylko Watykan, ale dzisiejszy Kościół katolicki, który w przeciwieństwie do papieża Benedykta nie chce dziś przeciwstawiać się światu, choć jest to tak sprzeczne z 1000-letnim nauczaniem Kościoła? Czy papież Benedykt (i postpapież Benedykt) nie jest wyrzutem nieczystego sumienia dzisiejszego Kościoła?".

TOKSYCZNY KOSZMAR

Wyrzutem sumienia dla wielu ludzi w Kościele była z pewnością postać kard. George'a Pella, który zmarł niespodziewanie pięć dni po pogrzebie Benedykta XVI. Był to najwyższy rangą duchowny katolicki na świecie fałszywie oskarżony i niesłusznie skazany za rzekome molestowanie nieletnich. Spędził 13 miesięcy w więzieniu, zanim Sąd Najwyższy Australii oczyścił go ze wszystkich zarzutów, uznając, że purpurat jest niewinny. Już wcześniej dostojnik dał się poznać jako nieugięty obrońca katolickiej doktryny przed heretyckimi ideami. Po śmierci jego głos w tej kwestii zabrzmiał jednak jeszcze donośniej niż za życia. Wszystko za sprawą dwóch napisanych przez niego tekstów, które stały się głośne już po jego odejściu.

Pierwszy ukazał się na łamach brytyjskiego tygodnika „The Spectator". Kardynał przekazał go redakcji, jednak nie doczekał już druku. Esej Pella był poświęcony zwołanemu przez Franciszka synodowi o synodalności, który zamienił się zdaniem australijskiego dostojnika w toksyczny koszmar. Hierarcha skrytykował zwłaszcza opublikowany w październiku 45-stronicowy „dokument kontynentalny" synodu. Według niego „to rzecz niekompletna, w istotny sposób wroga wobec tradycji apostolskiej, nigdzie nie uznaje Nowego Testamentu za Słowo Boże, normatywne dla całości nauczania na temat wiary i moralności". Zamiast tego do dokumentów synodalnych wdarł się neomarksistowski żargon, który zastąpił myślenie w kategoriach nadprzyrodzonych.

> Zdaniem kard. Pella synody powinny być sługami i obrońcami tradycji apostolskiej na temat wiary i moralności, a nie rościć sobie prawo do władzy nad nauką katolicką, redefiniując pojęcia grzechów

Kard. Pell skrytykował też mianowanie przez Franciszka relatorem generalnym synodu kard. Jeana-Claude'a Hollericha, który domaga się zmiany nauki moralnej Kościoła, np. akceptacji aktów homoseksualnych. Jak pisze australijski purpurat: „W normalnych czasach oznaczałoby to, że dalsze pełnienie przez niego funkcji relatora byłoby niewłaściwe, w istocie niemożliwe". W tym kontekście wyraża on żal, iż Hollerich i inni biskupi, głoszący publicznie poglądy niezgodne z nauczaniem Kościoła, nie są dyscyplinowani przez Stolicę Apostolską.

Zdaniem kard. Pella synody powinny być sługami i obrońcami tradycji apostolskiej na temat wiary i moralności, a nie rościć sobie prawo do władzy nad nauką katolicką, redefiniując pojęcia grzechów. Dostojnik przypomniał też, że na synodach decydującą rolę powinni odgrywać biskupi, którzy jednak w całym procesie synodalności są dziś odsuwani na bok, co stanowi nadużycie i manipulację.

Damian Thompson, odpowiedzialny w redakcji „The Spectator" za druk powyższego tekstu, powiedział, że ostatnia publiczna wypowiedź kardynała „wyraża uzasadnioną wściekłość na kierunek teologiczny tego pontyfikatu, wskazując, że dochodzi tu do zdrady samego Chrystusa".

KATASTROFA I SCHYŁEK

W cytowanym eseju George'a Pella nie znalazło się ani jedno słowo bezpośredniej krytyki pod adresem Franciszka, dlatego część komentatorów stwierdziła, iż australijski hierarcha nie wysunął żadnych zarzutów pod adresem papieża. Ta argumentacja legła jednak w gruzach, gdy wpływowy watykanista Sandro Magister ujawnił, że za anonimowym memorandum podpisanym pseudonimem Demos i krążącym wiosną 2022 r. wśród duchownych w Rzymie stał nie kto inny jak właśnie kard. Pell.

Wspomniany tekst to miażdżąca krytyka obecnego pontyfikatu, nazwanego wprost katastrofą dla Kościoła. Autor zarzuca Franciszkowi, iż Stolica Apostolska pod jego przewodnictwem toleruje herezje, prześladuje tradycjonalistów, marginalizuje postać Chrystusa, promuje panteizm, a nawet bałwochwalstwo (w postaci Pachamamy), atakuje dziedzictwo Jana Pawła II, ulega politycznej poprawności, nie broni prześladowanych katolików, np. w Chinach. W końcowej części memorandum Demos wylicza wyzwania, przed którymi będzie musiał stanąć następny papież, by posprzątać bałagan pozostawiony po Franciszku.

Oba teksty i ich medialna recepcja wskazują, że w Kościele dojrzewa świadomość, iż wchodzimy w schyłkową fazę obecnego pontyfikatu i przed pewnymi pytaniami nie da się już dłużej uciec.

eprasa.pl a678eb2f54

Niebezpieczny TikTok

Pomysł zakazania lub ograniczenia działalności TikToka w USA ma swoich zwolenników zarówno w Partii Demokratycznej, jak i Republikańskiej

GORAN ANDRIJANIĆ

Czy Stany Zjednoczone naprawdę zakażą TikToka na swoim terytorium? Otwarta wojna między administracją USA a potężną i wpływową aplikacją mobilną należącą do chińskiego kapitału, która według Waszyngtonu zagraża bezpieczeństwu narodowemu, trwa już od kilku lat.

Aplikacja ma 100 mln użytkowników w Stanach Zjednoczonych, a były prezydent Donald Trump próbował wyprzeć TikTok z rynku już w 2020 r. Zgodnie z rozporządzeniem wykonawczym przedsiębiorstwo ByteDance, właściciel aplikacji, miało w ciągu 45 dni sprzedać swoje udziały amerykańskiej firmie, a w przypadku niedotrzymania tego terminu – otrzymać zakaz prowadzenia działalności w USA.

Rozporządzenie to było zwieńczeniem wysiłków administracji Trumpa zmierzających do rozwiązania problemu aplikacji, której główną aktywnością jest publikowanie krótkich materiałów wideo. Istnieje realna groźba, że TikTok może uzyskiwać dostęp do wrażliwych danych osobowych amerykańskich użytkowników lub cenzurować treści w aplikacji według własnego uznania. Czyli według uznania chińskich komunistów, którzy mają – jak niektórzy twierdzą – realny wpływ na firmę.

W rozporządzeniu stwierdzono, że TikTok automatycznie przechwytuje ogromne ilości informacji od swoich użytkowników. „To grozi umożliwieniem Komunistycznej Partii Chin dostępu do danych osobowych i zastrzeżonych Amerykanów. Ta sytuacja potencjalnie umożliwia Chinom śledzenie lokalizacji pracowników federalnych, tworząc ich akta danych osobowych w celu szantażu i prowadzenia szpiegostwa korporacyjnego".

Jak widać z retoryki dokumentu, Trump był wówczas zdeterminowany, by wejść w otwartą wojnę z Chińczykami. Jego decyzję od początku krytykowano jako prawnie wątpliwą, a jemu samemu nigdy nie udało się jej zrealizować. Kilka miesięcy później przegrał wybory z Joe Bidenem, który natychmiast ją uchylił.

CHIŃCZYCY ZAPRZECZAJĄ, ALE AMERYKANIE NIE USTĘPUJĄ

Problem jednak pozostaje i amerykańska elita polityczna jest tego świadoma. Pomysł zakazania lub ograniczenia działalności TikToka w USA ma swoich zwolenników zarówno w Partii Demokratycznej, jak i Republikańskiej. Od ponad trzech lat przedstawiciele ByteDance w USA negocjują z Komitetem ds. Inwestycji Zagranicznych w Stanach Zjednoczonych (CFIUS), starając się utrzymać na amerykańskim rynku. ByteDance twierdzi oczywiście, że wszelkie stawiane im zarzuty są bezpodstawne, a ich aplikacja spełnia najwyższe standardy bezpieczeństwa dla użytkowników. Zaprzeczają również jakimkolwiek powiązaniom z Komunistyczną Partią Chin.

Jednocześnie – jak piszą amerykańskie media – zwielokrotnili swoje inwestycje w różne firmy lobbingowe w Waszyngtonie, które przedstawiają ich racje politykom.

Podobno między chińską firmą a CFIUS zostało już osiągnięte porozumienie, które obejmuje przeniesienie TikToka na amerykańskie serwery, co powinno zmniejszyć ryzyko przechwytywania danych.

Jednak tym, co bardzo skomplikowało sytuację ByteDance, było odkrycie w grudniu ub.r., że kilku ich pracowników, w tym dwóch dziennikarzy, nielegalnie zdobyło dane osobowe amerykańskich obywateli. Firma odpowiedziała ich zwolnieniem, ale to niewiele pomogło.

Jedną z ostatnich decyzji Kongresu USA w ub.r. był zakaz korzystania z TikToka na wszystkich urządzeniach należących do instytucji federalnych.

Fot. Ascannio/Shutterstock.com

eprasa.pl a678eb2f54

Coraz więcej amerykańskich szkół publicznych i uniwersytetów zakazuje korzystania z aplikacji w swoich sieciach Wi-Fi. Możliwość zbanowania TikToka w USA staje się coraz bardziej pewna, a poważni politycy, tacy jak republikanin Marco Rubio, już wzywali do krajowego zakazu korzystania z aplikacji.

WOJNA HYBRYDOWA

Czy jednak chodzi tylko o ewentualne niewłaściwe wykorzystanie danych osobowych, czy o coś głębszego, za co elity polityczne krytykują TikToka?

Eliasz Grubiński, ekspert ds. cyberbezpieczeństwa Fundacji Instytut Wolności, uważa, że to drugie. Według niego zarzuty wobec TikToka w kwestii gromadzenia danych osobowych są w sporej mierze oparte na przekłamaniach, które mają podważyć wiarygodność aplikacji bardziej ze względów politycznych aniżeli technicznych.

– TikTokowi zarzuca się, że gromadzi dane również, gdy nie korzystamy z aplikacji, np. informacje o naszej lokalizacji lub historię wyszukiwania. Jednak prawdą jest, że aplikacja informuje o wszystkim użytkownika, który musi wyrazić na to zgodę, a to, że użytkownicy nie czytają, na co się zgadzają, to już jest inna sprawa – mówi ekspert.

O co więc w tym wszystkim chodzi? – O to, że era mediów społecznościowych spowodowała infantylizację przestrzeni informacyjnej, która z miejsca wymiany opinii stała się walką o atencję. Media społecznościowe spowodowały gwałtowny spadek zdolności skupienia uwagi na jednej rzeczy przez określony czas – wyjaśnia Grubiński.

TikTok jest tego wyjątkowo dobrym przykładem i mocnym narzędziem tej infantylizacji. – Filmiki na TikTok są bardzo krótkie, a decyzję, czy chcemy oglądać film, czy przewijamy bez celu dalej, podejmuje się średnio w ciągu 0,5–1 sekundy. To wszystko powoduje, że twórcy, by mieć większe zasięgi, muszą się uciekać do sztuczek, które spowodują utrzymanie zaciekawienia przez kilka pierwszych sekund, tak by aplikacja „zaliczyła" wyświetlenie i uznała film za wartościowy. Problem polega na tym, że aby utrzymać tę ciekawość przez kilka pierwszych sekund, twórcy bardzo często mówią lub pokazują coś kontrowersyjnego, tak by zaciekawić odbiorcę. To wszystko wpływa na finalną jakość materiałów promowanych przez aplikację.

Grubiński zauważa też, że TikTok jest stworzony i zarządzany przez prywatną firmę, ale „jak wszyscy dobrze wiemy, prywatne firmy w Chinach są pod kontrolą komunistycznego rządu Chin".

> „TikTok to uzależniający narkotyk, który chiński rząd dostarcza Amerykanom. To cyfrowy fentanyl, ponieważ jest wysoce uzależniający i destrukcyjny" – twierdzi Mike Gallagher, republikański członek Izby Reprezentantów

– Chińskie władze mają traktować TikToka jako element długofalowej wojny hybrydowej z Zachodem, która ma polegać na ogłupieniu i zdegenerowaniu młodych pokoleń w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Taktyka jest dość prosta. W Chinach aplikacja promuje filmy, które są wartościowe dla społeczeństwa i jego rozwoju, np. zachęcające do ciężkiej pracy, do bycia ambitnym, przedsiębiorczym itp. Jednocześnie ta sama aplikacja w krajach zachodnich ma promować filmy, które są bezwartościowe i ideowo puste. Z tego powodu również Kongres Stanów Zjednoczonych podjął działania zmierzające do zablokowania tej aplikacji w USA – mówi nam Grubiński.

Ekspert ma rację. Politycy amerykańscy również podkreślają ten aspekt problemu z TikTokiem.

Algorytm TikToka stawia na pierwszy plan różne wyzwania, w których użytkownicy z sobą rywalizują. Większość z nich jest bezsensowna i niebezpieczna. Na przykład wyzwanie polegające na tym, kto weźmie największą ilość leków przeciwhistaminowych, co doprowadziło do śmierci jednego nastolatka.

„TikTok to uzależniający narkotyk, który chiński rząd dostarcza Amerykanom. To cyfrowy fentanyl [narkotyczny lek przeciwbólowy – przyp. red.], ponieważ jest wysoce uzależniający i destrukcyjny, a my widzimy niepokojące dane dotyczące niszczącego wpływu ciągłego korzystania z mediów społecznościowych, szczególnie na młodych mężczyzn i kobiet w Ameryce" – powiedział niedawno Mike Gallagher, republikański członek Izby Reprezentantów, który również zdecydowanie opowiada się za zakazem działania aplikacji w USA.

Czy wystarczy polityczna wola? Amerykańskie media ostrzegają, że TikTok stał się częścią amerykańskiej kultury i że jest zbyt popularny, by go zakazać.

– Aplikacja jest jedną z najbardziej popularnych w Ameryce i wszelkie próby jej zablokowania niewątpliwie spotkają się z dużym oporem społecznym. Jednak z politycznego punktu widzenia zdaje się, że doszło do cichego kompromisu między republikanami a demokratami w tej sprawie, więc moim zdaniem to tylko kwestia czasu, jak blokada stanie się faktem, nawet wbrew opinii publicznej – dodaje Grubiński.

Wydaje się, że decyzja o ograniczeniu wpływu sieci społecznościowych na odbiorców dojrzała już w niektórych zachodnich demokracjach. Jest to drażliwy temat, który obejmuje złożone kwestie, takie jak choćby wolność słowa. Istnieje jednak rosnący konsensus naukowy co do ich negatywnego wpływu, a demokratyczne rządy muszą na to zareagować. Co – jak widzimy – robią w USA.

JAK JEST W POLSCE?

Agencja Social Changes przeprowadziła niedawno ważne badanie dotyczące sieci społecznościowych. Według niego aż 66 proc. ankietowanych rodziców uważa, że TikTok i inne portale społecznościowe mają negatywny wpływ na dziecko. Zapytani, czy poprą przepisy ograniczające dostęp nieletnich do sieci społecznościowych, aż 61 proc. rodziców odpowiedziało „tak".

Jak widać, są to wyniki, które politykom powinny dać do myślenia.

eprasa.pl a678eb2f54

Kwadransowe miasta

To jedna z tych idei, teorii, które nazywa się spiskowymi, a które z czasem stają się rzeczywistością. Najczęściej upiorną, dystopijną

DARIUSZ MATUSZAK

To jeden z wielu projektów uszczęśliwiania ludzkości, których realizacja przyspieszyła po pandemii. I należy do tego samego menu „wielkiego resetu", który zapowiedział w 2020 r. i opisał w swojej książce o takim tytule Klaus Schwab, założyciel i szef Światowego Forum Ekonomicznego (World Economic Forum – WEF). Pandemia stała się okazją do narzucenia ludzkości nowego, zaprojektowanego przez władców i właścicieli świata, porządku.

ŻYCIE NIGDY NIE BYŁO LEPSZE

Ideę 15-minutowego miasta, a więc takiego, w którym mieszkaniec w promieniu trwającego kwadrans spaceru zaspokoi swoje wszystkie życiowe potrzeby i nie będzie musiał się dalej przemieszczać, skonkretyzował żyjący w Paryżu kolumbijski profesor urbanistyki Carlos Moreno. Pierwsze koncepcje pojawiły się jeszcze w latach 60. XX w., ale on na początku XXI w. nadał im kształt i nazwę. Idea latami się tliła, ale teraz, gdy została podjęta przez mędrców i właścicieli świata, co roku obradujących w Davos, jak nam urządzać życie, wybuchła nowym blaskiem i jest realizowana. Dlaczego pandemia sprzyjała takim projektom jak 15-minutowe miasto? Odpowiedź jest prosta – ludzkość pokazała, że można zamknąć ją w getcie, na cztery spusty, zabronić

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a678eb2f54

poruszania się. Teraz niech siedzi w swojej dzielnicy, by nie zostawiać za sobą śladu węglowego. Sama organizacja to przyznaje. „Oczywistą, choć niepełną odpowiedzią jest pandemia. Czy burmistrz Paryża Anne Hidalgo nalegałaby na progresywny projekt urbanistyczny bez nowych warunków? Niewątpliwie. Ale z powodu COVID-19, które trzymały wszystkich w domu lub bliżej domu, hasło, że miło mieć 15-minutowe miasto, zmieniło w wezwanie bojowe: »trzeba je mieć«" – czytamy na stronach WEF. „Zaspokojenie wszystkich potrzeb w odległości pieszej, rowerowej lub w zasięgu komunikacji zbiorowej stało się sprawą życia i śmierci".

Być może ideę takiego miasta, choć nie odnosi się do niego, najlepiej oddaje zamieszczony na stronach WEF tekst autorstwa Idy Auken, duńskiej socjalistki i poseł, byłej minister środowiska, jednej z liderek tej potężnej organizacji. Artykuł pt. „Witamy w roku 2030. Niczego nie mam, nawet prywatności, ale życie nigdy nie było lepsze" opisuje, jak miałoby wyglądać zaprojektowane życie w nowym świecie „wielkiego resetu". Wszystko właściwie sprowadza się do tego, że Auken niczego nie będzie mieć i będzie szczęśliwa. W 2030 r. energia będzie już darmowa, bo przecież Słońce świeci za darmo i nie płaci się też za wiatr. Darmowy więc jest też transport publiczny i kolejne rzeczy. Skoro za nic się nie płaci, to niczego się nie kupuje, tylko się skądś dostaje. Nie potrzeba niczego na własność. „Raz na jakiś czas będę gotować dla siebie. To proste – niezbędny sprzęt kuchenny jest dostarczany pod moje drzwi w ciągu kilku minut. Odkąd transport stał się darmowy, przestaliśmy mieć te wszystkie rzeczy we własnym domu. Po co trzymać w naszych szafkach urządzenie do robienia makaronu i naleśników? Możemy je po prostu zamówić, kiedy ich potrzebujemy – pisze owa globalna liderka. – Niczego nie mam. Nie mam samochodu. Nie mam domu. Nie posiadam żadnych urządzeń ani ubrań... Kiedy sztuczna inteligencja i roboty przejęły tak dużą część naszej pracy, nagle mamy czas, by dobrze zjeść, dobrze spać i spędzać czas z innymi ludźmi. Pojęcie godzin szczytu nie ma już sensu, ponieważ pracę, którą wykonujemy, możemy wykonać w dowolnym momencie. Naprawdę nie wiem, czy nazwałbym to już pracą. To bardziej jak czas na myślenie, czas tworzenia i czas rozwoju".

PROJEKT ŻYCIA Z KOMPUTERA I KREŚLARSKIEJ DESKI

Dunka więc roi sobie, że życie będzie wyglądało trochę jak w starożytnej Grecji, gdzie obywatele przechadzali się i wymyślali matematykę i filozofię, a na nich pracowali niewolnicy. Na Idę Auken będą tyrać darmowe roboty i algorytmy, a ona będzie dumać nad „wielkim resetem" i kreślić kolejne scenariusze. To wizja osoby skrajnie głupiutkiej, a jednak z jakiegoś powodu jedna z najbardziej wpływowych organizacji świata uznaje, że warto ją firmować i promować.

Jak komunistyczna wizja, która się roi Auken, ma się do 15-minutowego miasta? Otóż obydwa pomysły mają w sobie podobny poziom infantylizmu i upiornej dystopii. Dunka opisała, jak zaprojektowane życie zostało dostarczone pod drzwi lokum, w którym mieszka. W 15-minutowym mieście życie jest dostarczone do naszej dzielnicy. Każda bowiem ma pełnić, przynajmniej w teorii, sześć funkcji społecznych i być miejscem: zamieszkania, pracy, uczenia się, zaopatrywania się w potrzebne rzeczy, dbania o zdrowie, rozrywek i przyjemności. Tak więc wszędzie ma być kino, park, szkoła, dom kultury, odpowiednie sklepy, restauracje, boiska, pływalnie itd. Coraz częściej pracujemy zdalnie, a więc z dowolnego miejsca, coraz więcej powierzchni jest do wynajęcia na godziny. Rzeczy, których nie możemy kupić, wychodząc na spacer, będziemy zamawiać przez internet. Nasze miasto miałoby być w gruncie rzeczy taką ulepszoną i powiększoną galerią handlową z jej sklepami, lokalami, siłownią, kinami i klubami, a nawet oranżerią i fontannami.

W 15-minutowym mieście nie chodzi o projekt urbanistyczny, układ ulic, budynków, zieleni itd. To nie są wizje jak u Georges'a Haussmanna, który w XIX w. przebudowywał i wietrzył zatęchły średniowieczny jeszcze Paryż. Projektując gwiaździste układy bulwarów, dawał miastu oddech i przestrzeń. Twórcy 15-minutowych miast nie projektują placów, tylko życie i relacje między ludźmi. To plan ułożenia sąsiedztwa, rodziny i całych społeczeństw według zaprojektowanego przez mędrców i władców świata modelu. Moreno, który wymyślił 15-minutowe miasto, a teraz pracując dla paryskiego ratusza, je realizuje, twierdzi, że miasta nigdy już nie wrócą do takiego życia jak sprzed koronawirusa. Wszystko ma się skurczyć i dać nam poczucie bliskości. Carine Rolland, która wraz z Moreno pracuje nad tym, by Paryż stał się kwadransowym miastem, mówi w rozmowie z BBC, że nie chodzi o bliskość w sensie dystansu, ale ludzi, więzy między nimi. Mamy się poznawać, zaprzyjaźniać. Bliskość oznacza, że dzięki naszym relacjom społecznym na nowo odkryjemy sposób życia w miastach.

Paryski urzędnik, 27-letni Valentin Jedraszyk, wspomina z rozrzewnieniem czasy pandemii i zamknięcia ludzi w gettach. Kiedy nie mógł nigdzie się ruszyć, lepiej poznał własną dzielnicę, odkrył nowe, wspaniałe miejsca „o rzut kamieniem od swojego domu". Młody człowiek jest tak zachwycony pomysłem spędzania życia w jednym miejscu, że naśladując Dunkę Auken, mógłby napisać własną wizję wspaniałego świata: jest 2030 r. Nigdzie nie byłem, niczego nie widziałem, niczego się nie nauczyłem, nie poznałem innych światów, kultur, ale jestem szczęśliwy. Jedraszyk mógłby mieć 15- minutowy horyzont świata jak średniowieczni angielscy chłopi, którzy w wiosce spędzili ekologicznie całe swoje życie. Gdy w 1147 r. z drugą ludową wyprawą krzyżową chłopscy pielgrzymi dotarli do Gloucester, zobaczyli mury, wieże i ulice, to pomyśleli, że to Jerozolima, i rzucili się na mieszkańców, bo chcieli ją wyzwolić z rąk muzułmanów.

STREFY SZCZĘŚCIA MŁODYCH I ZDROWYCH

Od 2014 r. w Paryżu powstają „wyspy" nowego miasta. Sztucznie wykrojone strefy tylko dla pieszych, rowerzystów czy wrotkarzy. Samochody nie mają tam wstępu. Podobne wyspy są tworzone m.in. w Barcelonie, Londynie,

eprasa.pl a678eb2f54

Mediolanie, Melbourne. 96 miast zrzeszonych w globalnej inicjatywie C40 Cities deklaruje tworzenie podobnych enklaw. Wśród nich oczywiście Warszawa. Za projektami stoi zawsze to samo uzasadnienie – walka z globalnym ociepleniem. Prezentacja tych projektów jest też zawsze taka sama, podobnie jak zdjęcia 15-minutowej zony. Widać na nich ludzi spacerujących, jadących na hulajnodze, rowerze, siedzących z laptopem na ławce. Wszyscy wyglądają na młodych i zdrowych. Są jak z folderów reklamowych firm deweloperskich. I to jest prawdziwy obraz. Ludzi starszych i słabszych, którzy mają pecha mieszkać w czystych, ekologicznych enklawach, nie widać. Zostali uwięzieni w swoich domach. Staruszka nie wsiądzie na rower. 20-minutowy spacer i podróż zatłoczoną komunikacją miejską – a taka ona jest wszędzie tam, gdzie transport prywatny jest eliminowany – to zbyt wielkie wyzwanie. Taksówka po nią już do zony szczęścia nie wjedzie. Siedzi więc w domu. Przyjaciółka czy siostra z drugiego końca miasta też jej nie odwiedzi, bo czeka ją podobne wyzwanie. Dla takich ludzi kwadransowe miasto nie jest już strefą komfortu, bliskości, ale całym światem, gettem.

Oczywiście koncept projektowania miasta, poszczególnych jego kwartałów nie jest sam w sobie zły. Zapchane, bezładne megalopolis to piekło dla mieszkańców. Ale alternatywą dla 20-mln Lagos, São Paulo z jego fawelami, miast potworów Indii nie są zaprojektowane dla wszystkich jednakowe 15-minutowe zony. Zresztą nie tam one powstają. Na pozór koncept wygląda bardzo atrakcyjne. Wszystko – praca, szkoła, sklep, park itd. – jest na wyciągnięcie ręki. Na nic się nie czeka, nie tkwi się w korkach, wszystko jest skrojone na ludzką miarę. Co mogłoby pójść źle z takim miastem? Wszystko, bo tak się właśnie dzieje w przypadku innych wielkich projektów dla całej ludzkości. Tych, które miały przynieść jej zrównoważony rozwój albo ocalić od katastrof.

Jakże wygodne są karty płatnicze i tak oczywiste jest ich używanie. Niech pieniądz elektroniczny wyprze ten tradycyjny – drogi, brudny, trudny w obsłudze. Ale dziś władza może człowieka z dowolnego powodu pozbawić dostępu do jego pieniędzy. Bez wyroków, o tak, z dnia na dzień, dokładnie tak, jak stało się to w Kanadzie w czasie protestów związanych z reżimem pandemii czy w Brazylii po wyborach prezydenckich. Paszporty covidowe, które mają powstrzymać szerzenie chorób, tak łatwo zmieniają się w system wymuszenia posłuszeństwa i kontroli pożądanych zachowań. Chiny prowadzą już takie projekty na własną skalę, a niektóre miasta włoskie, jak Bolonia, programy pilotażowe. Nazywa się to systemem kredytu społecznego nagradzającym ludzi, którzy są grzeczni – sortują śmieci, nie jeżdżą samochodem, szczepią się itd. – robią to, co sobie władza wymyśli, a ona im wtedy przelewa punkty zaufania na ich kartę Smart Citizen Wallet. Zamienić to w kary jak w Chinach to żaden problem. Nie zapłaciłeś mandatu – za to nie pojedziesz już pociągiem. Władcy Unii Europejskiej chcą, by każdy ich poddany miał taki europejski portfel cyfrowy. Taki kluczyk do życia.

> Twórcy 15-minutowych miast nie projektują placów, tylko życie i relacje między ludźmi. To plan ułożenia sąsiedztwa, rodziny i całych społeczeństw według modelu zaprojektowanego przez mędrców i władców świata

Oddzielny pomysł to zliczanie śladu węglowego, który jest przypisany do każdej usługi i produktu. Wyczerpałeś, obywatelu, swój miesięczny przydział CO_2, to nie zamówisz już taksówki, nie kupisz spodni, odcinamy ci dostęp do życia. Takie eksperymenty już są prowadzone w Szwecji i Kanadzie. W świecie cyfrowym to proste – karty przestają działać, konta są zablokowane. Kiedy wszędzie są instalowane kamery, to niby wiemy, że to dla naszego bezpieczeństwa. Ale także dlatego, że można nas nieustająco śledzić. I jak się okazuje – monitoring miejski może stać się podstawowym narzędziem stworzenia nam 15-minutowego miasta, skazania nas na życie w zonie.

Tak właśnie dzieje się w Oksfordzie, w którym wprowadzono limity poruszania się samochodem. 150-tys. miasto podzielono na sześć stref, a na rogatkach każdej z nich zamontowano „filtry ruchu". To kamery zapisujące rejestracje samochodowe. Teraz mieszkańcy Oksfordu mogą występować o zezwolenie na przejechanie ze strefy, w której mieszkają, do innej. Limit to 100 zezwoleń rocznie – średnio dwa razy na tydzień, ale jak chcesz, to możesz swoje wyczerpać w miesiąc. Za każdy nielegalny, nadmiarowy wyjazd z dzielnicy jest 70 funtów kary. Niemieccy władcy Unii mają też już w zanadrzu inne sposoby, byś, człowieku, siedział w domu na tyłku i nigdzie się nie ruszał. Oto Federalna Agencja Sieci (Bundesnetzagentur) od 2024 r. wprowadza urządzenie, które pozwoli ograniczyć dostawcom prądu pobór energii przez konkretne urządzenia w domach odbiorców. Bez zgody i wiedzy klientów. Na razie ma to dotyczyć pomp ciepła i stacji ładowania samochodu. Jeśli więc władcy uznają, że panu Szmidtowi nigdzie się nie spieszy, ma siedzieć w domu, to sprawią, że swoje elektryczne cacko będzie ładować 15 godzin. Jakie to będzie wspaniałe, jak się wszyscy przesiądą na elektryki. Jednym pstryknięciem będzie można je wyłączyć i zaprowadzić 15-minutowe miasto.

Na wszystkie te projekty trzeba spojrzeć z takiej perspektywy, by zobaczyć je razem – kontrolę śladu węglowego, elektroniczny pieniądz, Smart Citizen Wallet z programem kredytu społecznego, europejski portfel cyfrowy, filtry ruchu, 15-minutowe miasto. I wtedy dopiero można ujrzeć cały projekt „wielkiego resetu" – nowego wspaniałego świata, który opisywał Aldous Huxley.

eprasa.pl a678eb2f54

Zniszczenia w Irpieniu

Fot. Andrzej Skwarczyński

Niezwyciężona Rosja?

Nie wiadomo właściwie, jak narodził się mit o niezwyciężonej, niedającej się pokonać Rosji. Nie powstał on wprost z jakiegoś pasma zwycięskich wojen prowadzonych przez niepokonane armie rosyjskie. Żeby zrozumieć Rosję, warto zastanowić się nad pochodzeniem tego mitu

MAREK KLECEL

„Rzut oka wstecz na ostatnie stulecie – zauważał nieco uszczypliwie Joseph Conrad w szkicu „Autokracja i wojna" z 1905 r., a więc z czasów wojny rosyjsko-japońskiej – ujawnia niezmienną, można powiedzieć, konsekwentną bezsilność Rosji. Pod względem militarnym nie odniosła na własną rękę żadnych poważniejszych sukcesów. Potrafiła co prawda odeprzeć jedną pochopnie wszczętą inwazję, ale tylko dzięki zastosowaniu krańcowo desperackich metod". Conrad miał na myśli najazd Napoleona z 1812 r., wniosek pisarza był jednak następujący: „Z punktu widzenia historycznego wpływ Rosji w Europie wydaje się najbardziej bezpodstawną rzeczą na świecie".

Już wojna krymska w połowie XIX w., w której Rosja rościła sobie pretensje do panowania nad całym Morzem Czarnym, sięgając na Bałkany, podzielone na wpływy prawosławne i islamskie, a nawet zamierzając zdobyć Konstantynopol, była całkowitą klęską. Wprawdzie udało się jej usunąć Turków i zdobyć wpływy na Bałkanach w następnej wojnie w latach 70. XIX w., ale Konstantynopola nie podbito, co miało być potwierdzeniem na sposób imperialny bizantyjskiego pochodzenia Rosji jako Trzeciego Rzymu, spadkobiercy całego chrześcijaństwa, i co należało do wcześniejszej mitologii wiecznej, świętej Rusi.

Następna wojna, na najdalszym Wschodzie, przejaw ambicji już

eprasa.pl a678eb2f54

światowych, o której wspominał Conrad, była chyba największą klęską Rosji, straciła w niej bowiem niemal całą swoją flotę i ściągnęła na siebie pierwszą rewolucję 1905 r. Wojna polsko-bolszewicka po rewolucji komunistycznej w 1920 r. była nie tylko niespodziewaną klęską militarną, ale też polityczną i ideologiczną, bo powstrzymała rewolucję w Europie i powstanie w niej sowieckiego systemu.

II WOJNA ŚWIATOWA

Największym i jedynym znaczącym zwycięstwem w historii rosyjskich kampanii było zwycięstwo w II wojnie światowej, bo komunistyczny Związek Sowiecki uzyskał w jej wyniku wschodnią połowę Europy, a wkrótce zrujnował kolejne kraje, wprowadzając tam swój system i rozciągając swoje wpływy. Lecz nie była to wojna otwarta i samodzielna. Stalin na początku krył się za plecami Hitlera, którego wciągał do wojny jako obiecujący sojusznik – bez niego wojna by nie wybuchła – a po napaści Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 r. (od czego liczy się tam wybuch II wojny światowej) nie wygrałby bez pomocy zachodnich aliantów, których w rezultacie ograł i wykorzystał do zdobycia po wojnie Europy Wschodniej, stopniowo sowietyzowanej. To zatem ta ostatnia wojna i jej nieobliczalne skutki, z którymi Zachód się pogodził na korzyść ZSRS, oraz zwycięska propaganda sowiecka, politycznie i ideowo podstępna i kłamliwa, stały się główną podstawą mitu o potędze Rosji zarówno militarnej, politycznej, jak ideologicznej. W początkach tej legendy było więc kłamstwo założycielskie, ale miała w niej swój udział także bierność i indyferentyzm Zachodu – tam sowiecka Rosja zdobywała szybko wpływ na partie komunistyczne, ruchy młodzieżowe, później nawet grupy terrorystyczne, nie licząc bardzo skutecznej sieci wpływów agenturalnych.

ZASADY PANOWANIA

Jeśli zatem szukać źródeł rosyjskiego mitu, to raczej nie w samej sile militarnej Rosji czy Związku Sowieckiego, która – owszem – wystarczała na interwencje w krajach zależnych, w Berlinie w 1953 r., w Budapeszcie w 1956 r., w Pradze w 1968 r. (w Polsce w 1981 r. nie musiała, załatwiono to własnymi rękami), będąc widocznym sygnałem panowania, ale przede wszystkim elementem propagandowym i zastraszającym, pokazującym gotowość do użycia większego terroru. Niepowodzenia takie jak w Afganistanie można było za jej pomocą systemowo wyciszać i cenzurować.

Powojenne zwycięstwo umniejszał zapewne kardynalny błąd rosyjski, czy już raczej sowiecki, który polegał na tym, że bolszewicka Rosja nie chciała już być dotychczasową, imperialną i skuteczną globalnie Rosją carską, lecz dokonała karkołomnego, rewolucyjnego zwrotu, opierając całe życie polityczne i społeczne wielkiego kraju na wymyślonej, teoretycznej ideologii, absurdalnej gospodarce, na pracy mniej lub bardziej przymusowej, która zrujnowała cały kraj, a z nim wszystkie państwa zdobyte po wojnie. To wtedy rozwinięto metodyczny terror i powszechną inwigilację jako zasady panowania, przesłonięte tylko propagandową iluzją koniecznych ofiar do budowy lepszej przyszłości. Państwo toczyło nieustanną walkę z własnym społeczeństwem o władzę nad ludźmi i ich duszami za pomocą kłamliwej dezinformacji o świecie. Celem było stworzenie ludzi nowych, całkowicie sowieckich. Operacja ta nie została właściwie nigdy przerwana mimo (fasadowego) upadku komunizmu i trwa w najlepsze, co widać w postawie, zachowaniach i reakcjach rosyjskiego społeczeństwa podczas obecnej wojny.

> Przebieg wojny na Ukrainie obala całkowicie mit militarnej potęgi rosyjskiej, bo obróciła się ona w rezultacie przeciw ludności cywilnej i całym życiowym zasobom kraju, a jej bezwzględne okrucieństwo nie pozwala nazwać jej inaczej jak zamierzonym ludobójstwem

ROSYJSKIE BIESY

Dotychczasowa polityka rosyjska, oparta głównie na sile propagandy, nie mogła tworzyć żadnej realnej powagi państwa, opierając się na destrukcyjnej gospodarce, utrzymując się z pracy niewolniczej, dzięki technologiom pochodzącym z agenturalnej kradzieży i społeczeństwie utrzymywanym w wiecznym stanie wyjątkowym, a do tego poddanym totalnej kontroli na całym obszarze tego ogromnego kraju, zamieszkiwanego wreszcie przez wielką liczbę ludzi różnych narodowości i ras. Jedność tego państwa mogła zapewnić tylko wszechogarniająca wizja Rosji wyobrażonej, cudownie wyidealizowanej, a w istocie zmistyfikowanej, samooszukującej się, obłędnej i urojonej.

Nie zwycięstwa zatem i militarna siła stanowiły o micie niepokonanej Rosji, nie rzekome przewagi ideologiczne i ustrojowe wprowadzone dla dobra ludzkości, lecz owa polityka propagandowa, długotrwała i skuteczna, oparta na budzeniu obaw, lęku, strachu przed molochem, potęgą takiej czy innej fikcyjnej Rosji. Polityka bazująca na podstępie, prowokacji, szantażu, na wszechobecnym kłamstwie jako kamuflażu rzeczywistości, utrzymująca nieustanny terror, wybiórczy lub rozszerzony, by podtrzymywać ów stan lęku. Polityka ta, a w istocie nadal wojna, tylko bardziej psychologiczna, była podbudową całej iluzji potężnej i niepokonanej Rosji i do pewnego czasu wystarczała.

Sowiecki system komunistyczny w Rosji działał tak od samego początku, od wojny domowej, w której zniszczono Rosję carską, i później, w okresie nacjonalizacji i tworzenia kołchozów, gdy przetrzebiono i przeselekcjonowano całą ludność, tworząc poligon doświadczalny totalnego ustroju, strukturę instytucji kontrolnych i karnych, z siecią

eprasa.pl a678eb2f54

łagrów jako systemem zarówno kar, jak i pracy mającej utrzymywać system. Ubocznym kosztem był wprawdzie Wielki Głód na Ukrainie, będący karą za opór przeciw kołchozom, ale tę próbę system przetrwał. Mit przy pewnych korektach i odpowiednim kamuflażu rósł w siłę do osiągnięcia swojego apogeum podczas wielkiej czystki lat 30., gdy w Rosji pod władzą jednego człowieka wielki strach padł już na wszystkich. Następnie ważna dla nas „operacja polska" NKWD, w której oficjalnie dokonywano eksterminacji polskiej ludności pozostałej w ZSRS – akt ludobójczy państwa sowieckiego w czasach pokoju.

W latach 30. pełnię dyktatorskiej władzy, jak nowy car, zdobywa Stalin po likwidacji w wielkiej czystce wszystkich rzeczywistych i urojonych konkurentów. Jest to dla Rosji akt pewnej autodestrukcji i poniekąd kontrrewolucja, bo likwidacji ulegają nie tylko wyższe kadry partii komunistycznej, ale także najlepsi dowódcy wojskowi, służby policyjne i poprzedni egzekutorzy systemu.

SKRZYWDZENI I PONIŻENI

Rzeczywistość Związku Sowieckiego do wybuchu II wojny światowej jest nie tylko permanentną rewolucją, ale i nieustanną wojną domową towarzyszącą wykuwaniu się władzy coraz bardziej totalnej, już nie tylko komunistycznej, sprawowanej zbiorowo, jak za Lenina, ale i najbardziej jednolitej, choć nie dynastycznej, jak za Rosji carskiej. Związek Sowiecki był chyba jedynym z nielicznych państw (prócz Chin i Korei), w którym zwalczano z taką samą zaciekłością wrogów wewnętrznych, możliwych, wykreowanych czy urojonych, jak wrogów zewnętrznych, bardziej realnych nieprzyjaciół ZSRS. Po wybuchu II wojny światowej, a także po jej zakończeniu, w czasach pokoju, wykończono miliony ludzi wszelkich nacji i stanów w więzieniach, łagrach, nad dołami śmierci rozsianymi po całym kraju. Strach, terror i wszechobecna kłamliwa propaganda, która prowokowała i indoktrynowała, rozkładała od środka sowieckie społeczeństwo.

Obecna wojna (operacja specjalna) na Ukrainie ma również na celu ożywienie mitu Rosji wiecznie oblężonej przez wrogów, martyrologii ludu rosyjskiego i ostatecznej misji wyzwolenia (denazyfikacji) i obrony chrześcijaństwa w prawosławnym Trzecim Rzymie, którym Rosja ma się ostatecznie stać, bo czwartego już nie będzie, a wraz z jej upadkiem musi zginąć cały świat Zachodu i Wschodu. Operacja ukraińska jest prowidencjalna, losowa i konieczna, bo oderwanie Ukrainy pozbawia Rosję założycielskich początków z czasów Rusi Kijowskiej, więc i chrześcijańskiej tradycji przyjętej z Bizancjum, a zatem i podstaw do panowania nad wschodem Europy, Bałkanami, Atenami, w końcu Konstantynopolem. Oderwanie Ukrainy oznaczałoby niejako pozostanie Rosji w europejskiej próżni, w – by tak rzec – tatarsko-mongolskim chanacie kazańskim, w którym Moskwa kształtowała się przez dłuższy czas.

Przebieg obecnej wojny obala całkowicie mit militarnej potęgi rosyjskiej, bo obróciła się ona w rezultacie przeciw ludności cywilnej i całym życiowym zasobom kraju, a jej bezwzględne okrucieństwo nie pozwala nazwać jej inaczej jak zamierzonym ludobójstwem. Swojej militarnej przewagi, która w działaniach wojennych okazała się mocno przeszacowana, Rosja używa do całkowitego wyniszczenia sąsiedniego kraju, eksterminacji lub rozproszenia ludności przez wywózki, a gwałtami, grabieżami i torturami chce wzbudzić powszechny strach i złamać ducha walki i oporu. Niepowstrzymywane już ludobójstwo nie jest wypadkową wojennego konfliktu, lecz metodą unicestwienia kraju za to, że nie chce się podporządkować i uznać rosyjskiej władzy. Co więcej, to ludobójstwo staje się narzędziem nowej polityki rosyjskiej, to groźba wobec innych krajów, które Rosji się przeciwstawiają.

ZBRODNIA BEZ KARY

Prawda o Rosji, nieosłonięta już żadną mitologią, propagandą, fałszem czy kamuflażem, dla postronnego obserwatora ujawniła się w pełni. Nie da się jej niczym wytłumaczyć ani usprawiedliwić. Z Rosji znów wieje groza i nawet jeśli tego jeszcze nie widać w samej Rosji, świadczy to tylko o jej mentalności, podatności na propagandę i zakłamanie, potęgę fałszu i fikcji politycznej, która nie opuszcza jej umysłów nawet pod ciężarem faktów i przeżyć wojennych także ich własnych żołnierzy. Rosja bowiem inaczej traktuje wszystkich, także swoich obywateli, nie nabyli oni jeszcze człowieczeństwa, są tylko narzędziami terrorystycznego państwa. Swoich żołnierzy może traktować równie nieludzko jak obcych.

Mit Rosji trwa już tylko w samej Rosji, a to, że rosyjskie społeczeństwo nadal się go trzyma pod wpływem propagandy i strachu, nie weryfikując rodzimych przekazów o przebiegu wojny, wynika z obawy przed pustką wobec ostatecznej prawdy o nikczemnej, przerażającej ojczyźnie jako kraju, z którym się utożsamia. Rosji jako jedynej religii, która pozostała jeszcze Rosjanom. To ten właśnie mityczny Czwarty Rzym, którego nie będzie.

Ten aktualny jeszcze gdzieniegdzie mit wszechpotężnej Rosji nie był całkowicie tworem jej kreacyjnego geniuszu, powstawał nie bez udziału Zachodu. Obecna wojna ujawniła także stan i rozmiary wzajemnego uzależnienia Rosji i UE, w szczególności Niemiec, z tym że to Rosja przejawiała głównie inicjatywę, najpierw przez wpływy ideologiczne (eurokomunizm od lat 70.), a potem ekonomiczne i energetyczne. Europa znalazła się w pętli zależności (także korupcyjnych), z których nie może się wyrwać, co w rezultacie nie pozwala skutecznie opierać się Moskwie w tej wojnie. Zwodnicza wiara Zachodu w Rosję, rzekomo cywilizującą się pod wpływem bogactwa na sposób zachodni, skończyła się zbrodniczą wojną.

Wszystkie te zależności i powiązania dopiero wychodzą na jaw. Nie znamy ich jeszcze w pełni. Być może były już jakieś ciche, niepisane umowy, które w dalszej perspektywie miały urządzać na nowo świat, a przynajmniej Europę. Trudno ich nie brać pod uwagę. Właśnie mija stulecie od pierwszego układu niemiecko-sowieckiego w Rapallo, niezapomniany w skutkach był drugi, tajny przecież pakt z sierpnia 1939 r., nieodparcie narzuca się więc podejrzenie o możliwym obecnie porozumieniu, po którym – jak w pamiętnym sierpniu 1944 r. – dwie strony znów mogłyby się spotkać nad Wisłą już nie jako wrogowie, lecz przyjaciele.

eprasa.pl a678eb2f54

To pęknięcie zostanie mi chyba do końca

Przez niemal cały grudzień była obchodzona w Łodzi 80. rocznica utworzenia przez Niemców obozu dla polskich dzieci na Przemysłowej. Z *Zuzanną Polok*, która trafiła tam w 1943 r., mając dziewięć lat, rozmawiała w dniu jej 90. urodzin Jolanta Sowińska-Gogacz

Podobno jest tak, że moment rozłąki z matką pamięta każde dziecko.

Zuzanna Polok: Oj, tak. Pani wie, ja pamiętam dokładnie, jak mama była wtedy ubrana. Miała taką wiśniową sukienkę, jasnobrązowy sweterek i drewniaki, takie ładne, paskowane, w przegibie ruchome. Tatę wzięli w nocy, a mamę w biały dzień. Gestapo po nią przyszło, a my staliśmy w progu i nie wiedzieliśmy, że ona już nigdy nie wróci.

Czy zostało coś jeszcze w pani w pamięci z tamtego dnia?

Ciotka przybiegła z Istebnej, ale pilnowali nas Niemcy i nie chcieli wydać. Potem przyszedł jakiś ważniejszy żołnierz i pozwolił zabrać dzieci. Ale wkrótce po nas przyszli i zabrali do obozu w Łodzi. Ja byłam w rodzeństwie najstarsza, miałam dziewięć lat.

Czy wszyscy trafiliście do Łodzi?

Janek był ze mną w obozie, a najmłodszego Andrzejka przechowała rodzina. Jak mnie w tym łagrze obcięli na glacę, a potem bardzo schudłam, to Janek nie mógł mnie poznać. Po wojnie o obozie nie chciał nic mówić, nie mógł. Ciotka przysyłała nam czasem paczki, ale zanim chleb do nas dotarł, był już spleśniały, jednak i tak go jedliśmy. No i pamiętam soloną słoninę od cioci, jedyne mięso, które widziałam w obozie.

Pani ojciec trafił do Auschwitz na długo przed mamą. Czy coś zapowiadało, że i po nią Niemcy wrócą?

Pani Zuzanna w dniu swoich 90. urodzin, obok płaskorzeźba w drewnie przedstawiająca jej rodzinny dom

Mama to chyba wiedziała, jakoś przeczuwała. Myśmy mieli takiego szarego kotka. Któregoś razu mama posmutniała, mnie i moich dwóch braci tak mocno utuliła i powiedziała, że ten nasz kotek szykuje się do drogi, więc i ona będzie musiała odejść. Kotek rzeczywiście nagle bez powodu odszedł, a i mamę wkrótce aresztowali. Rodzice zginęli w Oświęcimiu.

W dokumencie przekazania pani do Polen-Jugendverwahrlager Litzmannstadt niemiecki funkcjonariusz napisał: „Rodzice wychowują dzieci w sposób wrogi państwu. Matka została wysiedlona z powodu jej antypaństwowej postawy". Jak to tłumaczyć?

Niemcom nie podobało się ich wyznanie i przyzwoitość. Nas dzieci nikt nie wychowywał wrogo do nikogo. Rodzice nasi byli ciepli i wspaniali. Kochali się nawzajem, kochali nas, uczciwie pracowali, chcieli po prostu spokojnie żyć. Byli tą wojną przerażeni jak wszyscy dobrzy ludzie. Najpierw tata, potem mama – nagle świat się skończył. To było takie rozerwanie, nie każdy by to wytrzymał.

Obóz w Łodzi nie pozwalał dzieciom próżnować – ośmiolatki musiały już pracować. Do jakich warsztatów panią przydzielono?

Fot. J. Sowińska-Gogacz

eprasa.pl a678eb2f54

Dali mnie do iglarni, ale się tam nie nadawałam, byłam za mała, miałam za małe ręce, niedokładne jeszcze. Potem plotłam sznurki z celofanu, robiłam koszyczki z uszami, takie kolorowe. No i jarzyny plewiłam, bo Niemcy tam warzywniak mieli.

Jakie warunki panowały w obozie?

Z wachmanek pamiętam panią Reichelt, panią Linke i panią Pol. Ta pierwsza mnie kiedyś tak uderzyła, że straciłam przytomność. Na apelu spojrzałam w lewo zamiast w prawo, a rozkaz był „Augen rechts!". Ocknęłam się w krankensztubie, w której zostałam na dwa tygodnie. Miałam w obozie świerzb i jaglicę – te dwie choroby pamiętam. No i jeszcze zapalenie pęcherza. Wszędzie były wszy i inne robactwo. Na piętrowych pryczach spałyśmy po dwie, żeby było cieplej, bo mieć dwa koce na plecach to zawsze lepiej niż jeden. Jak szedł lagerführer, to trzeba było przed nim na baczność stawać i się kłaniać. (Nawet w dorosłym życiu stawałam tak w swojej pierwszej pracy przed dyrektorem. Był mi bardzo życzliwy, gdy się dowiedział, skąd wzięło się to moje dziwactwo, że byłam w obozie jako dziecko). Takiej strasznej przemocy tam nie widziałam, nie będę zmyślać. Ale może dlatego jej nie widziałam, bo zawsze szłam przed siebie, nie rozglądałam się naokoło, żeby czegoś złego nie zobaczyć, żeby bardziej nie bolało. Zimno było wielkie – jak wracałyśmy z pracy przez Jungelager [część obozu przeznaczona dla chłopców, w którym mieściła się większość warsztatów – przyp. red.], w tych cienkich mundurkach i trepach, to biegiem, żeby nie zamarznąć. Pamiętam czerwone, emaliowane miski. W korytarzu, bo miałam swoje miejsce w murowanym domu. Mydła nie było, a wodę nosiło się w stągwiach. Jedzenia dawali aby na przeżycie. Rano pajdka chleba z kawą, trochę chlipki z obierkami na obiad, na kolację znowu pajdka. Z wymęczenia i wygłodzenia to taki meszek mi się zrobił na buzi, a nogi miałam jak szkielet. A jednak głodu nie pamiętam. Taki był człowiek tą krzywdą syty.

Zuzanna Polok z rodzicami, Marią i Andrzejem – Wisła, lata 30.

Zuzanna Polok, pierwsza z prawej, z braćmi i kuzynostwem – Istebna, początek lat 40.

W styczniu 1945 r. Niemcy uciekli z Łodzi i obóz przestał funkcjonować. Co się z wami wtedy stało?

Do 1946 r. byłam w Łodzi, w sierocińcu sióstr zakonnych. To był najwspanialszy czas w moim życiu, bo niczego mi nie brakowało i wreszcie mogłam chodzić do szkoły, a kochałam się uczyć.

Decyzją władz III Rzeszy 1 grudnia 1942 r. na sześciu hektarach wyłączonych z łódzkiego getta powstał obóz koncentracyjny dla polskich dzieci, Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt, z uwagi na lokalizację bramy wjazdowej i adres komendantury zwany obozem na Przemysłowej. Pierwszy transport małoletnich Polaków dostarczono 11 grudnia. Więziono tam dzieci w wieku od 2 do 16 lat, dziewczynki i chłopców, głównie ze Śląska, Wielkopolski, Mazowsza, Małopolski i Pomorza, a także z samej Łodzi i okolic. Dzieci nie znały terminu zwolnienia, musiały wykonywać pracę ponad swoje siły, otrzymywały głodowe racje żywnościowe, nie były leczone, bito je i poniżano. Nosiły szare, drelichowe uniformy i wiązane trepy. Większość mieszkała w barakach. Więziono w nim ok. 1 tys. dzieci. Obóz funkcjonował przez ponad dwa lata. Historia II wojny światowej nie zna drugiego takiego miejsca. Instytucją, która obecnie zajmuje się badaniem jego historii, jest powołane w Łodzi w 2021 r. Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu.

Potem się mną zainteresowali ludzie z Wisły, bo koledzy i kuzyni już dawno wrócili, a ja nie. Znaleźli mnie przez Czerwony Krzyż i przywieźli do Głębiec. Po naszym rodzinnym domu zostały tylko kamienie spod pieca. Stanęłam i zapłakałam. Za pierwsze własne pieniądze zamówiłam ten drewniany obraz. To jest nasz dom, wyrzeźbiony z mojej pamięci. Tu było wejście, tam obok warzywniak, a tu mieszkała nasza jałówka. Zanim Niemcy przyszli, to i dom był, i mama była. Po wojnie miałam 13 lat, dwóch braci i zgliszcza.

Czy była pani po wojnie na terenie obozu?

Raz byłam w Łodzi pod pomnikiem Pękniętego Serca [płacz]. Raz, i wystarczy. To pęknięcie zostanie mi chyba do końca.

Czego poza zdrowiem i pomyślnością powinnam dziś pani życzyć?

Co bym była spokojna, mogła jeszcze normalnie powspominać to życie. Zawsze tylko złe chwile i złe rzeczy do głowy przychodzą. Dobrze, że mam tego miłego kotka. On tak przychodzi ku mnie, jak płaczę, i patrzy, i nie wie, jak mi pomóc. Bo ja jeszcze z tej wojny nie wyszłam. Ciągle w myślach wołam: „Mamo, przyjdź!". I wie pani, czasami tak sobie rozmyślam, jak bym się zachowała, gdybym teraz ujrzała mamę przed sobą. Chyba ze szczęścia bym oszalała!

Wisła, 4 grudnia 2022 r.

Fot. zdjęcie z archiwum rodziny (2x)

eprasa.pl a678eb2f54

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Kosy na sztorc
– jak żyli i walczyli powstańcy styczniowi z 1863 r.?

Polskie wigilie
– w cieniu tragedii: grudzień 1970 i stan wojenny 1981 r.

Bigbit w PRL-u
– jakie były początki polskiej muzyki rockowej?

Zamów e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII
50% taniej!

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl a678eb2f54

Pianiści z blokowiska

W połączonej muzyką klasyczną i rapem historii z małomiasteczkowego blokowiska, w której przybyszów nie wita się tytułowym chlebem i solą, pianiści Tymoteusz (z prawej) i Jacek Biesowie współtworzą bezkompromisowe, nowatorskie i wnikliwie kino

Fot. Fot. La Biennale di Venezia/Foto ASAC, ph A.K

Autopromocja

eprasa.pl a678eb2f54

Z muzykami, braćmi Tymoteuszem i Jackiem Biesami rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Skąd jesteście?

Jacek Bies: Z Mikołowa koło Katowic. Stamtąd pochodzimy.

Czyli Strzelce Opolskie pokazane w filmie „Chleb i sól" Damiana Kocura nie są waszą rodzinną przestrzenią?

Tymoteusz Bies: Nie, ale podobieństw jest wiele. Mikołów to też małe miasteczko, niespełna 40-tys,, z podobnym klimatem i ograniczeniami. Jest w nim dużo blokowisk.

Ze Strzelec Opolskich i Mikołowa trafiliście – razem z historią poniekąd zainspirowaną waszym życiem i przez was opowiedzianą – m.in. do Wenecji. Potem pojawiły się kolejne festiwalowe zaproszenia, przyszły nagrody. Byliście zaskoczeni?

T.B.: Oczywiście. Film został zrealizowany przez kameralną ekipę, w eksperymentalnej metodzie – mocno skróconego dystansu i zarazem wielu godzin nagrań bohaterów, w których wcielali się naturszczycy...

J.B.: ...i z bardzo niskim budżetem.

T.B.: Wierzyliśmy, że robimy coś ważnego. Mieliśmy poczucie, że ten projekt ma artystyczną wartość, ale festiwal w Wenecji był daleko poza naszymi wyobrażeniami.

J.B.: Taki sukces nas zaskoczył. Oczywiście bardzo pozytywnie.

Jesteście muzykami, pianistami, Tymoteusz ma na koncie zagraniczne recitalowe trasy oraz laury konkursów i festiwali muzycznych, a nagle stajecie się bohaterami filmu, wcześniej inspirując jego powstanie. Jak do tego doszło?

T.B.: Reżyser i autor scenariusza Damian Kocur chodził do liceum z naszym starszym bratem.

Ilu jest braci Biesów?

J.B.: Siedmiu. Ja jestem najmłodszy.

T.B.: A ja drugi, od dołu licząc. Dzielą nas trzy lata. Tyle samo jest ode mnie starszy Filip, też wykształcony pianista. Przed nim, z dłuższą przerwą, są bliźniacy: Mateusz i Szymon. Nie zdobyli formalnego wykształcenia muzycznego, ale mają muzyczną pasję i własny zespół. Mateusz jest też radnym w Mikołowie, pracuje w kulturze. Kolejny brat, Marcin, jest poetą. Stawkę rozpoczyna najstarszy – Łukasz. Między nim a Jackiem jest 18 lat różnicy.

To który z braci przyjaźnił się z Damianem Kocurem?

T.B.: Marcin, drugi od góry. Kiedy Damian zaczął przychodzić do nas do domu, mogłem mieć z siedem lat.

J.B.: Ja o połowę mniej, ale doskonale go pamiętam.

Fot. Tomasz Woźniczka Studio Munka SFP/Kino Świat

eprasa.pl ac78eb2f54

T.B.: Mieliśmy sporadyczną, ale ugruntowaną koleżeńsko-przyjacielską relację. Damian śledził też rozwój naszych muzycznych karier i na pewnym etapie spięło mu się to w koncepcję historii, do której przedstawienia postanowił i nas wciągnąć.

Jak widzicie siebie w filmie „Chleb i sól", w którym wakacyjny przyjazd głównego bohatera do rodzinnego miasta i spotkania z dawnymi kumplami prowadzą do tak dramatycznego finału? Kim w tym projekcie jesteście?

T.B., J.B.: Pianistami.

J.B.: Ja – tym jeszcze nie do końca pewnym swojej drogi, zagubionym. Tymek to artysta u progu międzynarodowej kariery.

Oryginalność filmu „Chleb i sól" bierze się także ze współistnienia w nim klasycznych utworów i rapu (partnerują wam m.in. znani z hiphopowej sceny Bartosz „Intruz" Olewiński i Wojciech „TPS" Walkiewicz). Muzyka jest tu pełnoprawną bohaterką.

Damian Kocur

Fot. Tomasz Woźniczka Studio Munka SFP/Kino Świat, La Biennale di Venezia/Foto ASAC, ph A.K

Daje też granym przez was braciom szerszą perspektywę i szansę na wyrwanie się z blokowiska.

T.B.: Trzeba jednak dodać, że choć zbudowana jako rodzaj metanarracji, wchodząca w relacje z bohaterami i bardzo dla nich ważna, to nawet ta na najwyższym poziomie, wysublimowana, klasyczna muzyka, niczego nie gwarantuje, nie uwzniośla. Nie daje pewności bezpieczeństwa, nie chroni przed zainfekowaniem przemocą, przed tragedią.

J.B.: Jest wobec nich bezradna. To tylko chwilowy azyl, odskocznia, która może pozwala na złapanie szerszego kontekstu, ale to bohaterów nie ratuje.

T.B.: I też praca nad wykonaniem muzyki do tego filmu była dość skomplikowana, bo mimo że głównymi bohaterami są już niemal zawodowi pianiści, na ekranie nie ma ani jednej sytuacji stricte koncertowej. Jedyna muzyczna scena – w domu kultury (gdy główny bohater wykonuje utwór na rozstrojonym fortepianie) – wybrzmiewa mocno, ale nie koncertowo.

Rozmawiamy na festiwalu w Gdyni, gdzie film „Chleb i sól" został gorąco przyjęty przez widzów i krytyków. Doceniających także wyjątkowy wydźwięk waszej obecności na ekranie, ale – jak już wspomnieliśmy – nie jesteście aktorami. Gdzie jest wasze miejsce – prywatne, zawodowe, artystyczne?

J.B.: Studiuję na czwartym roku Akademii Muzycznej w Katowicach. Dopiero zaczynam swoją artystyczną drogę.

T.B.: A ja jestem asystentem w Katedrze Fortepianu katowickiej AM, oprócz tego prowadzę aktywną działalność koncertową w kraju i za granicą.

Muszę na koniec nawiązać do waszego nazwiska. Grani przez was bohaterowie nie są może aniołami, ale z pewnością nie niosą szatańskiej mocy, raczej przestrogę. Macie poczucie Biesowej misji?

T.B.: Liczymy na to, że „Chleb i sól" wywoła u widzów głębszą refleksję, która pozostanie z nimi znacznie dłużej niż tylko podczas seansu.

Łowca nagród

Pełnometrażowy fabularny debiut Damiana Kocura – film „Chleb i sól", który wchodzi właśnie do polskich kin – został uhonorowany m.in. na 79. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji (Nagroda Specjalna Jury). Za reżyserię doceniono go na 59. Golden Orange Film Festival w Antalyi, otrzymał też Nagrodę Jury Młodzieżowego na 60. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Gijón oraz statuetkę Brązowej Piramidy dla najlepszego debiutu w Konkursie Głównym na 44. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Kairze. Produkcja została również podwójnie wyróżniona na Festiwalu Kina Wschodnioeuropejskiego w Cottbus Nagrodą Dialog „za porozumienie między kulturami" oraz Nagrodą Specjalną za reżyserię.

eprasa.pl a678eb2f54

Dlaczego „Empuzjon” nie jest arcydziełem?

Choć interpretatorzy książki Olgi Tokarczuk zestawiają ją nie bez pewnych racji z „Czarodziejską górą” Tomasza Manna, która jest bez najmniejszych wątpliwości arcydziełem, warto sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego powieść naszej pisarki nie osiąga tych wyżyn

JERZY BIERNACKI

Zanim spróbuję odpowiedzieć na to pytanie – kluczowe w moim mniemaniu dla oceny najnowszego dzieła naszej noblistki – kilka słów o związkach między obiema powieściami, których powstanie dzieli niemal dokładnie całe stulecie. Otóż nie przesądzając, czy podczas pisania swojej pierwszej powieści po otrzymaniu Nobla autorka „Ksiąg Jakubowych” chciała czy nie chciała nawiązać do arcydzieła niemieckiego pisarza, w gruncie rzeczy znacznie ważniejsze niż podobieństwa są dzielące je różnice.

Podobieństwa sprowadzają się bowiem – by tak rzec – do pewnych cech formalnych: tu i tu mamy do czynienia z kurortem przeciwgruźliczym, posadowionym dość wysoko w górach, gdzie jest charakterystyczny mikroklimat; tu i tu mamy do czynienia z ludźmi chorymi, żyjącymi w cieniu śmiertelnego zagrożenia; tu i tu rzecz dzieje się w tym samym czasie, czyli na krótko przed wybuchem tzw. wielkiej wojny w 1914 r., która w przyszłości zyska miano I wojny światowej.

Można by tych „podobieństw” wyliczyć więcej i o innym charakterze, gdyby nie fakt, że pisarka ograniczyła znacznie możliwość tworzenia opisu zachowań tej małej, wyodrębnionej społeczności, pozbawiając ją w swojej powieści jej lepszej, a w każdym razie ciekawszej połowy, czyli kobiet. W „Czarodziejskiej górze” towarzystwo jest koedukacyjne i ma to ogromne znaczenie, niesłychanie wzbogaca kolorystykę socjologicznego kalejdoskopu, ukazywanego w książce.

Z kolei Olga Tokarczuk w swojej opowieści ogranicza społeczność kuracjuszy jedynie do kilku mężczyzn, zróżnicowanych wprawdzie charakterami i pochodzeniem, a także dotychczasowymi przeżyciami, zamieszkujących pensjonat dla panów będący własnością niejakiego Herr Opitza.

Rzecz bowiem – trzeba dodać – dzieje się na Dolnym Śląsku, we wsi o nazwie Görbersdorf (obecnie Sokołowsko), usytuowanej niedaleko obecnej granicy z Czechami, na południowy zachód od Wałbrzycha (wówczas Waldenburg), w dość odległym sąsiedztwie Jeleniej Góry (Hirschberg) i Wrocławia (Breslau). Na stoku góry, gdzie leżała wieś Görbersdorf, w drugiej połowie XIX w. odkryto szczególne właściwości tamtejszego mikroklimatu (m.in. zupełną bezwietrzność) i zbudowano zakład przyrodoleczniczy dla chorych na gruźlicę, której nie umiano leczyć inaczej jak klimatycznie, nawet już w wiele lat po odkryciu przez Roberta Kocha prątków gruźlicy.

KOBIETY W OCZACH MĘŻCZYZN, CZYLI OSKARŻENIE

Decyzja pisarki dotycząca wyboru bohaterów powieści w postaci jedynie kilku mężczyzn nie jest przypadkowa i musi mieć swoją przyczynę w założeniach przez nią przyjętych, co w toku dalszej narracji się wyjaśni.

Głównym bohaterem „Empuzjonu” jest, podobnie jak to było w powieści Tomasza Manna, młodzieniec, student ze Lwowa, Polak, katolik, Mieczysław Wojnicz, jak czytamy w umieszczonym na początku powieści (tak jak to się robi w sztuce dramatycznej) spisie osób (dramatu). Hans Castorp u Manna też jeszcze nie ukończył studiów inżynierskich, z tą różnicą w przypadku Wojnicza, że przyjechał, jak pamiętamy, jedynie na trzy tygodnie w odwiedziny do swojego chorego kuzyna Joachima Ziemssena i dopiero gdy skłoniony przez lekarza poddał się badaniu, okazało się, że ma również w płucach „wilgotne miejsce”, dlatego pozostał na dłużej. Charakterystyczne, że Mann, pisząc o nim, zawsze wymienia jego imię i nazwisko, z całą świadomością tego stylistycznego chwytu, jak sądzę mającego tym bardziej podkreślić, że Hans Castorp jest prefiguracją przeciętnego młodego Niemca tego czasu (w przeddzień wojennej zawieruchy), na co wskazuje wiele innych elementów powieści. U Olgi Tokarczuk z niczym takim nie mamy do czynienia. Mieczysław Wojnicz nie tylko nie jest przeciętnym Polakiem, ale nawet nie jest przeciętnym młodym Europejczykiem, ma bowiem, jak się z czasem dowiadujemy, zupełnie inne zadanie do wykonania.

Dodajmy, że w owym spisie osób są, a jakże, również kobiety, nieliczne co prawda, ale w powieści występujące w tle, niewypowiadające się, pozostające we wspomnieniach bohatera, jak Gliceria, opiekunka Wojnicza w dzieciństwie, czy Pani Wielki Kapelusz, zawsze gdzieś przechodząca i budząca zainteresowanie męskiej natury studenta ze Lwowa (ma-

eprasa.pl a678eb2f54

jącego także naturę kobiecą, do czego wkrótce dojdziemy). Kobiety jako zbiór występują również w ostro mizoginicznych wypowiedziach mężczyzn otaczających Wojnicza, który w dyskusjach wyróżnia się biernością niezabierającego prawie głosu słuchacza.

Żeby wyostrzyć różnice, o których wspomniałem, między obiema powieściami, przypomnijmy sobie z grubsza, o co chodziło Mannowi w „Czarodziejskiej górze".

KIM JEST HANS CASTORP?

To make the story short, powiedzmy najpierw, że pisarzowi bardzo zależało na tym, by powiązać niejako w jedno dwa śmiertelne zagrożenia: niewyleczalną gruźlicę i wyczuwalną już w 1913 r. i w pierwszej połowie 1914 r. grozę nadchodzącej wojny. Świadczą o tym od pewnego momentu następujące niemal seryjnie zgony kolejnych pacjentów, włącznie ze śmiercią kuzyna Joachima, któremu w niezwykle krótkim czasie gruźlica „zjadła" krtań, oraz to, że Hans Castorp w pewien zupełnie nieoczekiwany sposób uczestniczy w tym żniwie „kosiary", odwiedzając umierające osoby (dotąd w ogóle mu nieznane), przynosząc im kwiaty i prezenty oraz słowa pociechy duchowej, uczestnicząc potem pilnie w uroczystościach pogrzebowych.

Z kolei groza wojny zostaje ukazana w epilogu książki, w pełnych wybuchów, dymu i śmiertelnego przerażenia scenach z rozpoczętej burzy wojennej, w których widzimy Hansa Castorpa (leczenie w Davos mu pomogło jak rzadko komu i wyzdrowiał), biegnącego wraz z innymi żołnierzami do ataku czy też w ucieczce w obliczu klęski. Sceny te są zbiorowe, symboliczne i nie dowiadujemy się z nich, jaki ostatecznie będzie los Hansa Castorpa. Wiemy przecież, jaki był los milionów Hansów Castorpów po czterech latach wielkiej wojny.

Kolejnym ważnym wątkiem jest wątek intelektualno-pedagogicznej walki o duszę Hansa Castorpa między Lodovico Settembrinim, socjalistą i rewolucjonistą, dążącym do demokracji jako trwałego ustroju europejskiego i światowego z uwzględnieniem emancypacji społeczeństw spod władzy Kościoła, a Leonem Naphtą, jezuitą i konserwatystą, broniącym intelektualnych osiągnięć średniowiecza, nie wyłączając mistyków nadreńskich, zwolennikiem czynnego udziału Kościoła w życiu jako wychowawcy społeczeństw, obrońcy trwałych wartości prawicowych. O ile w Settembrinim grają silnie tradycje włoskiej irredenty, to w Naphcie znajdujemy niezbyt sympatyczne elementy jezuickiego fanatyzmu. Ich dyskusje, niezwykle żywe, sięgające głęboko w historię, błyskotliwe, stanowią szczególną, lecz nie odrębną część książki i nie mamy wątpliwości, że mają znaczenie w myśleniu o przyszłości świata, w całym tym splocie scen, relacji między ludźmi, rozmów, rozważań (genialne rozważania o czasie!) i zachowań.

WOBEC „ROZWAŻAŃ CZŁOWIEKA APOLITYCZNEGO"

Mówi się, że „Czarodziejska góra" jest po prostu artystyczną i intelektualną realizacją tez eseju Manna pt. „Rozważania człowieka apolitycznego", napisanego w 1916 r., w ocenie znawców eseistyki niemieckiego pisarza będącego w istocie esejem *stricte* politycznym. A więc niezawodnie chodzi o rzeczy poważne, dotyczące naszego kontynentu, a w jakiejś mierze całego świata i jego przyszłości. Nieufność pisarza w stosunku do demokracji, mimo że w „Rozważaniach..." zdaje się uznawać zdobycze mieszczaństwa za szczytowe (wśród nich jest także demokracja), okazała się prorocza w odniesieniu do przyszłości Niemiec, które demokratycznie wybrany kanclerz zamienił w kraj totalitarny i znowu niebezpieczny dla świata.

Tymczasem zobaczmy, co się dzieje w „Empuzjonie", w którym oczywiście jest mierzenie temperatury i skrzętne jej notowanie w zeszycie, jest obowiązkowe leżakowanie (tak samo jak w kurorcie dr. Behrensa w Davos), gdzie są oczywiście okresowe kontrole i orzeczenia lekarza co do kontynuacji kuracji czy (niezwykle rzadko) jej zakończenia. Są też – a jakże – wspólne posiłki pięć razy dziennie, a także wspólne spacery skłaniające do prowadzenia rozmów i dyskusji.

Wszelako ich tematyka jest zdumiewająco ograniczona, gdyż w największej mierze dotyczy kobiet, w sensie

Fot. Andrzej Banas/Polska Press

eprasa.pl a678eb2f54

pojedynczym i ogólnym (jako swoiście pojmowanego gatunku). Głos tych dyskusji i jednoznacznie negatywnych ocen jest zastanawiająco jednorodny i różni się tylko nasileniem negatywizmu. Kobiety mają małe mózgi, nie są w stanie zrozumieć i podjąć w działaniu jakichkolwiek szerszych społecznych idei, są oczywiście słabsze od mężczyzn i zapóźnione w rozwoju, definitywnie ogranicza je biologia oraz macierzyństwo i w ogóle do niczego się nie nadają. Zadziwia na razie ta jednostronność – by nie rzec – jednakowość tonu, ale w końcu książki autorka to wyjaśnia, pisząc, że są to wypowiedzi czołowych intelektualistów patriarchalnego świata, począwszy od cezara Aurelego, św. Augustyna, Bernarda z Cluny, Owidiusza, Platona, św. Tomasza z Akwinu aż po Szekspira, Miltona, Freuda, Conrada (?!), Schopenhauera, Strindberga, Swinburne'a, Pounda, Yeatsa i Wedekinda. Nie wymieniłem wszystkich. Aż dziw, że zabrakło Arystotelesa i Oscara Wilde'a. Autorka wepchnęła w usta swoich bohaterów wypowiedzi tych wymienionych i niewymienionych tutaj tuzów intelektu (wśród nich jeszcze Nietzschego i Sartre'a), ukazując, czy raczej chcąc ukazać, kondensację zła patriarchalnych poglądów. Tylko że oskarżenie to dotyczy owych mężczyzn i rujnuje całkowicie starania pisarki – bardzo widoczne i nawet godne podziwu – o dostateczne zróżnicowanie przedstawionych postaci.

KIM OKAZUJE SIĘ MIECZYSŁAW WOJNICZ?

Dodajmy, że gdyby Mieczysław Wojnicz był naprawdę Polakiem i katolikiem, jak wcale nim nie jest, dałby odpowiedni odpór tego rodzaju głupim i mało interesującym wypowiedziom o kobietach, powołując się na szacunek, którym cieszyły się polskie matki, żony, siostry i córki mimo niższego jak wszędzie statusu społecznego. Ale i ów status wkrótce w jakiejś mierze się poprawi, gdy Polki w sześć lat po czasie, w którym dzieje się akcja powieści, jako jedne z pierwszych w Europie otrzymały prawa wyborcze (np. Francuzki otrzymały je dopiero w... 1974 r.).

Kim zatem jest Mieczysław Wojnicz, poza tym, że jest ofiarą swojego patriarchalnego ojca, który za wszelką cenę pragnie z niego zrobić stuprocentowego mężczyznę? Jak się okazuje w miarę rozwoju wypadków, Wojnicz jest... hermafrodytą, który z tej racji, zastawiając się powodami religijnymi, nie pozwala się zbadać w pełni dr. Semperweisowi. I chociaż zdarza się, że jego niewykształcony w pełni członek nabiega krwią (zapewne wtedy też, gdy spotyka przelotnie Panią Wielki Kapelusz, w której to niby jest lekko zakochany), z większą chęcią udaje się po kryjomu na stryszek, gdzie jest pokój pani Opitzowej, która popełniła samobójstwo w dniu jego przyjazdu, i przebiera się w jej ciuchy. Mało tego, w końcu książki – jak się okazuje – nie tylko przebiera się w strój pani Opitzowej, lecz także zaopatruje się w jej paszport oraz tożsamość i uznany przedtem przez lekarza za zdrowego wyjeżdża w świat. Autorka, jeśli chodzi o jego ostateczny los, daje alternatywę: albo jako pani Opitzowa zatrzymał się i żył później w Monachium, albo wrócił do Lwowa, do swojego ojca.

A więc nasz bohater jest po prostu osobą transpłciową, przy czym zastanawia chłód i zupełny brak empatii autorki, która w ogóle zachowuje się wobec przedstawianego przez nią świata i ludzi jak beznamiętny obserwator życia owadów. Dlatego też czytelnik nie jest w stanie zidentyfikować się z postacią, traktując ją jako osobliwość, niebudzącą nawet współczucia. Nie niesie także ta postać żadnego przesłania o charakterze uniwersalnym. Hans Castorp uosabia całą niemiecką, może nawet całą europejską ówczesną młodzież, która stoi nad przepaścią i to jest poruszające. Wojnicz nie uosabia nikogo poza sobą z wiadomym obciążeniem.

NAJWIĘKSZYM WROGIEM PISARKI JEST… ONA SAMA

Tak samo owe dyskusje kilku panów są bez znaczenia, bo z żadnym spośród ich zdań nie można się identyfikować. Nie zapamiętałem żadnych społecznych czy politycznych elementów w tych rozmowach poza jedną wypowiedzią o demokracji, która – jak dowodził mówca, nie pomnę który – jest ustrojem poziomym, zapewniającym wszystkim obywatelom równość praw, lecz finalnie doprowadza ona do tego, że kandydat do władzy lub grupa takich kandydatów, wygrywając wybory, dąży do tego, by stać się władzą absolutną, totalitarną. Cóż chcecie, powie ktoś, przecież Tomasz Mann przewidział to, krytykując demokrację. No tak, ale Mann pisał o tym *ante rem*, w trybie ostrzeżenia, a Olga Tokarczuk popisuje się takim stwierdzeniem *ex post*, z czystej niechęci do demokracji. To czyni wielką, zasadniczą różnicę.

Charakterystyczna jest też nieobecność wojny w „Empuzjonie", autorka mogła równie dobrze umieścić akcję w latach 90. XIX w. lub kiedy indziej. A u Manna wojna, narastające napięcie przed jej wybuchem, jej symboliczne obrazy w końcówce książki – to jeden z najbardziej kluczowych motywów, współkonstytuujący walory artystyczne i społeczno-filozoficzne „Czarodziejskiej góry".

W zamian pani noblistka serwuje nam w zakończeniu książki coś w rodzaju sabatu czarownic, wokół kurortu rozpętuje się straszliwa wichura, w której na strzępy zostaje rozerwany Wilhelm Opitz, właściciel pensjonatu dla panów, o którym w toku narracji mówiono kilkakrotnie, że być może „dopomógł" w rzekomym samobójstwie żony, a wszystko to dzieje się w zgodzie z poprzednimi plotkami i bajdami zapowiadającymi takie wypadki. Bajdy, dzięki tzw. realizmowi magicznemu autorki, uwielbiającej i stosującej w swoich utworach opowieści typu fantasy, stają się pełną grozy prawdą.

Olga Tokarczuk ma wybitny talent narracyjny, potrafi naprawdę świetnie opowiadać, niektórzy podkreślają, że chodzi o tradycyjną, wykształconą w XIX w. narrację. Dała tego dowody w wielu swoich powieściach, także w „Prowadź swój pług przez kości umarłych", w „Księgach Jakubowych" (zwłaszcza imitacje listów Elżbiety Drużbackiej do ks. Benedykta Chmielowskiego i *vice versa*), a także w „Empuzjonie", który jest bardzo dobrze napisany, mimo że narratorkami, jak się dowiedziałem (z internetu), są jakieś empuzy, czyli czarownice, które po zakończeniu rozdziału chowają się w szparach podłogi. Pisarka ulega jednak obsesyjnie swoim ponowoczesnym poglądom, które po zastosowaniu w jej książkach niszczą misterną, koronkową robotę narracyjną, niweczącą jej piękno i znaczenie. W „Empuzjonie" jest to szczególnie bolesne, gdyż została stracona, być może, szansa stworzenia Mannowskiego pastiszu arcydzieła, o dużej wartości literackiej i filozoficznej.

eprasa.pl a678eb2f54

ZAREMBA SŁUCHA RADIA

Witkacy z Schulzem: w obliczu kataklizmu

Nie, nie będę pisał o Mariuszu Cieśliku co dwa tygodnie, obiecuję. Dopiero co wychwalałem jego film w TVP o Stanisławie Barei. To jest sztuka opowiadania o człowieku ciekawym i ważnym dla Polaków tak, żeby własne ego go nie przysłaniało. A teraz z kolei, zaraz potem, znakomite słuchowisko w Teatrze Polskiego Radia. Co ja poradzę, że jest tak ekspansywny w forsowaniu swoich tematów?

„Siedemnasty albo traktat o nieistnieniu poszczególnym" to tekst niezwykły. Cieślik wymyślił sobie w istocie niemające miejsca spotkanie dwóch pisarzy: Stanisława Witkiewicza, czyli Witkacego, i Brunona Schulza. Miałoby do niego dojść 17 września 1939 r., czyli dokładnie w dzień ataku Sowietów na wschodnie tereny Polski. Przypomnę, że zaraz potem doszło do prawdziwego samobójstwa Witkacego, traktowanego potem jako zdarzenie symboliczne (Przemysław Gintrowski śpiewał o tym nawet piosenkę).

Cieślik poszedł drogą speca od takich fikcyjnych konfrontacji, Macieja Wojtyszki. Nie wymyślił jednak wcześniejszej, zażyłej i ważnej relacji Witkacego z Schulzem. To spotkanie dwóch ludzi dziwnych, Polaka i polskiego Żyda, którzy wnieśli tyle istotnych, a zarazem niesamowitych tematów i wątków do polskiej kultury.

Zostało to wrzucone przez Cieślika na upiorne tło: spełnienia katastroficznych wizji Witkacego o triumfie kolektywizmu. Ten moment historyczny parę razy przeżywaliśmy (może wciąż za słabo, ale odwracamy się od historii). W tym przypadku jest to opowiedziane wyjątkowo sugestywnie. Czujemy siłę historii.

Ale dostajemy także urok żonglowania wątkami literackimi. Dwie wizje świata takich umysłów ciężko jest opowiedzieć w 40 minut. Ale Cieślikowi w dużej mierze się to udaje. W ich dialogach pojawiają się różne wątki, także historii dawniejszej. Polska przegląda się w ich ekscentrycznych filozofiach. W przedziwny sposób, ale jest. Odnajdujemy ją.

Ta niesamowita przypowiastka ma chwilami wymiar dramatu (antycznego, a może narodowego?), ale chwilami siłę miniaturki grozy, horroru. Poza dwoma bohaterami jest przecież jeszcze ten trzeci, tajemnicza postać przyjmująca różne twarze. Ale też chwilami jest to zabawne. Czy zabawne mogą być zdarzenia z 17 września? Cóż, komedia i dramat trwają w naszej cywilizacji w nierozerwalnym uścisku od dobrych kilkuset lat.

Zaskoczyło mnie, że Cieślik nie tylko ten tekst napisał, ale go też sam przyrządził w radiowym studiu. Ale gwarancją pełnego sukcesu byli wykonawcy. Sławomir Orzechowski (Witkacy), Jarosław Gajewski (Schulz) i Szymon Kuśmider (Ten Trzeci) to głosy tak niesamowicie charakterystyczne, że każdy z nich buduje wyrazistą postać w sekundę. Nie tylko ich nie pomylimy (w radiu to sprawa kluczowa), ale ich charyzmę zapamiętamy na długo. Dla mnie Witkacym będzie już zawsze Orzechowski, a Schulzem pozostanie Gajewski.

Dodatkowym bohaterem jest muzyka Piotra Salabera. Przeważnie muzyczne wsady są w słuchowiskach wplatane między dialogi. Tu aktorzy znakomicie sobie radzą, mówiąc z muzyką w tle. Chcecie się przekonać, jak świetnie to wszystko jest skomponowane? Słuchowisko jest dostępne na stronie Teatru Polskiego Radia.

Ale na koniec łyżeczka dziegciu. Teatr Polskiego Radia produkuje co roku dziesiątki takich spektakli. Często są to smaczne, a czasem przełomowe kawałki literatury. Także takiej, która nie jest w stanie się przebić na sceny czy do telewizji. Niestety, rzadko są zauważane, nie toczą się wokół nich dyskusje. Królestwo dyrektora Janusza Kukuły dokonało tylu podbojów, a wciąż jest po trosze nieodkryte.

Piotr Zaremba

eprasa.pl a678eb2f54

3 MIŁOŚCI

Święta śmierć

ROBERT TEKIELI

Chłoszczą ocean, strzelają do kosmosu, szczekają na różaniec. Bezsilność. Błogosławione cierpienie i świętość. Ojciec Lech Dorobczyński: „Popatrzcie na kobietę na zdjęciu. Zapamiętajcie ją. To będzie najpiękniejsza święta Kościoła katolickiego! Ktoś nie wierzy? Wbijcie w Google: »Chiara Petrillo«".

Kiedy Enrico zobaczył ją po raz pierwszy – oszalał. – Jesteś pełnoletnia? – spytał. – Tak, w odróżnieniu do ciebie – zaśmiała się. Sześć lat później, 14 lat temu, Chiara i Enrico wzięli ślub. Po kilku miesiącach Chiara zaszła w ciążę. USG wykazało u dziecka bezmózgowie. Małżonkowie odrzucili propozycję aborcji i z radością przyjęli Marię Grazię Letizię („grazia" to po włosku łaska, a „letizia" – radość). Żyła zaledwie pół godziny, została ochrzczona i narodziła się dla nieba. Kilka miesięcy później poczęło się drugie dziecko, jednak Davide Giovanni nie miał nóg i wielu narządów wewnętrznych. Żył 38 minut. Również jego młodzi małżonkowie przyjęli z miłością.

Trzecia ciąża rozwijała się bez problemów. Niestety, w piątym miesiącu u Chiary wykryto nowotwór języka. Małżonkowie postanowili bronić życia małego Francesco. Chiara nie poddała się pełnej terapii onkologicznej, nie zdecydowała się na przyspieszony poród. 12 lat temu urodził się zdrowy chłopczyk, ale rozpoczęta po porodzie terapia nie była już skuteczna, a postać raka, który opanował praktycznie cały organizm kobiety, była wyjątkowo bolesna. Chiara zmarła w opinii świętości rok później. Pochowana została w sukni ślubnej z bukietem lawendy w dłoni. Na pogrzebie celebrowano życie.

W rozmowie z Silvią Lucchetti, zamieszczonej na portalu aleteia.org, Enrico Petrillo tak opisywał swoją żonę: „Przede wszystkim była przepiękna. Zwracała uwagę niezwykłą elegancją. Była jak księżniczka. Pamiętam, gdy kiedyś przedstawiłem ją mamie mojego przyjaciela. »Gdzieś ty znalazł taką księżniczkę?« – zapytała. I nie była w tym odosobniona".

„Poza tym była sympatyczna, towarzyska, wesoła, lubiła ludzi i wszyscy dobrze się z nią czuli. I wcale nie była odważna. Kiedy chodziła do szkoły, nigdy nie zgłaszała się na ochotnika. To nie była przebojowa kobieta, która bierze się za bary ze światem. Nie, ona miała wiarę. Przeciwieństwem strachu nie jest odwaga, lecz wiara. W wierze siłę daje ci Ktoś Inny. Odwaga oznacza, że próbujesz sobie radzić sam. Ona była silna siłą Kogoś Innego. Chiara bała się wielu rzeczy, nieraz to widziałem. Ale śmierci się nie bała. Wiedziała, że po drugiej stronie czeka na nią Pan i była szczęśliwa".

Chiara zapisała przed śmiercią: „Bóg nigdy nie odbiera, a jeśli już odbiera, robi to tylko po to, by dać więcej".

„Szliśmy razem, ale każdy w swojej roli. Chiara przygotowywała się do śmierci i Bóg dawał jej łaskę, żeby była w stanie to zrobić, a mnie dawał łaskę stania pod krzyżem. Płakaliśmy, rozpaczaliśmy, modliliśmy się razem i zawsze znajdowaliśmy ukojenie w Panu. On był naszą siłą! Zawsze czuliśmy się jednością dzięki łasce sakramentu małżeństwa. Zawsze wiedzieliśmy, że śmierć nie ma ostatniego słowa. W centrum naszej wiary jest Jezus, który zmartwychwstaje, więc i my zmartwychwstaniemy".

Z listu Chiary do syna Franciszka: „Miłość cię spali, ale pięknie jest umierać niczym świeca, która gaśnie dopiero, kiedy do końca wypełni swe zadanie".

„Dzisiaj kocham Chiarę inaczej, ponieważ ciałem jej tu nie ma. Wiem, że kiedy będę w niebie – mam nadzieję, że tam trafię – rozpoznamy się. Prawda jest taka, że nigdy nie przestało mi jej brakować. Ale Pan mnie pociesza. Modlę się do Chiary i ciągle o niej myślę. Nasz synek Francesco jest do niej bardzo podobny. Jeśli naprawdę kochasz, starasz się pozwolić odejść, więc cieszę się, że Chiara coraz bardziej należy do innych, a mniej do mnie".

Wstrząsające zdjęcie pięknej kobiety z zaklejonym białym plastrem prawym okiem i ustami już wykrzywionymi chorobą w sposób widoczny, ale nieoszpecający jej. Ona umierała, a on stał pod krzyżem. Teraz jego żona będzie błogosławioną.

Jeśli widzisz kobiety mówiące odrobinę wolniej, reagujące z ćwierćsekundowym opóźnieniem – widzisz ofiarę toczącej Polskę epidemii uzależnienia od leków uspokajająco-nasennych. „Gazeta Wyborcza" krzyczy: „Moją mamę lekarkę zabiły benzodiazepiny. Bijcie na alarm, bo to ogromny problem!". Nowożytność przyznaje się do swojej klęski. Dobro i zło nie są jedynie różnicami w światopoglądzie. Oświecenie się myliło, wybór dobra i zła nie jest sprawą edukacji.

Bezsilność legendarnego perskiego szachinszacha Kserksesa, rozstrzeliwujących Pana Boga bolszewików w łapciach, wymalowanych, jabłkowłosych, bladych dzieci Warszawy. Istnieją tylko dwie opcje, są dwa sztandary. Wiem po sobie, jak oporne jest serce buntowników. Wiem, jak umysł przegrywa z odciśniętymi w sercu ranami po grzechach. Ale zawsze jest możliwość ratunku. Póki oddechu. To jest ta Dobra Nowina.

eprasa.pl a678eb2f54

Warte Moja ocena ***„Glass Onion"*** oscyluje między „Warte" a „Może być". Film zaczyna się od błyskotliwej parady. W jej trakcie kilkakrotnie się uśmiechnąłem; jak na fiction i na mnie, to dużo. W najzabawniejszym ze skeczy mizoginistyczny samiec alfa, influencer grany przez Dave'a Bautistę, słusznie i posłusznie zbiera od matki po pysku, a pulę otwarcia zagarnia Jackie Hoffman grająca jego do bólu wyrazistą mamusię.

Obraz Riana Johnsona nie dostał ode mnie oceny celującej, bo jest wewnętrznie pęknięty. Reżyser nie mógł się zdecydować na wybór gatunku. Nic więc dziwnego, że grający rolę genialnego detektywa Benoita Blanca Daniel Craig jest zagubiony. Albo Herkules Poirot, albo inspektor Clouseau, albo komedia, albo dramat. Tych konwencji, gatunków, głębokich struktur opowieści nie da się połączyć. Albo się przejmuję, albo dystansuję.

Teraz plusy. Osią „Szklanej cebuli", sequela kryminału „Na noże", jest kryminalna intryga, ale czym „Glass Onion" jest naprawdę? Na pewno satyrą. Na wielki świat ludzi do szpiku bogatych i nieprzyzwoicie amoralnych.

Na prywatną wyspę technologicznego magnata (Edward Norton) zostali zaproszeni: poznany tuż przed chwilą gość robiący na Twitchu streamy o rogu nosorożca, naukowiec fałszujący wyniki badań za kasę z grantów i reszta bohaterów jak z dowcipu czy stereotypu. Dawna top modelka, dziś fashionistka (Kate Hudson) jest tępa jak ołowiany przecinak, ale cwana, polityk – sprzedajna, a głupia dupa – wyrachowana. Wszyscy jak jeden mąż siedzą w kieszeni gospodarza-niedouka, spijają androny z jego ust i nie drgnie im nawet powieka, gdy zachwycony brzmieniem swojego głosu powtarza, w tłumaczeniu na nasze, „schzofreMia" i „perNamentnie".

Tak, „Glass Onion" jest, jak ktoś napisał, kroniką głupoty, filmem o ukrywaniu swojego prostactwa pod latarnią i obnoszeniu z własną niegodziwością. Tak, niebezpieczne jest mylenie mówienia prawdy z gadaniem bez zastanowienia, a skrajnie groźne – ubieranie rządzących nami egoizmów w skrzydlate słowa. Tak, wiem, że ta cebula jest szklana, a system prosty jak budowa cepa. Że za warstwami poloru, tajemnicy kryje się niewyobrażalna normalnemu człowiekowi bezwzględność. Wiem też, że buntownicy są niezbędną częścią tego systemu oraz że nikt będący w jego wnętrzu nie chce go rozwalić. Wszyscy już również wiedzą, że politycy siedzą w kieszeniach bogaczy, i powoli wszyscy też zaczynają się orientować, jak pozorna jest niezależność platform społecznościowych, jaką w swojej istocie ściemą są nowe media. Wiem też, czym jest dla nas realny, choć jedynie domyślany sojusz wyrachowanych handlarzy krwią w wolnym świecie i współczesnych totalitarystów z ich harmonogramem objęcia globalnej kontroli.

I tu drugie pęknięcie. Być może każdy z nas choć przez pięć minut marzył o kwadransie sławy. Ale czy po tym filmie choćby część przestanie marzyć? Reżyserowi Babilon chyba imponuje, mimo iż obraża jego inteligencję. Obejrzawszy „Glass Onion", nie wiem, czy reżyser, odkrywszy reguły działania szklanej cebuli, bardziej do tego świata aspiruje, czy go wykpiwa.

Nad opowieścią o woli mocy i władzy, nad kryminalną intrygą, nad satyrą Johnson dobudował komentarz społeczny. Refleksję nad kondycją zachodniego świata. Obok metafory szklanej cebuli używa w tym celu modnego dziś ponoć w światku kultury i biznesu medycznego terminu „dysrupcja". Oznacza on ujawnienie się strukturalnej wady w prawidłowo dojrzewającym organizmie.

Oczywiście jest krótsza definicja wyjaśniająca powody niedoskonałości tworzonego przez człowieka świata: grzech pierworodny, nieusuwalna skaza. My wiemy oczywiście, że tylko do czasu paruzji, ale świat przecież nie chce słyszeć o grzechu. Więc dysrupcja. Odmieniana w filmie na 20 sposobów. Komedia z jednym nużącym słowem. Po co? W pewnym momencie ono nudzi. Ale nie zniechęcam nikogo do tego filmu. Nie ma w nim ideologii, może wciągnąć, daje się zabawić.

System, szklana cebula, rakiety na Marsa i ludzie z Bangladeszu wykorzystywani jak w ciemnym wieku rewolucji przemysłowej. Miraż lśni, iluzja wciąga, ale historia była i jest prostacka. Zawsze chodziło o afrodyzjaki. O władzę, pieniądze, kobiety. O fizyczną nieśmiertelność, niewinność dzieci.

Świat zmieniają giganci woli, nie intelektu. Jak widzimy na Ukrainie, nawet najbardziej przemożna materia może być powstrzymana przez nieugiętego ducha. I na tym najsmutniejszym ze światów jest więc nadzieja.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

Fot. Netflix

eprasa.pl a678eb2f54

Przejrzyste światło zmierzchu

Wojciech Stanisławski

„Światło i płomień": można powtarzać te dwa słowa jak zaklęcie, a jednocześnie wyznaczają one horyzont ostatnich 62 lat I Rzeczypospolitej

Nieraz zdarzają się książki, których już tytuł jest dźwięczny i tajemniczy – ale zarazem konkretny, nieobiecujący więcej nad to, co rzeczywiście można znaleźć na ich stronach. Tyle że najczęściej dzieje się tak w przypadku powieści. Chociaż i w kategorii syntez historycznych zdarzy się czasem tytuł, który jest tylko zapowiedzią, można wręcz powiedzieć – chwytem marketingowym, lecz za sprawą poetyckiego skrótu posiada zarazem celność formuły matematycznej czy maksymy starożytnych, zwięźle przekazujących sedno rzeczy. Tak brzmiały w Polsce, taką prawdę niosły „Klejnot i bariery społeczne", „Swojskość i cudzoziemszczyzna", „Warszawski pierścień śmierci" czy „Boże igrzysko". Podobnie stało się z książką prof. Richarda Butterwicka. „Światło i płomień": można powtarzać te dwa słowa jak zaklęcie, jak początek haiku, a jednocześnie wyznaczają one horyzont 62 lat, doprecyzowany w podtytule książki: „Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733–1795)".

A przecież, dodajmy od razu, to nie poetycki tytuł ani okładka z grą krwistej czerwieni i zgaszonego karmazynu, konterfektów Orła i Ciołka stanowią o wartości tej syntezy. „Światło i płomień" czyta się z taką przyjemnością, ponieważ ta książka świetnie zachowuje proporcje między autorską syntezą, pracą o ambicjach dydaktycznych i zbiorem mnóstwa faktów często nieznanych nawet specjalistom. Decydujący jest duch syntezy tej książki i zdolność do utrzymania mimo dygresji, wyliczeń nazwisk, klasztorów i sztuk, częstych zmian perspektywy (z europejskiej na polską, lokalną, rodową i odwrotnie) pełnej kontroli nad wywodem. To historiograficzna kampania napoleońska, obfitująca w niespodzianki, szarże i improwizacje, toczona na różnych teatrach, a jednocześnie stale zmierzająca ku celowi.

Taki opis jest tym ważniejszy, że polski XVIII w. – lata panowania drugiego z Sasów (rządy Augusta II Mocnego zostały scharakteryzowane w jednym z pierwszych podrozdziałów) oraz ewolucja nadziei, sporów i konfliktów Stanisława Augusta – jest w Polsce niby znany, ba, nawet upupiony kilkoma formułami o „wieku świateł" lub „ciemnocie czasów saskich". Po pierwsze jednak, wiedza ta jest często rozczłonkowana (osobno o Sasach, osobno o konfederacji barskiej, osobno o królu Stanisławie, Sejmie Wielkim i Kościuszce), a po wtóre, nie tylko spolaryzowana, lecz także stanowiąca narzędzie dalszej polaryzacji: neosarmaci i neo-Podczaszyce, czyli bezkrytyczni entuzjaści dawnych czasów lub modernizowania wszystkiego, od sejmów po język, choćby i wbrew woli reformowanych – są wśród nas, tylko okładają się kijami nie na błoniach (elekcyjnych), lecz na blogach.

A po trzecie, ten czas zmierzchu i reform jest często odczytywany w oderwaniu od nowych zjawisk politycznych i kulturowych XVIII w. Richard Butterwick, nie tracąc z oczu najważniejszego dramatu i wyzwania Rzeczypospolitej (jak odzyskać suwerenność w sytuacji, gdy

Richard Butterwick, „Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733–1795)", Wydawnictwo Literackie, 2023

ościenne potęgi posiadają wszelkie narzędzia zewnętrznego sterowania krajem?), opisuje zarówno koncert europejski, jak drobne nawet i nie zawsze zakończone powodzeniem inicjatywy zakonników, jurystów, oficerów i urzędników królewskich – a przede wszystkim pokazuje (rzecz nie do przecenienia w obliczu wszystkich współczesnych polaryzacji!) potencjał współdziałania. W akapicie ze wstępu, z którym trudno mi się rozstać, pisze on:

„Tysiące obywateli zaangażowanych [było] w politykę, działalność Kościołów, sądownictwo, administrację publiczną, edukację, naukę i handel. [...] Ostry konflikt między tradycjonalistami a reformatorami bywa nazywany »walką peruki z wąsami«, kosmopolitycznego oświecenia z zaściankowym sarmatyzmem, Warszawy z prowincją [...]. Okazał się on jednak w istocie o wiele bardziej skomplikowany. Obywatele, których dzieliły poglądy, mogli się spotykać (i czasem to robili) na wspólnym gruncie głębokiego patriotyzmu. Więk-

eprasa.pl a678eb2f54

szość reformatorów przyznawała, że liczne elementy polsko-litewskiej przeszłości zasługują na podziw; większość tradycjonalistów przyznawała, że różne obszary życia Rzplitej wymagają naprawy. W 1791 r. rozkwitło w Konstytucji 3 maja coś w rodzaju syntezy republikańskiej i monarchistycznej wizji tejże naprawy i reformy".

Jeśli raz przyjmie się taką perspektywę – nie strach już pisać o oczynszowaniu chłopów przez ks. Pawła Brzostowskiego i obłąkanym projekcie hetmana Branickiego, chcącym dla kraju (i siebie) ustroju zgeometryzowanej oligarchii, o obsadzie gabinetu królewskiego i ambicjach jego ekspertów, o rywalizacji między dyzunitami a unitami. Prac, ukazujących dzieje Polski z zachodniej perspektywy, a jeszcze czyniących to błyskotliwie, jest tak niewiele, że sięgającym po książkę Butterwicka od razu nasuwa się pytanie o podobieństwa i różnice z najszerzej może znaną współcześnie na Zachodzie historią Polski. Pytanie zrozumiałe, ale chybione: „Światło i płomień" traktuje o czasie nieporównanie krótszym (choć do dziś warunkującym różne polskie obawy) niż „Boże igrzysko", zarazem w sposób mniej dydaktyczny i bardziej szczegółowy. To niemal jak dialog: – Davies? – Nie, Butterwick.

Zdania, takie jak przytoczone powyżej – o spotkaniu obywateli różnych przekonań, reformatorów i tradycjonalistów na gruncie głębokiego patriotyzmu – mogą okazać się zbyt trudne do przyjęcia dla gwiazd estrady, wygłaszających w wywiadach półinteligenckie komunały o tym, że w XVIII w. Polacy stracili niepodległość na własne życzenie za sprawą opcji fundamentalno-katolickiej. Dla wszystkich innych mogą być zachętą do lektury o Rzeczypospolitej inkluzyjnej, skupiającej wysiłki i poświęcenie wielu obywateli, dźwigającej się zbyt późno, w świetle złowieszczego zmierzchu.

Królicza nora Berdyczowa

Ilu czytelników z różnych obszarów ma szansę nabrać się na ten tytuł! Nie tylko staroświeccy nostalgicy Kresów, którzy radzi by przeczytać jeszcze coś o tym wołyńskim grodzie, skąd rodem i Conrad, i konfederaci barscy, i porzekadło o daremnym pisaniu listów. Nostalgicy zresztą mają największe szanse ocaleć, nie wpaść do tej króliczej nory, bo nietypowa dla gatunku wypominków okładka – żadnej akwareli Smuglewicza, żadnego dagerotypu z kościołami, rynkiem i rzeką? – rychło da im do myślenia.

Za to czytelnicy polskich relacji z włóczęgi po Ukrainie początku XXI w. w duchu stasiukowo-marecko-szczerkowym wejdą w „Berdyczów" jak w dym, a tym bardziej entuzjaści, odkrywający w ostatnich miesiącach współczesną prozę ukraińską, od Babkiny po Śniadanko. I na pierwszych stronach nie będą zawiedzeni: wyprawa młodego urzędnika Unii nad brzegi Hnyłopiatii z misją zbadania przyczyn pomoru tamtejszych świń obiecuje niezłą groteskę, a wołyńska rzeczywistość postsowiecka i przedwojenna została opisana ze znawstwem, wręcz przerysowana: wszystko jest takie jak w dziesiątkach powieści o postsowieckim Wschodzie, tylko bardziej. To wręcz destylat współczesnego easternu: kopcąca marszrutka, leniwe dzikie psy, szklany krusz w miejscu po pomniku Lenina, etażnaja (przechrzczona na Piętrową), szemrane interesy w byłym kołchozie, wszechobecne zapuszczenie, rezygnacja, liszaj i cwaniactwo, jakby był to świat Socjalistycznego Sanatorium pod Klepsydrą, sprywatyzowany przez byłego towarzysza Schulza.

Bo też tym także jest „Berdyczów": ambitnym (i udanym!) projektem literackim napisania „powieści takiej jak wszystkie tego rodzaju powieści", nie tyle ich parodii (to byłoby dla Marty Kozłowskiej, wiadomo już to po trzech jej książkach, po prostu za łatwe), ile właśnie „destylatu", lekkiego tylko przerysowania i uwydatnienia ich cech. „Pod nogami rozciąga się stacja kolejowa Berdyczów. Sadzawki w rdzewiejących wagonach. Durszlaczane dachy hal i magazynów przeładunkowych. Sprejem cerowane ściany wagonowni. Butelkowy tłuczeń w budce dróżnika. Chmiel na szubienicach semaforów": no, czy to nie modelowa prowincjonalna postsowietczina, taka sama na bocznicach Sulejówka, Wilejki, Berdyczowa i Akmolińska?

Tak, lektura tej książki to doznanie podobne do tego, które spotyka nas u optyka, gdy mierzymy szkła i trafią się takie o pół dioptrii za mocne: nagle widać wszystko niby wyraźnie, lecz jakoś tak echt-wyraźnie, z przerysowaniem. Można zabawić się w podobny sposób, przerysowując cechy gatunku, z mieszczańskimi powieściami XIX w. (kto jeszcze pamięta „Esther" Stefana Chwina?), można z prozą historyczną, można z ukrainicami – i Kozłowska zrobiła to ostatnie z niemałym kunsztem. Prostym czytelnikom, którzy lubią takie teksty, jak dotąd ku uciesze, przyszłym autorom – ku przestrodze.

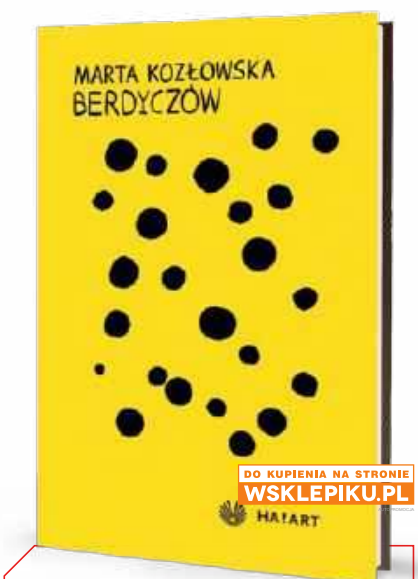

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
Marta Kozłowska, „Berdyczów", Ha!Art, 2022

Ale na tym nie koniec berdyczowskich peregrynacji i pułapek: bohaterowie nie tylko płynnie przechodzą od błatnej mowy do zdań wykwintnych i sztucznych niczym w „Hydrozagadce" („– Co zamierzasz, Karolu, jeśli wolno spytać? [...] – Muszę poczekać na jakieś rozstrzygnięcia"), przedmioty wokół, od zegarka po wiadukt, nie tylko rozpływają się w powietrzu (już nie w trybie prichwatizacji, lecz metafizycznie), lecz także zaczynają mówić własnym głosem jak w dorodnej schizofrenii – i wtedy zaczyna się robić naprawdę ciekawie. Nadrealizm wciąż ma się dobrze. Na szczęście.

eprasa.pl a678eb2f54

Program rozwoju narciarstwa alpejskiego PolSKI Mistrz przedłużony

Coraz lepsze wyniki, coraz wi

Czy doczekamy się w Polsce sukcesów w narciarstwie alpejskim na miarę wyników, jakie nasi reprezentanci osiągają w narciarstwie klasycznym? Pomóc ma w tym program PolSKI Mistrz, który realizuje Polski Związek Narciarski dzięki silnym partnerom, takim jak Polski Fundusz Rozwoju (PFR) i Polskie Koleje Linowe (PKL)

14 stycznia w Zakopanem prezes PFR Paweł Borys wspólnie z prezesem PZN Adamem Małyszem i Danielem Pitrusem, prezesem PKL, ogłosili kontynuowanie współpracy związanej z realizacją programu PolSKI Mistrz. Nowa umowa będzie obowiązywała przez najbliższe cztery sezony, a więc ma objąć cały cykl olimpijski. Wartość wsparcia finansowego i organizacyjnego PFR i PKL wynosi łącznie 8 mln zł.

PolSKI Mistrz to Narodowy Program Rozwoju Narciarstwa i Snowboardu Zjazdowego w Polsce, którego inicjatorami są: Polski Fundusz Rozwoju, Polskie Koleje Linowe oraz Kolej Gondolowa Jaworzyna Krynicka. Program powstał we współpracy z Polskim Związkiem Narciarskim w 2020 r. Kontynuacja współpracy jest kolejnym krokiem w dążeniu do dalszego rozwoju dyscyplin oraz jeszcze większej promocji sportu wśród dzieci i młodzieży.

Dzień po podpisaniu umowy polski snowboardzista Oskar Kwiatkowski wygrał zawody Pucharu Świata w slalomie gigancie równoległym w szwajcarskim Scuol, co jest pierwszym od dawna tak znaczącym sukcesem polskiego reprezentanta narciarstwa zjazdowego. Zatem jako kibice mamy prawo mieć nadzieję, że nasi alpejczycy będą coraz lepsi.

– Ogromnie cieszymy się z kontynuacji współpracy z Polskim Funduszem Rozwoju i Polskimi Kolejami Linowym. Ostatnie sezony pokazały, jak ważne jest wsparcie partnerów w rozwoju profesjonalnego sportu i w dążeniu do sukcesów. Dzięki programowi PolSKI Mistrz wskoczyliśmy na wyższy poziom. Z każdym sezonem zapewniamy coraz lepsze warunki do treningu reprezentantom kadr narodowych PZN w narciarstwie alpejskim i snowboardzie. Razem rozwijamy narciarstwo alpejskie w Polsce również dzięki organizacji zawodów FIS i Młodzieżowego Pucharu Polski, a także wsparcie finansowe

eprasa.pl a678eb2f54

ększe nadzieje

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 35/0123/F

klubów, które płynie z programu PolSKI Mistrz – podkreślił Adam Małysz, prezes Polskiego Związku Narciarskiego.

CEL BIZNESOWY I SPOŁECZNY

Współpraca PZN z PFR i PKL opiera się na kilku płaszczyznach. Bazę programu PolSKI Mistrz stanowi wsparcie finansowe obejmujące kadry narodowe PZN, a także organizacja zawodów międzynarodowych z kalendarza FIS na polskich stokach, które głównie odbywają się na trasach narciarskich ośrodków Grupy PKL.

– Program PolSKI Mistrz łączy wymiar biznesowy – rozwój i promocję tras, których operatorem jest PKL – z wymiarem społecznym – wsparciem rozwoju polskiego narciarstwa zjazdowego i snowboardu. Konsekwentnie pomagamy sportowcom w rozwoju, zaczynając od tworzenia warunków do uprawiania tej dyscypliny w Polsce, przez wspieranie dzieci i młodzieży, a kończąc na igrzyskach olimpijskich i Pucharze Świata. Obserwowanie ich sukcesów jest bardzo budujące i daje nam potwierdzenie tego, jak ważny i potrzebny jest to program. Cieszymy się, że możemy być jego częścią, i dalej wspieramy naszych sportowców na trasie do mistrzostwa – mówi Paweł Borys, prezes PFR.

W ramach programu PolSKI Mistrz odbyło w ubiegłym sezonie 16 edycji zawodów w 34 konkurencjach. Wystartowało w nich 353 zawodników i zawodniczek z różnych kategorii wiekowych. W ramach programu jest również realizowany Młodzieżowy Puchar Polski, czyli cykl zawodów dla młodych narciarzy alpejskich. Na nagrody finansowe przeznaczonych zostało 120 tys. zł, a brak opłat wpisowych oraz udostępnienie skipassów podczas zawodów organizowanych w ośrodkach Grupy PKL pozwoliło 45 klubom sportowym z całej Polski oszczędzić ponad 367 tys. zł w sezonie! Oprócz bezpośredniego wsparcia finansowego PFR i PKL pokrywają także koszty profesjonalnego przygotowania i zabezpieczenia zaplecza treningowego, dostępnego dla narciarzy i snowboardzistów specjalizujących się w konkurencjach zjazdowych.

BY ZNALEŹĆ TALENTY

Celem programu PolSKI Mistrz jest przede wszystkim promocja narciarstwa i snowboardu wśród dzieci i młodzieży, wyrównywanie szans w dostępie do sportu oraz wsparcie organizacyjne i finansowe prowadzące do rozwoju narciarstwa zjazdowego i snowboardu w Polsce.

Polskie Koleje Linowe są inicjatorem programu PolSKI Mistrz, zapewniają wsparcie finansowe programu i PZN oraz udostępniają bazę treningową na trasach narciarskich w ośrodkach Grupy PKL. Polskie Koleje Linowe to firma z ponad 85-letnią tradycją, całoroczny operator turystyczny prowadzący ośrodki w kluczowych lokalizacjach w Polsce w Tatrach, Beskidach, Pieninach i Bieszczadach: w Zakopanem na Kasprowym Wierchu, Gubałówce i Butorowym Wierchu, w Krynicy-Zdrój na Jaworzynie Krynickiej i Górze Parkowej, w Zawoi na Mosornym Groniu, w Szczawnicy na Palenicy oraz na Górze Żar w Międzybrodziu Żywieckim, a także od 1 lipca 2022 r. w Bieszczadach w Solinie. PKL oferuje kompleksowy zestaw usług turystyczno-wypoczynkowych zarówno w sezonie letnim, jak i zimowym oraz posiada własną bazę noclegową i restauracyjną. PKL jest jednym z największych pracodawców w regionie zatrudniającym ponad 600 osób.

PFR JEST TAM, GDZIE ROZWÓJ I ZYSK

Z kolei Polski Fundusz Rozwoju to grupa instytucji finansowych i doradczych dla przedsiębiorców, samorządów i osób prywatnych inwestująca w zrównoważony rozwój społeczny i gospodarczy kraju. Główne cele, które realizuje fundusz to: inwestycje infrastrukturalne, innowacje, rozwój przedsiębiorczości, eksport i ekspansja zagraniczna polskich przedsiębiorstw, wsparcie samorządów, realizacja programu Pracowniczych Planów Kapitałowych oraz obsługa inwestycji zagranicznych. PFR pełni funkcję koordynatora programów rozwojowych na bazie jednolitej strategii i zintegrowanych kanałów kontaktu z przedsiębiorcami, samorządami i klientami indywidualnymi.

Przez fundusze PFR odgrywa także arcyważną dla polskich podmiotów rolę inwestora kapitałowego dostarczającego długoterminowego finansowania dla rentownych projektów, realizowanych w wybranych sektorach gospodarki, w tym m.in. energetyki, węglowodorów, transportu, infrastruktury samorządowej, przemysłowej i telekomunikacyjnej.

eprasa.pl a678eb2f54

Polscy piłkarze ręczni na MŚ lepiej grali w meczach, w których nie byli faworytami

POSTAWILI SIĘ najlepszym

Emocje, jakie towarzyszą meczom piłki ręcznej, trudno porównać z jakąkolwiek inną dyscypliną zespołową. Zjawiskowe połączenie walki, sprytu, techniki i brutalnej fizycznej siły sprawiają, że nawet trudny mecz z dużo lepszym rywalem ogląda się z wypiekami na twarzy. Nasi piłkarze ręczni na mistrzostwach świata nie zrealizowali celu, którym był awans do ćwierćfinału, ale dostarczyli polskim kibicom mnóstwo sportowych emocji, zwłaszcza w meczach z dużo wyżej notowanymi zespołami

To były dziwne mistrzostwa świata w wykonaniu podopiecznych trenera Patryka Rombla. Polacy nie osiągnęli zakładanego celu sportowego – awansu do fazy play-off, który pozwalał na start w jednym z turniejów przedolimpijskich i kontynuowanie marzenia o grze na igrzyskach w Paryżu. Kolejnym widocznym problemem polskich piłkarzy było nie najlepsze przygotowanie mentalne do... roli faworyta. W najważniejszym meczu fazy wstępnej – przeciwko Słowenii – zostaliśmy zupełnie rozbici przez rywali, z którymi zakładaliśmy przynajmniej wyrównaną walkę.

– W głowach przegraliśmy mecz ze Słowenią, trudno coś więcej na ten temat powiedzieć – skomentował to spotkanie Piotr Jędraszczyk, 21-letni reprezentant Polski, który był jednym z jaśniejszych punktów naszego zespołu podczas tych mistrzostw.

Kibice, spodziewający się pogromu w wykonaniu biało-czerwonych, przeżyli kolejne niemiłe zdziwienie, widząc wyrównany mecz Polaków z półamatorskim zespołem z Arabii Saudyjskiej. Presja wyniku i gra w roli w faworyta ewidentnie nie służyły naszym zawodnikom.

Z SILNYMI ŁATWIEJ

Co ciekawe, najlepiej nasi szczypiorniści zaprezentowali się w przegranych spotkaniach z potęgami światowej piłki ręcznej, czyli Francją i Hiszpanią. Z Francuzami na inaugurację turnieju przegraliśmy zaledwie dwoma bramkami, tocząc wyrównany bój do ostatnich minut spotkania. Biało-czerwoni zaimponowali tam zwłaszcza niesamowitą wręcz walką w defensywie, z którą nie potrafiły sobie poradzić największe francuskie gwiazdy. Mecz, w którym o wyraźną porażkę nikt nie miałby do biało-czerwonych pretensji, zaostrzył nam tym samym apetyty i pozwolił uwierzyć, że zakładany przed turniejem awans do ćwierćfinału jest rzeczywiście możliwy. Niestety, wspomniany mecz ze Słowenią ściągnął nas na ziemię, a wygrana z Arabią Saudyjską dała nam awans do fazy zasadniczej turnieju, do której nie zabraliśmy jednak punktów za to spotkanie, gdyż Saudyjczycy zajęli – bez niespodzianki – ostatnie, czwarte miejsce w naszej grupie.

POWTÓRZYĆ CUD Z 2009 r.

Ponieważ zaczynaliśmy fazę zasadniczą z zerowym dorobkiem punktowym, było jasne, że aby wciąż marzyć o awansie do ćwierćfinału, musimy wygrać wszystkie trzy mecze – z Hiszpanią, Czarnogórą i Iranem – oraz liczyć na korzystny układ wyników w spotkaniach między pozostałymi zespołami. Taki sportowy cud, kiedy po awansie do fazy zasadniczej z zerowym dorobkiem punktowym zajęliśmy drugie miejsce w grupie, wygrywając trzy kolejnej mecze, a później na szyjach naszych szczypiornistów zawisły brązowe medale mistrzostw świata, wydarzył się w 2009 r. na turnieju w Chorwacji. Historia, choć często lubi się powtarzać, tym razem jednak potoczyła się nieco inaczej.

Być może stało się też tak dlatego, że w kluczowym dla dalszych losów naszej reprezentacji meczu przeciwko Hiszpanii w bramce rywali stanął Gonzalo Pérez de Vargas, który bronił jak natchniony. Polacy, toczący bardzo wyrównany bój z Hiszpanami, dochodzili do doskonałych sytuacji strzeleckich sam na sam z bramkarzem, ale piłka odbijała się od bramkarza Barcelony jak od skały. Patrząc na grę

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a678eb2f54

tego zawodnika między słupkami, trudno było nie przypomnieć sobie w akcji Sławomira Szmala, a więc naszego legendarnego golkipera z czasów największych sukcesów polskiej piłki ręcznej. Można śmiało zaryzykować stwierdzenie, że wynik meczu przeciwko faworyzowanej Hiszpanii mógł być sprawą otwartą, gdyby nie postawa Péreza de Vargasa. Jak stwierdził Mariusz Jurasik, czyli inny as naszej drużyny narodowej z czasów, gdy zdobywaliśmy medale mistrzostw świata: – Żaden trener nie jest w stanie skorygować zawodnika w czasie meczu, gdy ten nie trafia do bramki w sytuacji sam na sam. Później można wyjaśnić zawodnikowi, co zrobił źle, ale jeśli nie rzuca się bramek w takich sytuacjach, to z punktu widzenia szkoleniowca już nic nie można zrobić.

CO DALEJ Z TRENEREM?

To ważne słowa, bowiem po mistrzostwach świata zapewne rozpocznie się dyskusja o tym, jak dalej należy pracować z reprezentacją piłkarzy ręcznych i czy trener Patryk Rombel powinien pozostać na swoim stanowisku. Gra naszych piłkarzy na turnieju „domowym", kiedy mieli za sobą trybuny w halach w Katowicach i Krakowie, nie przyniosła spodziewanego celu, obnażyła braki w przygotowaniu mentalnym, ale jednocześnie pokazała, że możemy nawiązać walkę z najlepszymi zespołami jak równy z równym, a od osiągnięcia zadowalających rezultatów dzielą nas detale. Jednocześnie w naszej drużynie jest kilku zawodników, którzy naprawdę rokują na przyszłość ze wspomnianym Piotrem Jędraszczykiem na czele. Mamy dobrego „bombardiera" Szymona Sićkę, którego gra fragmentami przywodzi na myśl legendarnego Karola Bieleckiego. Niezastąpiony na dziś wydaje się także Arkadiusz Moryto, wybitny egzekutor rzutów karnych i „płuca" drużyny. Z dobrej strony pokazał się także bramkarz Mateusz Kornecki, który zatrzymał wiele groźnych strzałów w meczu z Hiszpanią, a jego występ został przyćmiony jedynie przez wybitny mecz Péreza de Vargasa.

JESZCZE BĘDZIE PIĘKNIE

W piłce ręcznej nie trzeba czekać jak w futbolu na kolejne mistrzostwa świata aż cztery lata, bo odbywają się one co dwa sezony, w latach nieparzystych, naprzemiennie z mistrzostwami Europy, którymi możemy emocjonować się w latach parzystych. Oznacza to, że praktycznie co roku jest szansa, by zespół narodowy zaistniał w jednej z wielkich imprez rangi mistrzowskiej. Niewykluczone zatem, że zawodnicy, których oglądaliśmy w barwach reprezentacji Polski na parkietach w katowickim Spodku i w Tauron Arenie w Krakowie przyniosą nam jeszcze radość i emocje z walki o najwyższe miejsca. By tak się jednak stało, trzeba teraz zachować spokój i chłodne głowy przed podjęciem kluczowych decyzji. Sam trener Rombel jeszcze w grudniu powtarzał, że bardzo chciałby nadal pracować z reprezentacją biało-czerwonych po zakończeniu mistrzostw świata, ale sam także wyznaczył cel – awans do ćwierćfinału – którego nie zrealizował. Bez wątpienia Patryk Rombel miał podczas tego turnieju sporo pecha.

– Brakowało nam skuteczności, kreowaliśmy sytuację, ale później mieliśmy problemy z przebiciem się przez obronę. Zabrakło nam spokoju i wyrachowania w końcówce. Warto też zwrócić uwagę na sytuacje, w których bramkarz Hiszpanii fenomenalnie bronił – mówił Patryk Rombel po meczu z Hiszpanią, który ostatecznie przesądził o tym, że awans do ćwierćfinału przestał być realny.

Była to uczciwa ocena sytuacji bez szukania tanich wymówek. Ale taka jest właśnie piłka ręczna – to gra dla twardzieli, w której nikt nie symuluje, ale każdy darzy rywala szacunkiem, zachowania nie fair praktycznie nie występują ani nikt nie ucieka przed odpowiedzialnością po meczu. I dlatego możemy być pewni, że występy reprezentacji Polski w piłce ręcznej przyniosą nam jeszcze mnóstwo emocji i wiele radosnych chwil.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 16/0123/F

ORLEN NAJWIĘKSZY SPONSOR POLSKIEGO SPORTU ORLEN

eprasa.pl a678eb2f54

PARTNER DODATKU ORLEN

Za nami kolejny weekend ze skokami narciarskimi w Zakopanem, a więc kulminacyjny punkt sportowego sezonu zimowego w Polsce. Na przykładzie tegorocznych wydarzeń na Wielkiej Krokwi w Zakopanem było widać bardzo wyraźnie, jak zmieniły się te zawody od czasu pierwszych sukcesów Adama Małysza i eksplozji popularności tej dyscypliny sportu w naszym kraju

Puchar Świata w skokach w Zakopanem

Od żywiołu i śnieżek do klasy światowej

Morze biało-czerwonych flag, 50 tys. kibiców oblegających Wielką Krokiew w formule wielkiego, spontanicznego biwaku, bardzo głośny doping, a do tego nieznane nigdzie indziej incydenty jak rzucanie śnieżkami w Svena Hannawalda – takie były pierwsze lata „małyszomanii" w Zakopanem.

CHUDE LATA

Od igrzysk olimpijskich w japońskim Sapporo w 1972 r. polskim kibicom cały czas przypominano niespodziewany złoty medal zdobyty na tej imprezie przez Wojciecha Fortunę. Sukces Fortuny był jedną z legend polskiego sportu, był jak słynny mecz na Wembley reprezentacji piłkarskiej Kazimierza Górskiego, jak skok Władysława Kozakiewicza na igrzyskach w Moskwie i jego słynny gest. To przez lata było jedno z tych osiągnięć i tych wydarzeń, do których wracały kolejne generacje sportowych komentatorów. Najlepszy między medalem Fortuny a erą Małysza polski skoczek narciarski – Piotr Fijas, zawsze był w cieniu „kultowego" osiągnięcia Fortuny z Sapporo. Nie zmienił tego nawet fakt, że pan Piotr wygrał pierwszy w historii konkurs Pucharu Świata na Wielkiej Krokwi właśnie. 27 stycznia 1980 r. wyprzedził zaledwie o 0,1 pkt. innego polskiego skoczka – Stanisława Bobaka, który dzień wcześniej wygrał zawody PŚ na

Fot. Tadeusz Mieczyński

eprasa.pl a678eb2f54

Średniej Krokwi. Wszystko to działo się w pierwszym w historii sezonie Pucharu Świata w skokach narciarskich. Starsi kibice tego sportu doskonale pamiętają, że wówczas konkursy skoków potrafiły trwać wiele godzin, gdyż startowali wszyscy zgłoszeni zawodnicy, a dopiero później do drugiej serii awansowała czołowa 50. Rywalizacja była też dużo bardziej czytelna i jasna, gdyż nie istniały żadne skomplikowane przeliczniki i algorytmy, które dziś mają niwelować różnice warunków pogodowych dla poszczególnych skoczków czy poziom belki startowej. Jeżeli w trakcie zawodów sędziowie decydowali o obniżeniu bądź podwyższeniu rozbiegu, wiązało się to z koniecznością powtórzenia wszystkich oddanych wcześniej skoków, tak by każdy miał równe szanse.

Jak wspominał Piotr Fijas w jednym z wywiadów, za zwycięstwo w konkursie na Wielkiej Krokwi otrzymał... piękny damski kożuch, którym obdarował swoją mamę. Pana Piotra pamiętamy jednak głównie z tego, że był aż przez siedem lat (od 1987 do 1994 r.) rekordzistą świata w długości lotu narciarskiego. 14 marca 1987 r. w Planicy Fijas poleciał na odległość 194 m. W tym miejscu warto wspomnieć, że zarówno skocznia mamucia w Planicy, jak i Wielka Krokiew były od tamtej pory wielokrotnie modernizowane, co pozwalało na oddawanie coraz dalszych skoków.

Zwycięstwo Piotra Fijasa w 1980 r. w Zakopanem nie sprawiło jednak, że Polacy zakochali się w skokach. Ponura dekada lat 80. XX w., a więc schyłkowy czas PRL, to były lata, kiedy kibice narciarscy pasjonowali się rywalizacją takich skoczków jak fiński mistrz Matti Nykänen czy pochodzący z NRD Jens Weißflog na skoczniach położonych w Alpach czy Skandynawii. Zakopane służyło jedynie jako arena zawodów krajowych. Zawody PŚ po raz drugi trafiły na Wielką Krokiew dopiero w 1990 r. Już wtedy polscy organizatorzy pokazali, że mimo braku wprawy swoich kolegów z obiektów regularnie wykorzystywanych do rywalizacji na najwyższym poziomie potrafią perfekcyjnie przygotować skocznię do zawodów. A w 1990 r. było to wyjątkowo trudne z uwagi na bezśnieżną zimę w Tatrach, która – jak widać - trafiała się nawet w czasach, gdy nikt nie słyszał jeszcze o globalnym ociepleniu. W konkursie z 1990 r. zwyciężył Niemiec Jens Weißflog i... Zakopane znów zapomniało o Pucharze Świata, tym razem jednak już tylko na sześć lat. Następnie Wielka Krokiew zaczęła być wykorzystywane nieco częściej, bo najlepsi skoczkowie świata rywalizowali w stolicy polskich Tatr w latach 1998 i 1999, ale na stałe do kalendarza tego najbardziej elitarnego cyklu polski obiekt trafił w 2002 r.

ŻYWIOŁ POD SKOCZNIĄ

Nie trzeba dodawać, że ojcem sukcesu Zakopanego jako areny, która bardzo szybko urosła do rangi jednej z najważniejszych w sezonie, był Adam Małysz. Eksplozja talentu skoczka z Wisły, która nastąpiła na przełomie 2000 i 2001 r. zapoczątkowała nową erę tej dyscypliny sportu w naszym kraju. Po latach widać wyraźnie, ile znaczyły sukcesy Adama Małysza nie tylko dla niego samego, nie tylko dla polskich kibiców, ale i dla rozwoju skoków narciarskich w Polsce, w tym istnienia i modernizacji Wielkiej Krokwi, a także nowoczesnej skoczni w Wiśle. Dla włodarzy światowych skoków stało się jasne, że Polska jest nowym krajem na mapie skoków narciarskich, który będzie się liczył w światowej czołówce.

Przyznajmy jednak, że początki „małyszomanii" był dość... przaśne. W pierwszej połowie pierwszej dekady XXI w. atmosfera pod Wielką Krokwią bywała tak gorąca, że często bardziej przypominała piłkarski stadion niż utarte dotąd zwyczaje panujące na innych obiektach narciarskich. Mimo usłyszanych czasem gwizdów czy celowaniem śnieżkami w rywali

> *„Zakopane to jedna z moich ulubionych skoczni. Zawsze się cieszę, kiedy jadę do Zakopanego"*
>
> **– Gregor Schlierenzauer, najlepszy austriacki skoczek w historii, pięciokrotny zwycięzca konkursów na Wielkiej Krokwi**

Wielka Krokiew

Nazwa skoczni pochodzi od góry Krokiew, na której północnym zboczu usytuowano obiekt. Zbocze, schowane w tatrzańskim reglu, zostało wybrane na miejsce budowy skoczni przez słynnego zakopiańskiego społecznika i dyrektora miejscowej Szkoły Przemysłu Drzewnego Karola Stryjeńskiego. Zaprojektował on skocznię w tym miejscu i zainicjował jej budowę. Jak wiele projektów realizowanych w czasach II Rzeczypospolitej, także w budowę Wielkiej Krokwi zaangażowano wojsko. Było to konieczne, gdyż zbocze Krokwi odpowiednio „rzeźbiono" pod najazd i zeskok przy użyciu materiałów wybuchowych. Skocznię otwarto 22 marca 1925 r., kiedy to mimo odwilży i deszczu rozegrano pierwsze zawody, których tryumfator – Wojciech Gąsienica-Sieczka – skoczył 36 m. Przez niemal 100 lat swojego istnienia największa polska skocznia narciarska była wielokrotnie przebudowywana i powiększana, co umożliwiało coraz dalsze skoki. Obecnie punkt konstrukcyjny skoczni wynosi 125 m, a „rozmiar" skoczni 140 m, jednak możliwe są skoki o długości dochodzącej do 150 m. Rekord skoczni Dawida Kubackiego to 143,5 m, a Yukiya Satō 14 stycznia 2022 r. ustanowił nowy rekord – 147 m. Aktualnie trybuny pod Wielką Krokwią mogą pomieści 40 tys. kibiców, jednak z uwagi na komfort oglądających szacuje się, że optymalną liczbą jest ok. 25 tys. osób. Tym samym raczej nigdy nie zostanie pobity już rekord z 1962 r., kiedy to zawody na Wielkiej Krokwi rozgrywane w ramach mistrzostw świata w narciarstwie klasycznym oglądało 120 tys. kibiców.

Fot. Tadeusz Mieczyński

eprasa.pl a678eb2f54

Fot. Tadeusz Mieczyński

Parametry techniczne Wielkiej Krokwi

- Punkt konstrukcyjny: 125 m
- Wielkość skoczni (HS): 140 m – od 2018 r.
- Długość najazdu: 98,7 m
- Nachylenie najazdu: 35 st.
- Długość progu: 6,5 m
- Nachylenie progu: 11 st.
- Wysokość progu: 3,13 m
- Nachylenie zeskoku: 34,3 st.

Małysza ogólnie skoczkowie zakochali się w atmosferze Zakopanego. Dla przyzwyczajonych do powściągliwych reakcji kibiców skoczków z Austrii, Niemiec czy ze Skandynawii ta żywiołowość polskiej publiczności, trąbki, transparenty i głośne śpiewy były wkroczeniem w świat zarezerwowany dotąd dla przedstawicieli takich dyscyplin jak piłka nożna. Trudno się dziwić, że dla wielu skoczków ze światowej elity Zakopane bardzo szybko stało się ulubionym miejscem startów, a konkursów w Polsce nie mogli się po prostu doczekać. Nikomu też nie przeszkadzało, że oczywiście ulubieńcem i najgoręcej dopingowanym zawodnikiem był Adam Małysz. Widać też było wyraźnie, że Małysz, a później także inni nasi skoczkowie zawsze tak bardzo pragnęli zwyciężyć na Wielkiej Krokwi, że ta presja często nie pozwalała im osiągać spodziewanych wyników.

PEŁNY PROFESJONALIZM I KULTURA

Lata „małyszomanii" mamy już jednak za sobą, a po Adamie Małyszu na rozbiegu Wielkiej Krokwi stawali jego jakże godni następcy, a zwłaszcza Kamil Stoch. Zapoczątkowana też sukcesami wiślanina popularność tej dyscypliny sportu w Polsce przełożyła się na wzrost kibicowskiej świadomości. Polacy nie tylko pokochali skoki, lecz także przez lata nauczyli się, o co w nich chodzi. Choć nowe przepisy coraz bardziej gmatwały kwestię czytelności rywalizacji, to zaznajomieni już dobrze z tematem polscy kibice nie odwrócili się od skoków. Doczekaliśmy się zatem mocnej drużyny i dużo silniejszej reprezentacji biało-czerwonych zawodników w elicie, niż było to w czasach nieco osamotnionego Małysza, a także dołączyliśmy do grona nacji o wysokiej kulturze organizacyjnej i kibicowskiej w tej trudnej dyscyplinie.

Dziś pod Wielką Krokwią nie ma już tłumów, spontanicznie organizujących się niczym na wielki piknik, ale są tysiące kibiców świadomych rywalizacji, korzystających z nowoczesnego i kompleksowego zaplecza obiektu. Zawody są pokazywane w sposób perfekcyjny – do ujęć wykorzystuje się kamery dynamiczne, kamery usytuowane nad rozbiegiem i podążające za skoczkiem w czasie najazdu i lotu, a obiekt jest podświetlany w czasie konkursu nocnego. Wszystko to tworzy niesamowity klimat zawodów. Gdy dziś odtwarza się z archiwalnych nagrań przebieg zawodów rozgrywanych w Zakopanem 20 lat temu, to najlepiej widać, jak wielki postęp zrobiły polskie skoki także w sferze organizacyjnej. Nie tylko nie mamy się czego wstydzić przed światem, ale możemy wręcz być przykładem dla organizatorów innych tego typu zawodów.

Tegoroczny weekend ze skokami w Zakopanem był wyjątkowo trudny dla organizatorów z uwagi na kapryśną, wietrzną pogodę. Mimo tych kłopotów poradzono sobie perfekcyjnie, zapewniając zarówno atrakcyjność samej imprezy, jak i bezpieczeństwo dla wszystkich startujących zawodników. Widok kilkunastu osób z obsługi technicznej wyposażonych w „odkurzacze" do błyskawicznego usuwania śniegu z torów najazdowych z pewnością zapadł w pamięć wielu kibiców. Był to tylko jeden z przejawów idealnej organizacji imprezy, która na stałe weszła do kalendarza Pucharu Świata, a być może wciąż dla wielu skoczków jest jego najważniejszym, kulminacyjnym punktem.

> *„Pamiętam, jak na skoczni w Zakopanem nie było jeszcze ogrodzenia, ale pojawił się Adam Małysz. Na zawody przyszła masa widzów, siedzieli na drzewach, a nawet przy rozbiegu. Byłem jednocześnie zaskoczony i pełen obaw, że nas zmiażdżą i dojdzie do tragedii. Kibice nas uspokajali, mówili: »Chcemy tylko oglądać zawody«. Pojawiła się sugestia, by je odwołać, ale wszystko odbyło się zgodnie z planem"*
>
> **– Walter Hofer, austriacki działacz sportowy, wieloletni dyrektor PŚ w skokach**

eprasa.pl a678eb2f54

Polacy na Wielkiej Krokwi

Przeszkadzała presja i sędziowie

Zawody Pucharu Świata na Wielkiej Krokwi w Zakopanem nigdy nie były łatwe dla najlepszych polskich skoczków narciarskich. Ogromna presja publiczności czasem deprymowała naszych mistrzów, choć oczywiście się do tego nie przyznawali. Dodatkowo Polacy często miewali pecha, o czym najdobitniej świadczy ostatni weekend w Zakopanem, gdy przez błędy sędziów pozbawiono Dawida Kubackiego pewnego zwycięstwa

Triumf w stolicy polskich Tatr przy tysiącach żywiołowo reagujących kibiców siłą rzeczy stawał się jednym z głównych celów w sezonie dla takich zawodników jak Adam Małysz czy Kamil Stoch. 19 stycznia 2002 r. polscy fani doczekali się pierwszego konkursu na Wielkiej Krokwi z Małyszem w roli faworyta. I mistrz... zawiódł tego dnia, zajmując dopiero siódmą pozycję, co było dla tłumów pod skocznią ogromnym rozczarowaniem. Obiekt eksplodował radością jednak już na drugi dzień, kiedy „orzeł z Wisły" najwyraźniej pozbył się presji z dnia poprzedniego i wygrał zawody. Dla obserwatorów skoków stało się jednak jasne, że Zakopane, choć jest wyjątkowym miejscem w kalendarzu Pucharu Świata z uwagi na niespotykaną nigdzie indziej żywiołowość publiki, będzie dla polskich faworytów trudnym terenem.

Tym bardziej należy docenić wyniki, które polscy skoczkowie osiągali w Zakopanem. Adam Małysz zwyciężał na Wielkiej Krokwi aż czterokrotnie, dwa razy był drugi i także dwa razy zajmował trzecie miejsce. Osiem miejsc na podium Małysza to najlepsze osiągnięcie w historii na równi z Finem Janne Ahonenem, który także osiem razy stawał „na pudle" pod Tatrami, raz wygrywając, sześć razy zajmując drugie miejsce i raz trzecie. Co ciekawe, z rywalizacją Małysza i Ahonena w Zakopanem wiąże się dosyć dramatyczna historia, którą Fin ujawnił po wielu latach w swojej autobiografii. Otóż w styczniu 2005 r. miał on otrzymać wysłanego z Polski e-maila o treści: „Jeśli wygrasz w Zakopanem z Małyszem, to cię zastrzelę". Podobno polska policja potraktowała tę sprawę poważnie i fiński skoczek otrzymał osobistą ochronę policyjną na czas pobytu w Zakopanem. Poproszony po latach o skomentowanie tych rewelacji Adam Małysz był wyraźnie zszokowany tą historią i trudno mu się dziwić. Polski mistrz przeprosił Janne Ahonena za tamtą sytuację, dowodząc swojej wielkiej klasy, którą po raz pierwszy pokazał już na samym początku „małyszomanii", gdy nie bardzo obyci jeszcze wówczas w świecie skoków polscy kibice wygwizdywali rywali Polaka. – Tak nie wolno, ja jestem oklaskiwany na każdej skoczni na świecie – denerwował się Małysz. Reprymenda przyniosła błyskawiczny skutek, bo już w kolejnym roku polscy kibice potrafili godnie przywitać i docenić największych rywali swojego ulubieńca.

Fot. Tadeusz Mieczyński

Bardzo istotne dla historii polskich skoków wydarzenia miały miejsce na Wielkiej Krokwi w 2011 r. Wówczas zaplanowano na zakopiańskiej skoczni aż trzy konkursy indywidualne zaliczane do klasyfikacji PŚ. Pierwszy z nich wygrał stary mistrz Małysz, w drugim najlepszy był Szwajcar Simon Ammann, ale żaden

epresa.pl/678eb2f54

Fot. Tadeusz Mieczyński

Polak nie załapał się nawet na podium. Trzeci konkurs wygrał za to Kamil Stoch. Doszło zatem do czegoś w rodzaju sztafety pokoleń (choć Małysza i Stocha dzieli jedynie 10 lat). Adam Małysz zakończył swoją karierę skoczka właśnie w 2011 r., a Kamil Stoch wówczas zaczynał drogę po wielkie trofea. W sumie Kamil aż pięciokrotnie zwyciężał w Zakopanem i raz stanął na trzecim stopniu podium. Pod względem zwycięstw jest rekordzistą wspólnie z Austriakiem Gregorem Schlierenzauerem, który do pięciu zwycięstw dołożył jedno drugie miejsce i tym samym zajmuje pierwsze miejsce na liście triumfatorów wszech czasów w Zakopanem.

Trudno się dziwić, że dla polskich skoczków wygrana w Zakopanem jest tak istotna, bo każdy marzy, by sprawić radość swoim kibicom, zwłaszcza jeśli dopingują oni tak gorąco swoich ulubieńców, jak czynią to właśnie kibice pod Krokwią. Tym można wytłumaczyć złość, którą zapłonęli członkowie polskiej ekipy z prezesem Polskiego Związku Narciarskiego Adamem Małyszem na czele, gdy z triumfu w Zakopanem został „obrabowany" w tym roku Dawid Kubacki. Znajdujący się w znakomitej formie Kubacki zapewne nigdzie nie chciał wygrać tak bardzo jak właśnie przed własną publicznością. Określany dotąd jako „król lata" – z uwagi na czterokrotny triumf w cyklu Grand Prix na igelicie – Kubacki nieraz udowodnił jednak, że potrafi skakać także zimą. Do złotego medalu mistrzostw świata w drużynie (2017), złotego medalu mistrzostw świata indywidualnie (2019) i wygranej w Turnieju Czterech Skoczni (2020) Dawid ma szansę dołożyć w tym sezonie swój pierwszy triumf w zimowym cyklu Pucharu Świata. Nasz skoczek marzył z pewnością, że droga po pierwszą w karierze Kryształową Kulę za sezon zimowy będzie wiodła również przez zwycięstwo w Zakopanem. Niestety, mimo znakomitej sportowej formy i naprawdę niemal idealnych skoków plany te pokrzyżowała w tym roku pogoda i niezbyt dobrze się w niej odnajdujący Czech, były skoczek Borek Sedlák, który pełnił funkcję tzw. startera, czyli decydował, czy warunki pozwalają na oddanie skoku w danym momencie, i włączał zielone bądź czerwone światło na rozbiegu skoczni.

Kubacki, prowadzący po pierwszej serii zawodów w Zakopanem z dużą przewagą, nie otrzymał zgody na skok w momencie, gdy wiatr sprzyjał osiągnięciu rekordowego skoku, został za to puszczony z rozbiegu, gdy w plecy polskiemu skoczkowi zaczęła wiać istna wichura. Tylko naprawdę mistrzowskie umiejętności Kubackiego sprawiły, że w tych warunkach osiągnął aż 124 m, czyli metr mniej niż wynosi obecnie punkt konstrukcyjny obiektu w Zakopanem. Mimo to i mimo sporej rekompensaty punktowej za fatalne warunki pogodowe Kubacki uzyskał łączną notę o punkt niższą od swojego największego rywala w obecnym sezonie, czyli Norwega Halvora Egnera Graneruda. Trudno się dziwić, że Kubacki nie potrafił cieszyć się z podium w Zakopanem. W tym sezonie wygrał już dwa konkursy indywidualne w Wiśle na skoczni im. Adama Małysza, ale w Zakopanem wciąż nie może sięgnąć po najwyższy laur. Co ciekawe, dotyczy to także letniego Grand Prix w skokach, w której Dawid wygrał łącznie 14 konkursów, co jest rekordem wszech czasów, ale w Zakopanem najwyżej sklasyfikowany był na... drugim miejscu, gdy w 2019 r. przegrał pod Tatrami z Kamilem Stochem. Kolejną szansę na przełamanie tej niedobrej passy Dawid będzie miał w przyszłym roku

Tabela wszech czasów konkursów indywidualnych PŚ w Zakopanem

1. **Gregor Schlierenzauer** (Austria) – 5 zwycięstw, 1 drugie miejsce
2. **Kamil Stoch (Polska)** – 5 zwycięstw, 1 trzecie miejsce
3. **Adam Małysz** (Polska) – 4 zwycięstwa, 2 drugie miejsca, 2 trzecie miejsce
4. **Matti Hautamäki** (Finlandia) – 3 zwycięstwa, 2 trzecie miejsca
5. **Sven Hannawald** (Niemcy) – 2 zwycięstwa, 2 drugie miejsca, 2 trzecie miejsca
6. **Stefan Kraft** (Austria) – 2 zwycięstwa, 2 drugie miejsca, 1 trzecie miejsce
7. **Anders Bardal** (Norwegia) – 2 zwycięstwa, 1 drugie miejsce, 1 trzecie miejsce
8. **Primož Peterka** (Słowenia) – 2 zwycięstwa, 1 drugie miejsce
9. **Martin Schmitt** (Niemcy) – 2 zwycięstwa, 1 trzecie miejsce
10. **Marius Lindvik** (Norwegia) – 2 zwycięstwa, 1 trzecie miejsce
11. **Halvor Egner Granerud** (Norwegia) – 2 zwycięstwa
12. **Janne Ahonen** (Finlandia) – 1 zwycięstwo, 6 drugich miejsc, 1 trzecie miejsce

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 37/0123/F

eprasa.pl a678eb2f54

Prezes PZN Adam Małysz wierzy, że znajdą się nowe talenty

Jaka przyszłość polskich skoków?

Piotr Żyła 16 stycznia skończył 36 lat, a Kamil Stoch tyle samo świeczek na swoim torcie urodzinowym zdmuchnie 25 maja. Najlepszy w tym sezonie z Polaków Dawid Kubacki 12 marca będzie obchodził 32. urodziny. Czy to oznacza, że za kilka lat, gdy wspomniana trójka zakończy kariery, nie będziemy mieli Polaków w światowej czołówce?

Fot. Materiały prasowe

Rozegrane przed ponad tygodniem konkursy drużynowy i indywidualny w Zakopanem pokazały, że Polacy niezmiennie pałają miłością do skoków narciarskich, którą w biało-czerwonych sercach zaszczepił na początku wieku Adam Małysz. Trudno nam zatem sobie wyobrazić by żaden z polskich zawodników nie odgrywał w stawce skoczków znaczącej roli. Popularność dyscypliny w Polsce nie zakończyła się wraz z karierą Adama Małysza, gdyż natychmiast doczekaliśmy się jego godnych następców, zwłaszcza w osobie Kamila Stocha. Czas jednak płynie nieubłaganie i widać wyraźnie, że już dziś powinniśmy intensywnie rozglądać się za następcami obecnych asów.

W tym miejscu warto wspomnieć także o niezwykle zasłużonym i efektywnym, ale wciąż kluczowym dla naszej przyszłości Narodowym Programie Rozwoju Skoków Narciarskich i Kombinacji Norweskiej „Szukamy Następców Mistrza", który zmienił swojego sponsora tytularnego. Po fuzji Lotosu i Orlenu, znany cykl zawodów dla dzieci i młodzieży Lotos Cup nazywa się teraz Orlen Cup. Jako jeden z pierwszych z dumą poinformował o tym fakcie powołany w czerwcu na stanowisko prezesa Polskiego Związku Narciarskiego Adam Małysz.

To, że tak doświadczona i znakomicie znająca realia skoków osoba jak Małysz została prezesem PZN, także daje nam nadzieję, że piękna historia polskich skoków, którą obecny prezes sam rozpoczął, będzie trwała nadal.

– Mamy Pawła Wąska, mamy innych młodych utalentowanych skoczków, u których istnieje jeszcze pewna blokada, ale wierzę, że ich talenty rozwiną się zgodnie z oczekiwaniami – przekonywał Adam Małysz podczas zorganizowanego przez Orlen sportowego podsumowania roku.

Prezes PZN jak nikt inny rozumie specyfikę skoków narciarskich.

– To jest indywidualna dyscyplina sportu i tak naprawdę każdy zawodnik potrzebuje indywidualnego podejścia. To, co będzie się sprawdzało u jednego, w przypadku innego zawodnika może być zupełnie nieskuteczne, ale nasi trenerzy z Thomasem Thurnbichlerem na czele doskonale to rozumieją – przekonywał Adam Małysz.

Nie martwmy się zatem o przyszłość polskich skoków, bo obecnie Polska osiągnęła już tak wysoki poziom organizacyjny i sponsorski (dzięki wsparciu PKN Orlen), że tę machinę trudno będzie wyhamować. Wspomniany przez Adama Małysza 23-letni Paweł Wąsek stanął na wysokości zadania w czasie ostatniego konkursu drużynowego w Zakopanem, tak minimalnie – bo różnicą zaledwie jednego punktu – przegranego przez polski zespół z Austriakami.

Skoki narciarskie to także odpowiednie przygotowanie mentalne zawodników i – jak zauważył prezes PZN – indywidualny dobór zajęć treningowych. W tym aspekcie także możemy być spokojni, bowiem praca z polską kadrą skoczków to już od lat jedna z najbardziej pożądanych i prestiżowych funkcji w narciarskim świecie. Stać nas po prostu na oferowanie tej posady najlepszym fachowcom i możemy być pewni, że oni chętnie rozważą propozycję polskiego związku. Austriak Thomas Thurnbichler mimo młodego jak na trenera wieku, na razie idealnie wpasował się w świat polskich skoków i zyskał sympatię i uznanie swoich polskich współpracowników. Jego ambicją są nie tylko sukcesy z aktualnymi asami naszej „kadry A", lecz także stworzenie systemu szkolenia, który zaowocuje szybkim pozyskaniem ich godnych następców.

eprasa.pl a678eb2f54

MIJIN MOK*

Ośmiornice, larwy i świnie, czyli koreańskie przysmaki

W opublikowanej niedawno książce „7736 km. Pomiędzy Koreą Południową a Polską" wspomina m.in. swoje doświadczenie z czerniną. Dowcipny polski kolega zareklamował ją jako... zupę czekoladową. Przyznaje, że danie nie było najgorsze, a smak – całkiem nowy, niespotykany: trochę kwaśny, a zarazem słony.

„W Polsce oprócz czerniny istnieje kilka dań, które mogą być zaskakujące dla obcokrajowca – pisze Mijin Mok. – To kaszanka, wątróbka, zimne nóżki, flaki czy nawet śledź w śmietanie. Jednak dla mnie wydają się dosyć normalne. Dlaczego? Ponieważ Korea słynie z osobliwych potraw". „Zupa czekoladowa" przy nich to pikuś.

A oto kilka przywołanych przez autorkę kulinarnych osobliwości:

San-nakji (dosłownie „żywa ośmiornica"). „Najpopularniejszym sposobem na zjedzenie ośmiornicy jest jej pokrojenie nożem na drobne kawałki i zanurzenie w oleju sezamowym lub sosie z papryczki chili – podpowiada Mijin. – Ponieważ to morskie zwierzę jest mięczakiem, nawet po pocięciu macki przez długi czas się poruszają. Sprawia to wrażenie, że ośmiornica jeszcze żyje – stąd nazwa tego dania".

San-nakji

Beondegi. „Spacerując ulicami Seulu podczas różnych festiwali czy w pobliżu atrakcji turystycznych, można poczuć charakterystyczny słodko-duszący zapach. Jeśli za nim podążymy, z pewnością ukaże się naszym oczom uliczny stragan z wielkim czarnym garnkiem, w którym gotują się małe robaczki. Nie są to byle jakie insekty – podkreśla Mijin Mok. – To hodowane w czystym środowisku, przeznaczone do jedzenia larwy jedwabników, które służą za dobrą przekąskę do alkoholu, degustowaną zwłaszcza przez starsze osoby. […] Sama za nimi nie przepadam – dodaje. – Zwłaszcza przez bardzo dziwną, chrupiącą strukturę. Jednak polecam każdemu, kto przyjedzie do Korei, spróbować beondegi, aby wyrobić sobie własne zdanie".

Beondegi

Golbaengi to owoce morza, które wyglądem przypominają ślimaki. W Korei często gotuje się je i podobnie jak beondegi spożywa jako przekąskę do alkoholu. Na pierwszy rzut oka mogą się wydawać przerażające. Danie przypomina grzyby lub żelki, ponieważ golbaengi mają miękką, ciągnącą się konsystencję. Danie doprawia się głównie pastą z papryczek chili i spożywa z makaronem.

Golbaengi

Gaegogi. „Psina była spożywana w Korei już przed naszą erą – zaznacza Mijin Mok. – Nie była to praktyka charakterystyczna tylko dla półwyspu. Od średniowiecza do czasów współczesnych spożywano psie mięso w wielu częściach świata. Psina stanowiła składnik diety w społeczeństwach rolniczych, ponieważ psy nie wymagały za dużych nakładów pracy podczas ich hodowli. […] W Korei dotkniętej biedą mięso z psa stało się żywieniową alternatywą. Na dodatek było uważane za zdrowe. Jedzenie drobiu i psiny miało regulować temperaturę ciała oraz obniżać potliwość, zwłaszcza podczas upalnego i wilgotnego lata. Ponieważ obecnie w Korei mocno rozwinęła się kultura hodowania psów jako zwierząt domowych, trudno znaleźć lokal, w którym serwuje się mięso z psa. Często takie danie nie znajduje się w menu i trzeba o nie specjalnie zapytać".

Jeju heukdwaeji (dosłownym tłumaczeniu „czarna świnia"). Pierwotnie była to odmiana świni hodowana na całym Półwyspie Koreańskim, ale kiedy wypromowano czarną świnię z wyspy Czedżu (Jeju), stała się ona przysmakiem kojarzonym tylko z tym miejscem. Zdarza się, że zwierzę nazywa się świnią gnojową, ponieważ kiedyś karmiono ją… ludzkimi odchodami. „Obrzydliwe?" – pyta retorycznie autorka kanału na YouTubie pt. „Koreanka", po czym tłumaczy dawne realia wyspy Czedżu i zachowania jej mieszkańców. Podkreśla, że od końca lat 70. ub.w. metoda chowu trzody chlewnej jest zupełnie inna, ale jedno pozostaje niezmienne – mięso czarnej świni pozostaje rarytasem. Uchodzi za bardziej elastyczne i smaczniejsze niż tradycyjna wieprzowina. Cena jest również dużo wyższa.

Więcej o koreańskiej kuchni, a także o wielu innych dziedzinach życia opisanych z perspektywy Koreanki mieszkającej w Polsce można przeczytać we wspomnianej książce.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Z wykształcenia polonistka, autorka kanału na YouTubie pt. „Koreanka"*

Fot. Maciek Dziedzic, Shutterstock

prasa.pl a678eb2f54

SŁODKO-SŁONY

Bardzo ważny listek

ANNA MONICKA

Jeśli przyjrzycie się wizerunkom antycznych bohaterów, zauważycie z pewnością jeden szczegół – wieniec na głowie. Nosili go z dumą bogowie, kapłani i słynne wieszczki. Był nagrodą dla zwycięzców, atrybutem sławnych ludzi, przyznawano go wybitnym dowódcom, artystom, sportowcom, sadzono przy świątyniach Apollina. Wieniec triumfalny, laur olimpijski, wawrzyn – największa nagroda, przedmiot pożądania – to właśnie on. Znany w starożytnej Grecji, wieńczący skronie rzymskich cesarzy (nakładali tę swoją koronę podobno nie tylko w czasie wielkich imprez masowych, lecz także burz, bo jako ludzie przesądni wierzyli, że jego liście chronią przed uderzeniem pioruna) i natchnionych poetów. Nosił go Juliusz Cezar, Petrarka, Jan III Sobieski... Od niego nazwę wziął laureat, czyli zdobywca najwyższej nagrody, laurka, czyli zrobione przez dziecko powinszowanie. Jeśli ktoś zbiera laury, to znaczy, że cieszy się uznaniem za jakieś wybitne osiągnięcia. A jeśli spoczywa na laurach – przestaje się rozwijać, dążyć do doskonałych wyników. I pomyśleć, że my dziś wrzucamy tę jakże zasłużoną roślinę do rosołu, grochówki, sosu, nóżek czy śledzia i nazywamy prozaicznie liściem bobkowym...

Na naszą obronę warto dodać, że gdybyśmy nie doceniali kulinarnych zalet wawrzynu, dania nie miałyby boskiego aromatu i byłoby je znacznie trudniej strawić. Jest jednym z trzech ziół w słynnym francuskim bukiecie – obok natki pietruszki i tymianku. Nic dziwnego, że od zawsze był ceniony, bo jego moc jest zadziwiająca i niestety niedoceniana. Tymczasem każdy powinien mieć krzew laurowy w ogródku lub na parapecie i troszczyć się o niego jak o siebie samego.

Dlaczego? Bo nie tylko pięknie pachnie, ale też odtruwa i oczyszcza. Dobrze robi przepracowanej wątrobie i stawom. Jeśli czujesz, że łapie cię przeziębienie – zaparz dwa listki jak herbatę i popijaj małymi łykami. Wkrótce poczujesz, że zioło zaczyna cię delikatnie rozgrzewać. Podobnie postępuj, gdy masz niestrawności albo boli cię żołądek. Możesz taką herbatką przemywać rany, płukać włosy i usta, a zimą – zmarznięte stopy.

W ogródku nadaje się doskonale na żywopłot – można go przycinać, a listki suszyć. Zimy mamy teraz takie, że powinien bez problemu przetrwać je w gruncie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Doliny rzeczne

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Doliny rzeczne są wyjątkowym elementem ekosystemu. Doliną rzeczną w sposób naturalny przepływa powietrze. Nie tylko gnane wiatrami, lecz także w sposób grawitacyjny na tej samej zasadzie jak przepływa woda w rzece. Jest to więc korytarz przewietrzania, który przynosi do miasta czyste, świeże powietrze, a wywiewa zanieczyszczone. Działa przy tym również w okresach ciszy.

Dolina rzeczna jest też elementem klimatyzacji miasta. Podczas gdy mury, ulice, samochody, urządzenia i instalacje w mieście generują ciepło i podnoszą temperaturę, dzięki wspomnianej grawitacji doliną rzeczną płynie chłodniejsze powietrze, w dodatku o wilgotności przyjaznej dla naszych dróg oddechowych.

Żeby doliny rzeczne mogły pełnić taką funkcję, nie powinny być zabudowywane. Im dalej będzie odsunięta zabudowa, tym lepiej (również ze względów przeciwpowodziowych). Pierwotnie doliny rzeczne były bardzo szerokie. Jak szerokie – można niekiedy się przekonać, odnajdując fragmenty odcinków dawnych skarp głęboko w obrębie tkanki miejskiej, setki, a nawet więcej metrów od obecnego koryta. Tymczasem dzisiaj mamy problem z zachowaniem minimum, które wyznaczono prawnie nie tyle dla ochrony korytarza przewietrzania, ile dla stabilności wałów – chociaż obowiązuje zakaz wznoszenia budynków w odległości mniejszej niż 50 m od stopy wału, w praktyce powszechnie są wydawane zwolnienia od tego zakazu, na skutek czego zabudowa dochodzi maksymalnie blisko wałów. Zamykamy coraz bardziej drogi, które przewietrzają miasta i zapobiegają występowaniu skrajnych temperatur.

Doliny rzeczne powinny podlegać ochronie ściślejszej niż obecnie, a przede wszystkim egzekwowanej w praktyce. Zyska na tym różnorodność biologiczna, co ucieszy każdego człowieka wrażliwego na przyrodę. W pierwszej kolejności zyska komfort naszego życia.

Jeżeli w dolinie rzecznej, np. na obszarze rozległego polderu zalewowego powyżej miasta, posadzimy las łęgowy, cudowny wpływ doliny wzrośnie: chłodne i czyste powietrze leśne nie tylko spłynie w dół rzeki do miasta zgodnie z siłą ciężkości, lecz także zostanie zassane przez wzbijające się w górę gorące powietrze miejskie.

eprasa.pl a678eb2f54

Dążenie do prawdy

Alina Czerniakowska

Każdy zawód ma swoją etykę, ale dziennikarstwo to misja, czyli obowiązek przekazywania prawdy, nawet tej bardzo trudnej dla obydwu stron – dziennikarza i odbiorcy, dlatego czasami lepiej zamilknąć, by uniknąć kłamstwa. Wystarczy usunąć jedno zdanie czy słowo, a już zmienia się wymowa całości, inne staje się oddziaływanie na odbiorcę. Doskonale wiedzą o tym spece od mediów i sprytnie to wykorzystują. Potencjalny odbiorca często nawet nie wie, że jest zaledwie kukiełką w rękach propagandy medialnej, wpływającej na nasz umysł w tzw. systemie podprogowym, czyli bez naszej świadomości. Pisał o tym już dawno prof. Michał Szulczewski z Wydziału Dziennikarstwa UW w swojej książce „Magia szklanego ekranu". Tylko solidna wiedza pozwala uchronić się od wszechobecnego kłamstwa.

Dziennikarze związani z tzw. totalną opozycją rozpowszechniają opinie, że obecnie Telewizja Polska (TVP) jest PiS-owska, ale wystarczy uczciwie odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie – czy za rządów Tuska, Komorowskiego i jego kumpli mógłby ktokolwiek z prawicowej opcji przyjść do TVP i w studiu na żywo powiedzieć to, co chce – to było po prostu niemożliwe! Teraz zaś są zapraszani przedstawiciele wszystkich partii do wszystkich programów publicystycznych i do „Wiadomości". Mówią, co chcą, obrażają obecny rząd, ludzi prawicy. Często posługują się językiem dalekim od podstawowych norm kultury, nie mówiąc o meritum ich wypowiedzi. Sieją w ten sposób mętlik w głowach ludzi.

Często po pokazach moich filmów dokumentalnych podchodzą do mnie widzowie i mówią: „Przecież w telewizji inaczej powiedzieli". Ale na pytanie, kim jest ten, kto tak mówił, już nie są w stanie odpowiedzieć.

Do TVP są zapraszani wszyscy w przeciwieństwie do tego, jak było za poprzednich rządów PO-PSL. Wówczas nie można było się przedostać z żadnym niewygodnym dla nich zdaniem, nawet takim do bólu prawdziwym i koniecznym, by padło w publicznej narodowej telewizji.

Przytoczę takie przykłady, które świadczą o tym, jak bardzo był prześwietlany każdy film dokumentalny, by żadna niewygodna prawda dla Tuska i jego kolegów nie została przemycona. W filmie „Minęła rocznica" o świętowaniu kolejnej rocznicy powstania warszawskiego miałam usunąć cytaty z literatury, nawet fragment wiersza Mariana Hemara, i zdjęcia Lecha Kaczyńskiego otwierającego tak długo oczekiwane Muzeum Powstania Warszawskiego. To, co jednoznacznie świadczyło o naszej wielkości narodowej, polskości, było niewygodne, chociaż padały konkretne nazwiska, daty, bez żadnej fikcji. Nawet wypowiedzi świadków historii nie odpowiadały tamtej opcji. W jednym z filmów o żołnierzach wyklętych cytuję nieugiętego bohatera oporu antykomunistycznego Hieronima Dekutowskiego „Zaporę", który prowadzony na śmierć po okrutnym śledztwie zawołał: „Jeszcze zwyciężymy!". Ten fragment też kazano mi usunąć. Ale to nie wszystko. Ówczesnemu kierownictwu TVP nie spodobał się też fragment wiersza Leopolda Staffa, który użyłam w poetyckiej reminiscencji na Święto Zmarłych: „Zbiegać za jednym klejnotem pustynie / Iść w toń za perłą o cudu urodzie / Ażeby po nas zostały jedynie / Ślady na piasku i kręgi na wodzie...". Miałam to wyciąć dlatego, że być może komuś skojarzy się ten fragment z zamordowaniem ks. Jerzego Popiełuszki, a właśnie wtedy prokurator Andrzej Witkowski z Lublina dopominał się ponownego śledztwa dotyczącego tej strasznej zbrodni w świetle nowych dokumentów.

Takich przykładów ingerencji samozwańczej cenzury w rzekomo już wolnej Polsce mogłabym przytaczać mnóstwo, tak naprawdę nie mogłam wtedy nic zrobić w TVP, a tym bardziej wyemitować. Żadnych poprawek nie robiłam, więc za karę nie dostawałam honorariów, a moje filmy i reportaże na ogół nieemitowane czekały aż do prezesa Jacka Kurskiego.

Można mieć różne zastrzeżenia do obecnej TVP, ale na pewno znajduje tam miejsce każda opcja polityczna zarówno na ekranie, jak i wśród kadry zatrudnionych dyrektorów, kierowników redakcji, redaktorów. Są tu ludzie różnych przekonań, zapatrywań i przeszłości, często bardzo dalecy od takich imponderabiliów jak patriotyzm, wiara, polskość, prawda historyczna, wyznawanych publicznie przez głównych reprezentantów Prawa i Sprawiedliwości. To nie podoba się niektórym radykalnym niepodległościowcom z rodzin patriotycznych od pokoleń. Dlatego mówią głośno: kłamcy, złodzieje, cała ta targowica już dawno powinna być osądzona, a nadal jest w mediach polskich, ministerstwach, na czołowych stanowiskach kierowniczych, w samorządach, w różnych instytucjach, fundacjach. To są ludzie, którzy nie mają ku temu żadnego mandatu oprócz znajomości, często merytorycznie słabi, zarabiają krocie i tylko szkodzą państwu polskiemu, czyli nam wszystkim.

W Polsce narasta coraz bardziej, szczególnie oddolnie, potrzeba odkrywania prawdy o ludziach publicznych, słyszy się często: czekaliśmy prawie pół wieku, żeby nareszcie znać życiorysy, przeszłość tych, którzy chcą decydować o naszej przyszłości, zdobyć władzę i pozostać bezkarnymi. Wrogowie polskiej racji stanu donoszą do obcych i szkalują przed nimi swój kraj, mają prywatne media naszpikowane obcą agenturą i otumaniają naród, szczególnie młodych nieznających faktów z niedawnej przeszłości i niestety pozbawionych jakiejkolwiek głębszej wiedzy historycznej, często wychowani w domach dawnych partyjniaków PRL-owskich czy bezideowych, nieświadomych, żyjących na zasadzie „róbta, co chceta".

Tu wielkie zadanie dla prawdziwych dziennikarzy, ludzi mediów, dla Instytutu Pamięci Narodowej. Niegdyś ten proces przywracania prawdy zaczął prezes Janusz Kurtyka, niestety – zginął pod Smoleńskiem. Bez tej prawdy będziemy poruszać się jak po omacku, prowadzeni przez coraz bardziej wyszkolonych medialnych speców od propagandy i sztuki kłamstwa, których trudno nazwać dziennikarzami.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl a678eb2f54

PRZEZ ŚWIETLIK

Szczery jak Scholz

Wiktor Świetlik

Kanclerz Scholz ma sporo wad i jedną – z perspektywy Polski – zaletę. Zresztą nie tylko on, lecz także coraz więcej współczesnych Niemców. Stają się szczerzy. Przestają udawać. Może to być niewygodne dla lidera PO, bo trudno łgać o jakiś nieistniejących wartościach europejskich, w momencie kiedy jego zwierzchnicy z Berlina wprost głoszą egoizm narodowy, ale dla państwa polskiego jest to dobre, bo maski spadają.

„Byłby Grunwald i Płowce, gdyby nie te bombowce i gdyby nie te czołgi, które przyszły znad Wołgi" – stało w polskim wierszyku z września 1939 r. Niemcy mają swoją współczesną wersję – jak to we współczesnych Niemczech pisaną prozą – mówiącą, że gdyby nie czołgi znad Wołgi, to byłby biznes, ale jeszcze bardziej go psują czołgi znad Dniepru, zbyt podmiotowy rząd w Warszawie, amerykańska obawa przed rosyjskim arsenałem atomowym. W ostatnim czasie, szczególnie w okolicach szczytu w Davos, o którym było wiadomo, że będzie mocno stawiany temat pomocy Ukrainie i umiarkowanego zaangażowania w nią Berlina, kilka ruchów postawiło kropkę nad i.

Zaczął kanclerz Scholz, zmyślając historyjkę, zresztą sprawnie obśmianą przez Arkadiusza Mularczyka, o przypadkowym Polaku spotkanym podczas joggingu, który go chwalił za niewysyłanie czołgów Leopard na Ukrainę. Raczej nieprzypadkowo tuż przed Davos. I raczej nieprzypadkowo w tym samym czasie ministrem obrony został pan Pistorius (świat w ogóle nie ma szczęścia do osób o tym nazwisku), który jest otwarcie prorosyjski i pochodzi z seksualno-towarzyskiego kręgu Gerharda Schrödera. Wisienkę na torcie położył wpływowy niemiecki historyk Roland Asch, który otwarcie wyjaśnił, że Warszawa jest wrogiem i dlatego Niemcy dogadują się z Rosją.

Jak ta polityka zmieniła się od czasów Angeli Merkel? Myślę, że przede wszystkim tak, że się już nie udaje, nie zasłania się papką pseudoprawnego i pseudomoralnego bełkotu. Jakie cele miały przez kilkanaście lat rządy kanclerzycy Niemcy? Wartości europejskie, troskę o planetę i klimat? Przecież to bełkot. Nie wymieniano żadnych realnych aspiracji, a skoro nie wymieniano, to nie można było wymienić. A jak Niemcy nie mogli wymienić, to mogły być tylko jedne: dominacja i przewaga. Teraz przynajmniej już coraz mniej udają.

I co teraz? Przecież mamy w Polsce całkiem sporo polityków, politologów, dziennikarzy, ekonomistów i innych, którzy twierdzili, że „tylko z Niemcami". Czasem tak uważali, bo się mylili, czasem byli płatnymi jurgieltnikami jak w XVIII w., czasem byli durniami, niektórych dam, jak wiadomo, też to ostatnie niestety dotyczy.

Posypią się gadające głowy popiołem? Ukorzą się, wyjadą na rok, by przemyśleć, uciszą na trochę? Skądże znowu. Czekają na narrację z centrali, która będzie mogła wyjaśnić, że Berlin dziś nie może inaczej i jest oceniany niesprawiedliwie, a poza tym ta przyjaźń jest dla nas konieczna, a przyjaźń to uległość, bo – jak szyderczo pisał Michel Houellebecq – uległość to szczęście.

Maciek nad Maćkami

Lech Makowiecki

Jako admirator poezji Adama Mickiewicza lubię wracać do lektury „Pana Tadeusza". W liceum pomijałem opisy przyrody, skupiając się na scenach akcji: pojedynkach, polowaniach, zajazdach. Na starość stałem się romantykiem, więc dziś delektuję się wschodami i zachodami słońca nad Soplicowem. I nie mogę wyjść z podziwu dla mistrzostwa słów wieszcza, wyczarowującego przed mymi oczyma bajecznie kolorowe, sielsko-anielskie krajobrazy. Nie tylko przed oczyma: z kart epopei narodowej przenika do mnie zapach łąk, pól, lasów, aromat parzonej kawy, woń ziół z apteki Wojszczanki, dym ognisk... Czuję smak potraw, trunków, żar upalnego lata, chłodny powiew nadchodzącej burzy. I za każdym razem moją uwagę przykuwa jakiś nowy szczegół, sytuacja, nowa postać.

Ostatnio w tłumie nieustraszonych rębajłów, wytrawnych myśliwych, niezrównanych strzelców, utytułowanych urzędników, postaci duchownych i świeckich, dusz artystycznych, szaraczków i magnatów zwróciłem uwagę na niedocenionego, skromnego bohatera, którego odwaga i mądrość stawały wysoko ponad wszystkimi. W całej wielonarodowościowej mozaice litewskiej szlachty ten charyzmatyczny starzec – Matyjasz Dobrzyński (vel Królik, Kurek na Kościele, Zabok, Różeczka, przez swoich zwany Maćkiem nad Maćkami) – był niekwestionowanym autorytetem. I to nie tylko dobrzyńskiego zaścianka. Konfederat barski, niezrównany szermierz, człek nad podziw roztropny i przenikliwy (jedyny, który rozszyfrował ks. Robaka!) – podczas kłótni szlachty wygłosił emocjonalną tyradę, którą można by dziś wypisać na billboardach w całym kraju:

„To póki o wskrzeszeniu Polski była rada, / O dobru pospolitym, głupi, u was zwada? / Nie można było, głupi, ani się rozmówić, / Głupi, ani porządku, ani postanowić / Wodza nad wami, głupi! A niech no kto podda / Osobiste urazy, głupi, u was zgoda! / Precz stąd! bo jakiem Maciek, was, do milionów / Krocset kroci tysięcy fur beczek furgonów / Diabłów!!!".

PS Gdyby głupota bolała...

eprasa.pl a678eb2f54

Fryzownie bananów

Piotr Cywiński

Parlament Europejski się zebrał. W końcu za coś europosłom płacą, więc się zbiera. Tym razem nie po to, by ustalić normę krzywizny bananów, to już ustalono. O inne banany chodzi. O 60 mln dol., które wzięło iluś deputowanych za załatwienie czegoś tam. Za co dokładnie, dopiero jest ustalane, wiadomo tylko, że łapownictwo we wspólnocie jest „sprawą rozwojową". Więc zebrać się wypadło.

Jakież były płomienne mowy, że się nie godzi, że fuj... i że trzeba więcej przejrzystości w działalności. Ileż razy słyszałem takie oracje, można by nawet przygotować unijny wzorzec wystąpień na tę okoliczność. W 1997 r. np. specjalnie powołana komisja – wiadomo, jeden to złodziej, dwóch to klika, a powyżej trzech to już komisja – wykazała, że unijni urzędnicy zatajali szkodliwość mięsa skażonego BSE (szaleństwem krów) dla ludzkiego zdrowia, żeby w krajach zachodnich nie załamał się rynek mięsny. Albo w 1999 r., gdy wybuchł skandal z udziałem francuskiej komisarz Édith Cresson, która – jak obecnie Ewa Kaili, grecka socjalistka, wiceprzewodnicząca europarlamentu, zdymisjonowana za korupcję i pranie brudnych pieniędzy – lobbowała za zielone na rzecz różnych firm i państw, zatrudniała pociotków i znajomych królika na fikcyjnych stanowiskach, przydzielała wybrańcom lukratywne zlecenia itp. Sprawa Cresson też okazała się „rozwojowa" i w efekcie do dymisji musiała podać się cała Komisja Europejska pod wodzą Jacques'a Santera. Albo afera z Eurostatem – instytucją, której opracowania są podstawą decyzji o unijnych dopłatach. Jej urzędnicy tak fryzowali statystyki, by pieniądze dostawali ci, którzy wpłacali im miliony na lewe konta.

Oj, było tych afer, z braku miejsca wszystkich nie wymienię. I za każdym razem płomienne mowy były, że fuj, że trzeba, że należy. Na czele eurokomisji stoi dziś Ursula von der Leyen. Gdy wcześniej kierowała w niemieckim rządzie resortem obrony, prokuratura badała jej zlecenia na rzecz Bundeswehry, ale że zniknęły dokumenty, pliki komputerowe i dane w telefonach komórkowych, z braku dowodów sprawę umorzono. Podobnie jak zarzuty o plagiat pracy doktorskiej von der Leyen z uwagi na niską szkodliwość czynu. Już w Unii pojawiły się wobec niej oskarżenia dotyczące antycovidowych szczepionek, które ponoć załatwiała z udziałem Antka, szwagra kobity brata, aliści zlecenia te są utajnione, więc też sprawy nie ma. O dymisji szefowej eurokomisji, rozwiązaniu europarlamentu i przedterminowych wyborach mowy nie ma.

Więc europarlament się zebrał, w końcu za coś unijnym urzędnikom płacą...

Verdi z wojną w tle

Adam Ciesielski

Współpraca Teatru Wielkiego Opery Narodowej z Metropolitan Opera zaowocowała jednym z najbardziej spektakularnych wydarzeń 2022 r. – powstaniem w Warszawie Ukrainian Freedom Orchestra. Także najświeższa premiera warszawskiej placówki – „Moc przeznaczenia" Giuseppe Verdiego – jest koprodukcją ze słynną nowojorską sceną.

Powstałe przed 160 laty dzieło jest współcześnie wystawiane rzadko. Muzyka Verdiego wciąż urzeka, ale potencjalnych śmiałków odstrasza libretto – zawiłe, pełne zaskakujących zwrotów akcji, dziejącej się w XVIII-wiecznej Hiszpanii. Reżyser Mariusz Treliński dzieje przypadkowego zastrzelenia gen. Calatravy przez Alvara – kochanka jego córki Leonory, a także historię odwetu swojego syna Carla nie tylko na sprawcy, lecz także na siostrze, odczytał współcześnie. Jako wizję rozpadu świata rządzonego przez patriarchalną przemoc. Takiej interpretacji służy powierzenie cenionemu w świecie śpiewakowi Tomaszowi Koniecznemu aż dwóch ról – Generała i Ojca Gwardiana. Postaci pilnujących, by rytuałom honoru, zemsty i pokuty stało się zadość. Wśród pozostałych wykonawców prym wiedzie sprawna wokalnie i aktorsko Izabela Matuła jako Leonora,

zapamiętana przez warszawską publiczność z niedawnych kreacji w „Halce" i „Cardillacu".

Mimo skrótów libretta czteroaktowy spektakl trwa (z dwiema przerwami) 3 godziny i 50 minut. W trosce o wytrzymałość słuchaczy inscenizatorzy urozmaicają narrację hollywoodzkimi wręcz zmianami scenerii i projekcjami filmowymi. W odbiorze przeszkadza czasem hałas mechanizmu obrotowej sceny, ale mocne wrażenie robią sekwencje wojenne. Obóz i szpital polowy w lesie, koczowisko rozbitków w zdewastowanych tunelach metra jako żywo przypominają nam codzienne relacje zza wschodniej granicy.

Premierę „Mocy przeznaczenia" w nowojorskiej Met zaplanowano na 2024 r. W zmienionej obsadzie, ale w tej samej co w Warszawie reżyserii i scenografii.

Giuseppe Verdi, „Moc przeznaczenia"
Libretto: Francesco Maria Piave, Reż. Mariusz Treliński
Teatr Wielki Opera Narodowa, premiera 13.01.2023

eprasa.pl a678eb2f54

Michał Korsun prezentuje:
Czterej pancerni i Scholz

ref. Shutterstock

Wycinki z przeszłości

To żart rysunkowy z popularnego tygodnika „Światowid" z września 1926 r. Bije z niego przekonanie, że artysta musi coś umieć, mieć jakiś talent, musi się przygotować. Czasy współczesne, jak wiemy, bez cienia wstydu odrzuciły ten staroświecki pogląd! Artystą może być każdy i kropka. A krytyka beztalenci to dyskryminacja. Tylko co z tego dorobku przetrwa dłużej niż kilka lat?

(mk)

Coś wesołego?

Na egzaminie wstępnym do szkoły teatralnej (poszło bez problemów) mówiłem i ten wiersz. Po całej „produkcji wstępnej" usłyszałem ze strony komisji: „A czy mógłby pan powiedzieć coś wesołego?". No i był problem. Obawiam się, że tak zostało...

Leszek Długosz

Wisława Szymborska (1923–2012)
„Obmyślam świat"

Obmyślam świat
wydanie drugie, poprawione,
idiotom na śmiech,
melancholikom na płacz,
łysym na grzebień,
psom na buty.

Oto rozdział:
Mowa Zwierząt i Roślin,
gdzie przy każdym gatunku
masz słownik odnośny.
Nawet proste dzień dobry
wymienione z rybą
ciebie, rybę i wszystkich
przy życiu umocni.

Ta, dawno przeczuwana,
nagle w lawie słów
improwizacja lasu!
Ta epika słów!
Te aforyzmy jeża
układane gdy
jesteśmy przekonani,
że, nic tylko śpi!

Czas (rozdział drugi)
ma prawo wtrącania się
we wszystko czy to złe, czy dobre.
Jednakże – ten, co kruszy góry,
oceany przesuwa i który
obecny jest przy gwiazd
krążeniu,
nie będzie mieć najmniejszej
władzy,
bo zbyt objęci, z nastroszoną
duszą jak wróblem na ramieniu

Starość to tylko morał
przy życiu zbrodniarza.
Ach więc wszyscy młodzi!
Cierpienie (rozdział trzeci)
ciała nie znieważa.
Śmierć,
kiedy śpisz, przychodzi.

A śnić będziesz,
że wcale nie trzeba oddychać,
że cisza bez oddechu
to niezła muzyka,
jesteś mały jak iskra
i gaśniesz do taktu.

Śmierć tylko taka. Bólu więcej
miałeś trzymając różę w ręce
i większe czułeś przerażenie
widząc, że płatek spadł na
ziemię.

Świat tylko taki. Tylko tak
żyć. I umierać tylko tyle.
A wszystko inne – jest jak
Bach
chwilowo grany
na pile.

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl a678eb2f54

OD A DO ZYBERTOWICZA

Szmelc, infoszmelc

Informacje od pewnego czasu już nas nie informują – deformują nasz świat

Żyjemy już na kupie złomu – czy wśród całych stosów złomu – choć na ogół tego nie dostrzegamy. Nie dostrzegamy, choć dodatkowo łykamy obfite porcje tego złomu każdego dnia, napełniając nim swoje umysły.

Z czego składa się zwykłe złomowisko? Z elementów, których część może wcale nie być zużyta, ale ponieważ były one powiązane z innymi składnikami urządzeń, które się zepsuły lub zostały uznane za zepsute, to trzeba było je wyrzucić na... złom.

Ile części dzisiejszego samochodu lub innego nowoczesnego sprzętu musi być zniszczone lub naprawdę wyeksploatowane, by wylądował on na złomowisku? Nie tak wiele. I wcale nie chodzi mi tu o patologiczne, ale dobrze obmyślone i skalkulowane zjawisko tzw. planowanego starzenia się (*planned obsolescence*) produktów, które po krótkim czasie mają odmówić nam posłuszeństwa, chociaż daleko im od faktycznego, normalnego zużycia.

Chodzi mi o świat informacji tworzących złomowisko, które nas otacza. Informacji, które wcale – wbrew pozorom, np. reklamom – nie układają się w żadną *wiedzę*, w żadne spójne obrazy świata. Nie pasują one bowiem do siebie nawzajem. Są z innych porządków, z odrębnych, niespójnych uniwersów. Nie wiem, jak osoby z mojego pokolenia, ale dziś każdy dzieciak zanurzony w komputerowe gry wie, czym jest uniwersum...

INTERNET – WSPANIAŁE ŹRÓDŁO INFORMACJI

Pewnie to ze sto razy słyszeliście: może internet ma jakieś minusy, trochę uzależnia, powoduje stratę czasu, ale przecież nie było w dziejach ludzkości cudowniejszego źródła informacji o całym, caluteńkim świecie. Nieprawdaż?

Ależ wcale nie!

NOEMA

To portal z interesującymi esejami ciekawego amerykańskiego think tanku. Niedawno kolega podsunął mi umieszczoną tam rozmowę z Byung-Chul Hanem, niemieckim filozofem pochodzącym z Korei Południowej. Zwraca on uwagę, że w poddanej cyfrowej presji kulturze znika to wszystko, co ludzi wiąże i łączy.

„Nie ma prawie żadnych wspólnych wartości ani symboli, żadnych wspólnych narracji, które jednoczą ludzi". Prawda, gdy dostarcza nam sensów i przynosi orientację w świecie, jest także narracją. Tymczasem dziś „jesteśmy bardzo dobrze poinformowani, ale jakoś nie możemy się zorientować".

Przeciążenie rzeczywistości informacjami prowadzi do atomizacji – oddzielonych od siebie sfer tego, co czasem uważamy za prawdziwe. „Ale prawda w odróżnieniu do informacji ma siłę dośrodkową spajającą społeczeństwo". A informacja – mówi filozof – jest odśrodkowa i psuje spójność społeczną. „Jeśli chcemy zrozumieć, w jakim społeczeństwie żyjemy, musimy zrozumieć naturę informacji". Poszczególne informacje – nieważne, jak liczne by nie były – nie niosąc sensów, nie przekształcają się w narrację. Można jedne z nich dokładać do drugich, ale nie powstaje z tego nic wartościowego. To tak, jak gdyby poszczególne elementy zebrane na złomowisku rzucić na jedną kupę. Złom pozostaje złomem.

Informacje od pewnego czasu już nas nie informują – deformują nasz świat. „Mogą nawet zaciemnić świat. To stawia je w opozycji do prawdy. „Prawda oświetla świat, podczas gdy informacja żeruje na zaskoczeniu, wciągając nas w nieustanny szał ulotnych chwil".

Tak Byung-Chul Han widzi bogactwo, które przynosi nam internet.

SZMELC NA ZEWNĄTRZ I WEWNĄTRZ NAS

Chcę być dobrze zrozumiany: w internecie *nadal jeszcze* można znaleźć rozbudowane opowieści (przez filozofów zwane wielkimi narracjami) – np. o charakterze religijnym lub ideologicznym, niosące z sobą sensy, znaczenia i prawdę, które wiążą ludzi. Problem polega na tym, że dominujący dzisiaj nurt korzystania z internetu został przez władców algorytmów tak skonstruowany, by w szczeliny naszych pokawałkowanych już umysłów wdzierały się jak najbardziej prostackie, prowokujące i mylące informacje.

Gdy coraz częściej taki infoszmelc otacza z wszystkich stron – reklamy, newsy, sensacje, clickbaity – to przez swoją powszechność staje się tak naturalny, iż coraz trudniej jest nam dostrzec, że stał się on normalnym lokatorem naszych głów.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 16/0123/F

eprasa.pl a678eb2f54

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

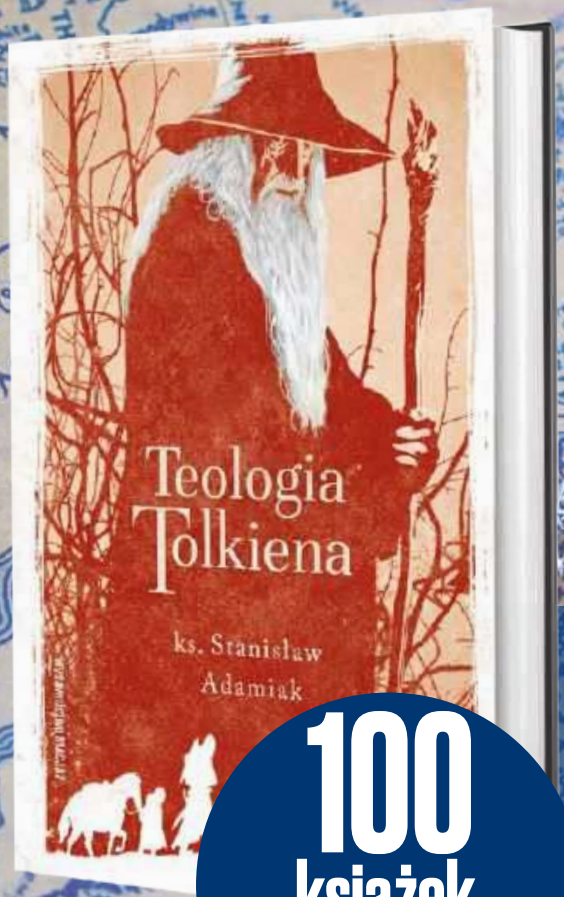

100 książek w prezencie

„Teologia Tolkiena” ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbiciele teologii dowiedzą się więcej o Bogu.

196 STR. | LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA FANÓW TOLKIENA | IMPRIMATUR

Fot. Shutterstock

Książkę **„Teologia Tolkiena”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl a678eb2f54

ORLEN

SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ PIŁKI RĘCZNEJ

DZIĘKUJEMY ZA WSPÓLNE **EMOCJE**

Mistrzostwa Świata w Piłce Ręcznej Mężczyzn
11–29 stycznia 2023

epras.pl a678eb2f